W NUMERZE: Opowieść o T. Głąbskim, patronie żołnierzy ■ Okupacyjne 1 Maje ■ Zasłużony Nauczyciel PRL – G. Missalowa ■ Zwiastun burzy – w 110 rocznicę urodzin Gorkiego ■ Studenci w swoim osiedlu i w ankiecie pn. „Jacy jesteśmy?" ■ Fotoreportaż z trasy W-Z ■ 70 lat Związku Włókniarzy ■ Prof. A. F. Grabski o historii gospodarczej ■ Generał Dubicki – walki o Berlin ■ Życie w egzotycznym Bhutanie ■ Proza T. Możdżyńskiego ■ Ankieta: Twórcy o pracy – wypowiedzi B. Bączyńskiego, W. Bilińskiego, W. Garbolińskiego, A. Hundziaka, H. Kluby, R. Kłosowskiego, B. Liberskiego, I. Sikiryckiego, L. Skrzydło, J. Wawrzaka, J. Zdrojewskiego.

tygodnik społeczno-kulturalny

głos

Łódź

NR 18 (1064) ROK XXI 30 KWIETNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

1 maja powszechne uznanie dla ludzi rzetelnej pracy

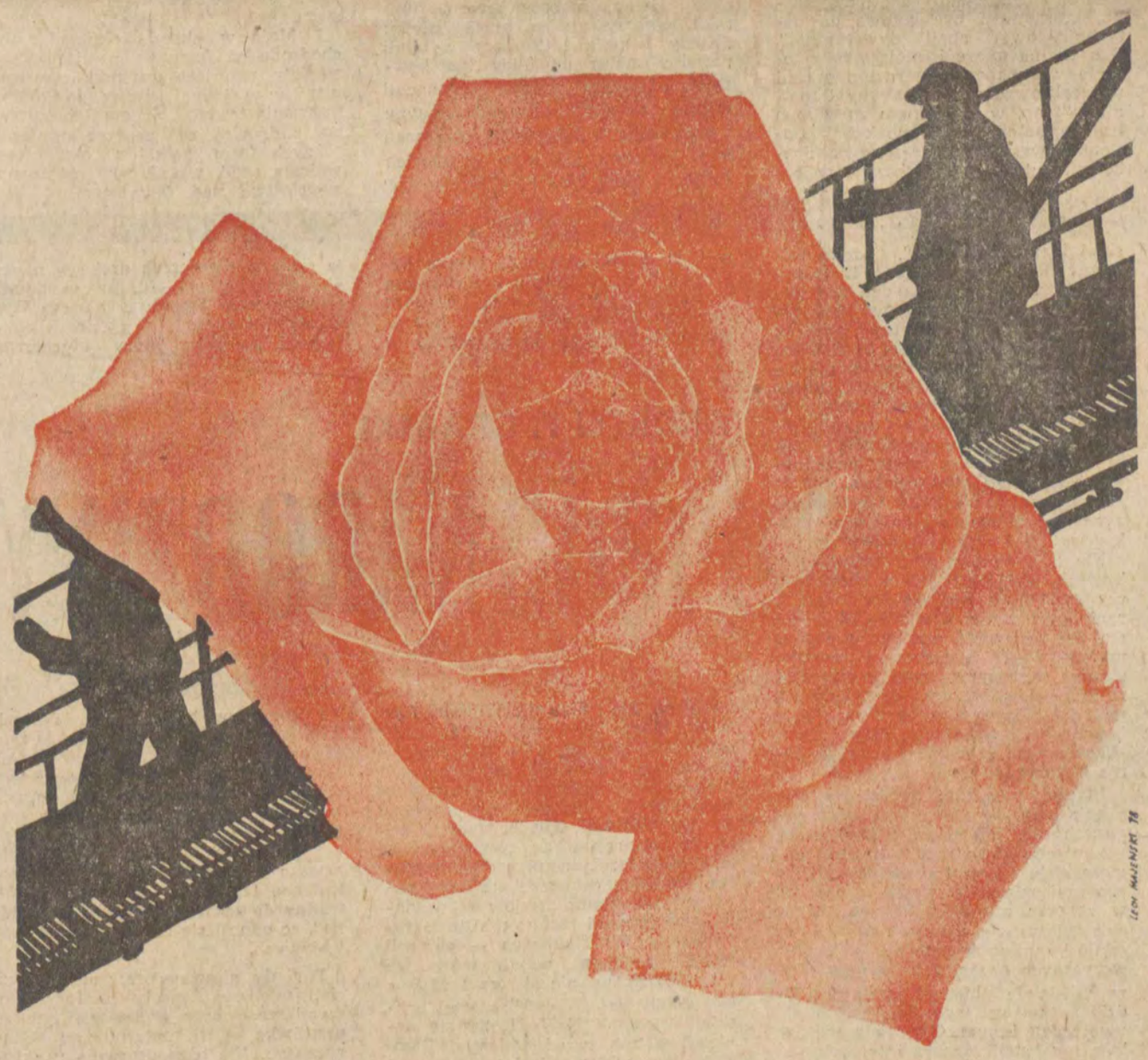

Autor plakatu Lech Majewski

Lucjusz Włodkowski

życiorys patrona

Przy budowie dróg, fabryk, przy porządkowaniu miasta można spotkać żołnierzy ubranych w robocze kombinezony. Pomagali przy rozbudowie stadionu ŁKS, przy budowie „Dywilanu", „Polanilu", nowych pomieszczeń dla „Elesteru" i łódzkiego oddziału kombinatu „Jotes-Ponar". Budowali „EC-III" i chłodnię na Nowych Sadach. Można ich było spotkać przy budowie osiedli mieszkaniowych: Teofilów, Dąbrowa, Koziny, Retkinia. Służą w Pułku Obrony Terytorialnej im. Tadeusza Głąbskiego.

Na wartowni za szybą siedział kapral i coś pilnie notował.

— Umówiony jestem z dowódcą pułku — powiedziałem.

— Dowódca jest zajęty. Prowadzi odprawę. Przyjmie pana zastępca. Wartownik zaprowadzi.

Zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych, podpułkownik Jan Rybczonek, sumitował się trochę:

— Izbę pamięci mamy skromną. Jak postawimy nowy budynek, to przewidujemy w nim więcej miejsca na pułkowe pamiątki. Teraz to nawet zajęć w niej na dobrą sprawę nie można prowadzić. A żołnierzy trzeba zaznajamiać z tradycjami Łodzi.

Izba pamięci rzeczywiście nie jest wielka. Na centralnej ścianie zdjęcie Tadeusza Głąbskiego. W gablotce pamiątki po nim. Fotokopie legitymacji, życiorysu osobiście przez Tadeusza Głąbskiego pisanego i ROZKAZ MINISTRA OBRONY nr 11 MON z 24 kwietnia 1968 roku w SPRAWIE NADANIA IMIENIA PUŁKOWI OBRONY TERYTORIALNEJ m. ŁODZI:

„Żołnierze!

Ludowe Wojsko Polskie, spadkobierca i kontynuator postępowych i rewolucyjnych tradycji naszego narodu oddaje należny hołd bohaterskim żołnierzom regularnych jednostek LWP oraz partyzanckich oddziałów Gwardii i Armii Ludowej, wszystkim tym, którzy swoim życiem, działalnością rewolucyjną i walką wyzwoleńczą wnieśli wkład w rozgromienie hitleryzmu i wolność ojczyzny.

Jednym z takich zasłużonych dla Ziemi Łódzkiej Polaków był Tadeusz Głąbski — współorganizator Polskiej Partii Robotniczej i Gwardii Ludowej w Łódzkiem, więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, aktywny budowniczy Polski Ludowej od pierwszych dni jej powstania.

W związku z powyższym nadaję Pułkowi Obrony Terytorialnej m. Łodzi imię Tadeusza Głąbskiego. Jednocześnie ustanawiam doroczne święto pułku na dzień 15 maja.

Żołnierze!

Bądźcie zawsze godni patrona swego pułku — Tadeusza Głąbskiego, którego poświęcenie i oddanie wielkiej sprawie zwycięstwa nad faszyzmem oraz budowie nowej Ludowej Polski jest wzorem walki i ofiarnej służby dla dobra socjalizmu i pokoju.

Minister obrony narodowej
Wojciech Jaruzelski
generał dywizji."

Otwieramy gablotę, bo przez szybę trudno odcyfrować maczkiem pisany życiorys. „Urodziłem się..."

1.

„Urodziłem się 19.X.1908 roku w Łodzi. Pochodzę z rodziny robotniczej. Ukończyłem szkołę powszechną i Wieczorową Szkołę Handlową. W latach 1925—1929 pracowałem w Fabryce Wełny Czesankowej Markusa Kohna jako robotnik. W latach 1929-1930 pracowałem w Fabryce Trykotaży J. Frankiel w Łodzi w charakterze dziewiarza. W latach 1930—1931 odbyłem czynną służbę wojskową w 71 pułku piechoty w Zambrowie. Do rezerwy przeszedłem w stopniu kaprala.

Po powrocie z wojska, nie mogąc uzyskać pracy w przemyśle pracowałem dorywczo jako pomoc murarska. Od 1934 roku do 1939 pracowałem w fabryce trykotów J. Sieroszewskiego, a następnie Kramsa w charakterze dziewiarza..."

Dalszy ciąg na str. 6

MARIAN STROBIN

OKUPACYJNE 1 MAJE

Już 9 września 1939 roku Łódź znalazła się pod okupacją hitlerowską. Miasto nie uniknęło żadnej z tych form polityki eksterminacyjnej, które okupant stosował w całym podbitym kraju, jak egzekucje publiczne, przesłuchiwania i mordy w siedzibie gestapo, deportacje do obozów koncentracyjnych, wysiedlania i wywozy na roboty przymusowe do Rzeszy, bezwzględny wyzysk w miejscach pracy, głodzenia i inne wyrafinowane sposoby zadawania cierpień.

W końcu 1939 roku rozpoczął swoje zbrodnicze praktyki obóz koncentracyjny w Radogoszczu, w którym wymordowano w ciągu całego okresu okupacji około 20 tys. osób. Łódź była też miejscem martyrologii dzieci. Na ul. Przemysłowej w dziecięcym obozie koncentracyjnym zamordowano około 6 tys. małych więźniów. W obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu i Chełmie nad Nerem straciło życie 160 tys. Żydów, wywiezionych tam z łódzkiego getta.

Jednak terror okupanta nie zastraszył łodzian. Akcje przeciw okupantowi rozpoczęły grupy łódzkich komunistów, stosując w pierwszej fazie działalności różne formy sabotażu na terenie fabryk. Wiele grup sabotażowych w lipcu 1940 roku połączyło się pod wspólnym kierownictwem — powstał Komitet Sabotażowy do Walki z Hitleryzmem, a jego lewicowi działacze w listopadzie 1941 utworzyli organizację pn. Front Walki o Naszą i Waszą Wolność.

Akcje sabotażowe trwały w Łodzi przez cały okres okupacji. Mimo szczególnej czujności okupanta, zdarzały się wypadki stosowania tej formy walki w dniu 1 maja. Tak np. dwaj robotnicy Stępień i Ciesielski 1 maja 1942 roku zniszczyli w fabryce przy ul. Kątnej pasy transmisyjne i cały zapas oliwy.

Wydarzeniem o przełomowym znaczeniu dla narodu polskiego było powstanie 5 stycznia 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej. 15 maja tego roku łódzki Front Walki o Naszą i Waszą Wolność przystąpił do PPR. Utworzono wówczas Łódzki Obwodowy Komitet PPR i Dowództwo Obwodu Gwardii Ludowej.

Jeszcze w 1942 roku Grupa Specjalna GL zorganizowała dużą akcję sabotażową w fabryce Allarta i Rousseau. W kwietniu 1943 roku członkowie organizacji młodzieżowej „Mieniści" dokonali udanej akcji na niemiecki sklep z bronią przy ulicy Piotrkowskiej 83. W maju zaś łódzki oddział GL stoczył walkę pod Głownem.

Na uwagę zasługuje odezwa KC PPR, rozpowszechniana m.in. w Łodzi z okazji święta majowego w 1943 roku: „Robotnicy! Nie kujcie broni dla Niemiec hitlerowskich! Niszczcie transport i łączność, maszyny i składy wroga! Chłopi! Nie karmcie swych śmiertelnych wrogów! Naprzód do boju, do walki! Śmierć okupantom hitlerowskim! Niech żyje wolna i niepodległa Polska!"

Nawoływanie do walki z hitlerowskim okupantem z okazji 1 Maja znalazło także odbicie w ówczesnej lewicowej prasie konspiracyjnej.

Tak np. „Gwardzista" z 1 maja 1943 roku pisał: „Gwardziści! Z granatem i karabinem w dłoni witajcie dzień Pierwszego Maja 1943 roku. Pierwszy Maja — Dzień walki z okupantem". Oprócz słów zachęty do wzmożonej walki, dowództwo GL podkreślało również w tym dniu ofiarność walczących oddziałów, udzielając pochwał oddziałom gwardzistów za całokształt walki i pracy.

W podobnym duchu wypowiadała się także „Trybuna Robotnicza" z maja 1943 roku. Wzywając do spotęgowania walki przeciw faszyzmowi w ciągu całego miesiąca maja, agitowała także, głównie młodzież, do masowego wstępowania w szeregi GL. Organ apelował też do wszystkich gwardzistów, aby „każdy z nich przyjął na siebie jako święty obowiązek dokonać w maju co najmniej 30 aktów sabotażu, stworzyć również na swym terenie pracy i zamieszkania mieszany komitet akcji, a każda grupa podokręgowa powinna wyłonić spośród siebie jedną grupę partyzancką, która musi być gotowa do natychmiastowej akcji dywersyjnej". Tak też na miarę istniejących w terenie warunków gwardziści starali się realizować apel „Trybuny Robotniczej": np. w Kieleckiem zniszczono transformator, przerwano kabel podziemny, wysadzono rurę gazową, drukowano ulotki, plakatowano wsie i osiedla, wywieszano czerwone chorągwie.

Łódzka organizacja PPR również na 1 Maja 1943 roku przygotowywała wielką akcję propagandową. Prace przygotowawcze rozpoczęto już w marcu. Zamierzano zasypać miasto ulotkami okolicznościowymi. Jednak masowe aresztowania udaremniły te plany. 18 kwietnia aresztowano około 80 aktywistów partyjnych i gwardzistów. Jednak inne przedsięwzięcia należały do udanych. Np. w Retkini na zebraniach konspiracyjnych wygłaszano referaty okolicznościowe i podejmowano kolportaż druków propagandowych. „Postanowiliśmy wtedy — wspominał działacz PPR i PZPR Tadeusz Głąbski — przeprowadzić szereg narad robotniczych, zmobilizować wszystkie siły demokratyczne przeciwko Niemcom. Wydaliśmy w kilka dni potem odezwę majową. A 1 maja przeprowadziliśmy masowy, jak na nasze warunki, kolportaż odezwy, pism i materiałów, które nadeszły z Warszawy.

Tradycje pierwszomajowe w okupowanej Łodzi podtrzymywał również przedwojenny aktyw PPS. A. Sieciński — jeden z działaczy tej partii — również podkreślał znaczenie konspiracyjnych zebrań aktywu, które mobilizowały do dalszych zmagań z hitleryzmem.

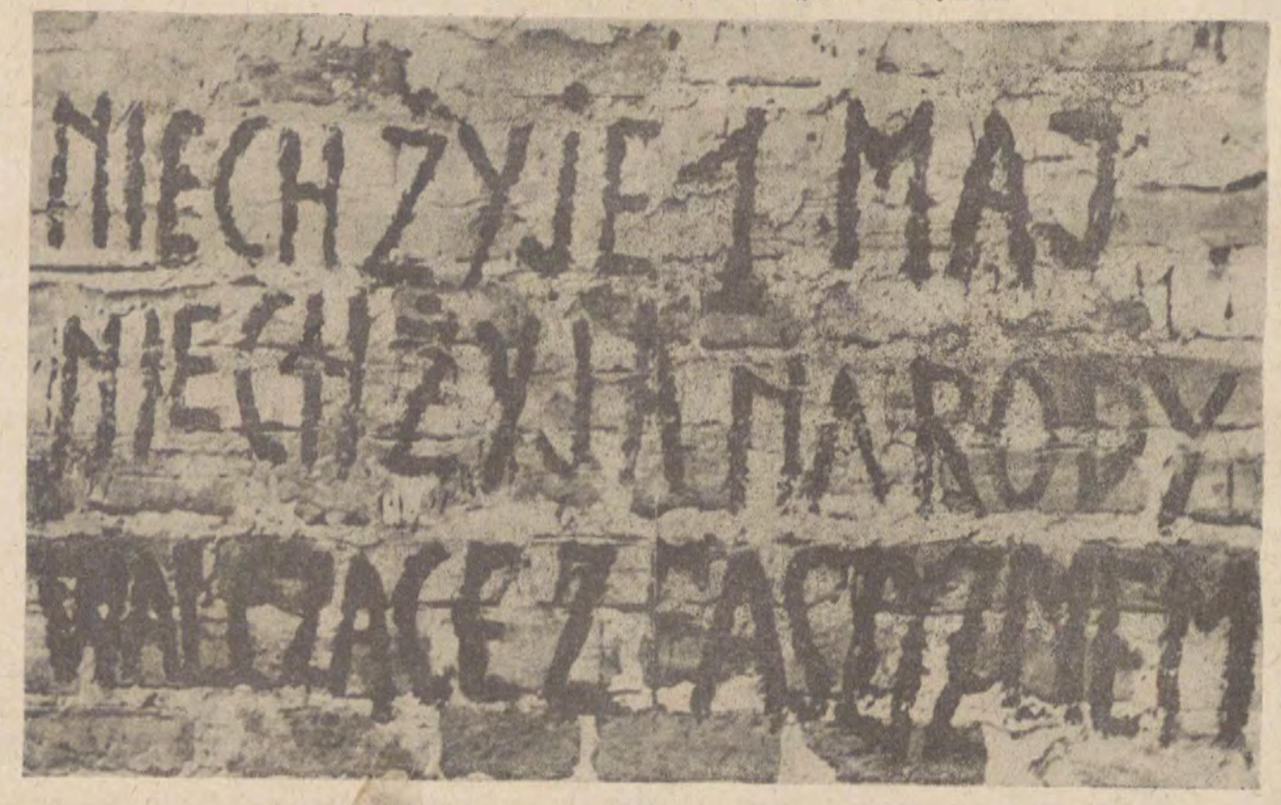

Foto: Archiwum

Łódzkim akcjom propagandowym z okazji Święta Robotniczego w 1943 roku towarzyszyły również czyny: „Kiedy 1 maja hitlerowcy wybijali paradny marsz na ulicy Piotrkowskiej, partyzanci łódzcy wzmagali walkę z wrogiem. Niszczyli maszyny i urządzenia w fabrykach, rozkręcali tory kolejowe (...) a w przededzień święta 1 Maja 1943 r., „Promieniści" uszkodzili tor kolejowy na trasie Stryków — Zgierz.

W tym miejscu kilka zdań na temat stosunku hitlerowców do Święta Robotniczego. Otóż hitleryzm usiłował nadać 1 Majowi charakter faszystowski. Była to jedna z form demagogii nazizmu. Imprezy pierwszomajowe urządzane przez hitlerowców trafnie określono jako „pierwszomajowe komedie robotniczo-sportowe".

I tak oto nadszedł rok 1944. 1 stycznia 1944 roku powstała Krajowa Rada Narodowa — pierwsze zjednoczenie sił lewicy polskiej w podziemnym organie władzy. KRN już w dniu swojego powstania powołała Armię Ludową. W kraju nasiliła się walka z okupantem. Armia Ludowa toczyła krwawe boje w Lubelskiem i Kieleckiem. Z frontu dochodziły pomyślne wieści o zwycięstwach Armii Radzieckiej i walczącego u jej boku Wojska Polskiego. Wzrastała nadzieja Polaków na rychłe wyzwolenie. Wiadomo było, że wolność przyjdzie ze Wschodu.

Nastroje majowe 1944 roku znów uwidoczniły się w nasileniu walk. Organizowano też zebrania, wiece, oddziałom partyzanckim odczytywano specjalne rozkazy. Z okazji 1 Maja 1944 roku PPR, obok hasła bezwzględnej walki z okupantem, akcentowała konieczność walki o zjednoczenie postępowych sił narodu na łonie jedności klasy robotniczej, niepodległości, demokracji i umocnienia obozu polskiej lewicy.

W różnych formach, w swoisty sposób, obchodzono dzień 1 Maja na terenach objętych działalnością partyzantów. Tak też na Lubelszczyźnie we wsi Natalin, gminie Annopol odbyło się pod ochroną partyzantów zgromadzenie ludności w sali szkolnej. Podobny więc z udziałem robotników i chłopów miał również miejsce w jednej ze wsi powiatu chełmskiego.

Oto inny przykład z 1944 roku. W oddziale Armii Ludowej im. Bema dowódca postawił partyzantom w przeddzień 1 Maja alternatywę — defilada w lesie, czy akcja przeciw hitlerowcom, by pokazać, „że Polska żyje, że Armia Ludowa walczy o Polskę Ludową (...) cały oddział partyzancki imieniem Bema wystąpił o jeden krok naprzód (...)".

We wszystkich akcjach podejmowanych z okazji Święta Majowego brała udział młodzież. Inspirowali ją powstały w styczniu 1943 roku Związek Walki Młodych. „Walka Młodych" — organ ZWM 1 maja 1944 pisał: „Dziś jest dniem walki o Polskę, walki słusznej, walki z hitlerowskim okupantem (...)".

Zajęcie Lubelszczyzny przez Armię Radziecką i I Armię Wojska Polskiego, powołanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i ogłoszenie Manifestu 22 Lipca 1944 roku zwiastowały narodowi polskiemu wolność i sprawiedliwy ustrój społeczny. Wiele jednak trzeba było jeszcze przelać krwi, by ostatecznie zdławić hitleryzm.

1 Maja w okresie okupacji, obchodzone w formach na jakie pozwalały panujące warunki, przyczyniły się z jednej strony do kontynuowania tradycji Święta Robotniczego, z drugiej zaś poprzez nasilanie różnych form walki z okupantem wniosły swój wkład w ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem.

ANDRZEJ F. GRABSKI

NARODZINY

Ukształtowanie się historii gospodarczej jako wyspecjalizowanej gałęzi akademickiej historiografii przypadło — z pewnymi odchyleniami w poszczególnych krajach europejskich — właściwie dopiero na przełom XIX i XX stuleci. Nie oznacza to oczywiście, aby zagadnienia gospodarcze były wcześniej całkowicie nieobecne w nauce historycznej.

Pierwociny zainteresowań historyczno-gospodarczych możemy już dostrzec — by nie sięgać dalej wstecz, do epoki **Odrodzenia** — w oświeceniowej refleksji historycznej, rozwijającej się w oparciu o zróżnicowane koncepcje postępu i starającej się zgłębić mechanizmy — w tym również ekonomiczne — przyczyn wzrostu i upadku państw.

Zagadnień historyczno-gospodarczych nie pomijała również w zupełności refleksja historyczna rozwijająca się pod wpływem **Romantyzmu**, uwrażliwiona na sprawy kulturowego zróżnicowania narodów manifestującego się w ich procesie dziejowym, ukazująca w nowych kategoriach zagadnienia klas i ich antagonizmów, posiadających między innymi również uwarunkowania ekonomiczne.

Problematykę gospodarczą na poczesne miejsce w hierarchii zainteresowań historyków wysunął **nurt pozytywistyczny**, inspirujący ich do tropienia czynników rozwoju ludzkiej cywilizacji, poddający w wątpliwość tylekroć wystawiane pod tym względem zasługi państwa i kościoła, zaś akcentujący znaczenie ludzkiej, codziennej pracy, przemysłności i wynalazczości — w tym również na polu gospodarczym — inspirujący do poszukiwania w dziejach rządzących nimi praw ogólnych.

Mimo tego wszystkiego, niepodobna sobie wyobrazić rozwoju zainteresowań historiografii europejskiej problematyką gospodarczą jako wzrastającej się bez wahań linii wzrostu. W połowie XIX stulecia w akademickiej nauce historycznej wielu krajów Europy zyskał sobie szczególne uznanie model uprawiania historii, pozostawiający faktycznie zagadnienia gospodarcze poza horyzontem jej zainteresowania. Rankowski model historiografii, oparty o zasady historyzmu i indywidualizmu, postawił bowiem w centrum uwagi dziejopisarstwa przede wszystkim stosunki polityczno-państwowe, rozpatrywane w porządku stawania się zdarzeń, a interpretowane kauzalnie podług reguły „post hoc, ergo propter hoc". Tego rodzaju dziejopisarstwo okazało się niezmiernie atrakcyjne, skoro preferując historię polityczną, pomimo głoszenia programowego obiektywizmu, a raczej w jego imię, otwierało pole do włączenia do interpretacji historycznej najróżniejszych wątków politycznej ideologii. Rozpatrując bowiem ciągi politycznych zdarzeń, historiografia ta poszukiwała wcielonych w nie kierowniczych idei czy tendencji, które odnajdywała w myślach mężów stanu, w ideologii państwowej czy narodowej w takiej bądź innej „racji stanu". Dostarczała ona naukowego wytłumaczenia politycznych wydarzeń, jako wypływu warunkujących je tendencji, jako wyniku — w domyśle: koniecznego i nieuchronnego — zdarzeń poprzednich. Dzięki temu właśnie mogła się stać sprawnym orężem polityki, co wystąpiło z całą jaskrawością w Niemczech w dobie walki o zjednoczenie państwa oraz wojny francusko-pruskiej.

Konserwatywna pruska szkoła historyczna, odżegnując się od rankowskiej idei „balansu sił", poczęła wówczas głosić otwarcie (J.G. Droysen), że zagraniczna polityka państwa stanowi wcielenie interesów narodowych. Miał rację wybitny historyk francuski **Numa D. Fustel de Coulanges**, kiedy po klęsce Francji pisał o Niemcach, że ich historycy **„tworzą jednolitą, zorganizowaną armię, w której istnieją dowódcy i zwykli żołnierze"**, działającą **„podobnie jak armia tego narodu; dzięki porządkowi, jednolitości kierownictwa, ciągłości zbiorowych wysiłków i doskonałej agenturze w masach, daje ona wielkie wyniki i wygrywa bitwy"**.

Nie było sprawą przypadku, że w krajach, w których jak w Niemczech czy Austrii, u nas zaś w Galicji, rankowski model dziejopisarstwa został bez zastrzeżeń przyjęty w akademickiej nauce historycznej, nomologiczne propozycje pozytywistycznej refleksji historycznej spotykały się na ogół z krytyczną rezerwą i problematyka gospodarcza długo pozostawała poza zakresem zainteresowania historyków.

Inaczej było tam, gdzie ów niemiecki wzorzec nie zyskał sobie powszechnego, jak gdzie indziej uznania, przede wszystkim w krajach anglosaskich, po części we Francji, w znacznej mierze w Rosji, u nas zaś w zaborze rosyjskim. Sukces, jaki w dziejopisarstwie niemieckim XIX w. odniósł rankowski wzorzec badań historycznych oznaczał jednocześnie, że w dziedzinie historii gospodarczej dziejopisarstwo tego kraju dało się wyprzedzić innym. Oczywista, nie należy tego stwierdzenia interpretować zbyt skrajnie.

Wszak i pośród uczniów **L. von Ranke** znaleźli się uczeni, którzy zwrócili swe zainteresowania nie ku historii politycznej, ale ku gospodarczej, ci ostatni stanowili jednak pośród nich mniej, aniżeli zdecydowaną mniejszość. Był przecież uczniem Rankego głośny ekonomista, przedstawiciel kierunku historycznego w ekonomii, ale i historyk **Wilhelm Roscher**, który dedykował swemu nauczycielowi swą pierwszą książkę, zupełnie nie zapowiadającą jego późniejszych zainteresowań — dzieło o Tukidydesie. Należał do uczniów Rankego **Karl W. Nitsch**, wybitny historyk, zajmujący się gospodarczymi dziejami starożytności i średniowiecza. Za zafascynowanie się ekonomicznymi aspektami dziejów — powiada amerykański historyk historiografii **James W. Thompson** — zapłacił Nitsch brakiem popularności we własnym kraju; nie stworzył naukowej szkoły, zaś do ekskluzywnej pruskiej Akademii Nauk dostał się dopiero na rok przed śmiercią. Pozostał historykiem izolowanym, na marginesie głównych nurtów akademickiej nauki historycznej Niemiec.

Relegowana z akademickiej historiografii historia gospodarcza torowała sobie w Niemczech drogę w nauce akademickiej na forum ekonomii. Świadectwem tego była kariera tzw. szkoły historycznej w ekonomii politycznej, kierunku, który uformował się jeszcze w latach czterdziestych XIX wieku, jako reakcja przeciwko ekonomii ricardiańskiej, zaś od lat siedemdziesiątych jął przeżywać swą drugą młodość, w związku z rozwojem tzw. młodszej szkoły historycznej, której głównym reprezentantem był **Gustav Schmoller**. Niewątpliwie słuszna jest ocena, że **„oblicze ideologiczne tej szkoły jest w sposób trudny do zakwestionowania reakcyjne"**, co odnosi się do obu jej faz rozwojowych.

Poglądy, głoszone przez przedstawicieli młodszej szkoły historycznej, wymierzone były w znacznej mierze przeciwko teorii materializmu historycznego. Nie bezpodstawnie podkreśla się, że szkoła ta stanowi jak gdyby odpowiedź nauki burżuazyjnej na popularyzacje marksizmu i lewicowy historyk zachodnioniemiecki **Manfred Asendorf** wskazał niedawno

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

PROFESOR GRYZELDA MISSALOWA

Z kręgu łódzkich nauczycieli i badaczy historii Łodzi odeszła na zawsze w dniu 18 marca 1978 r. profesor zwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego dr **Gryzelda Missalowa.** Z Łodzią i okręgiem łódzkim związana była pochodzeniem, wieloletnią pracą w średnim szkolnictwie w Łodzi i niemal całością prac badawczych, z których najważniejsze poświęcone są dziejom Łodzi i okręgu łódzkiego.

Urodziła się w 1901 r. w Pabianicach. Studia wyższe w zakresie historii i prawa odbywała w Uniwersytecie Warszawskim, kończąc historię w 1925 r., a prawo w 1932 r. Pracę doktorską na temat „Ideologia młodzieży polskiej w latach 1815—1830" wykonała w seminarium prof. Marcelego Handelsmana, znakomitego pedagoga i naukowca. Z seminarium tego wyszło wielu znanych historyków polskich.

Podjęcie przez G. Missalową tematyki ruchu młodzieżowego wynikało z Jej autentycznych zainteresowań młodzieżą, z Jej dążenia do pełnego poznania młodzieży. Zupełnie naturalna w tym kontekście była też Jej decyzja o podjęciu pracy w zawodzie nauczycielskim. Chociaż w trakcie pracy zawodowej ukończyła drugi fakultet — prawo — dający szanse podjęcia pracy w zawodzie finansowo intratniejszym z pracy w szkolnictwie nie zrezygnowała.

W latach 1925—1939 pracowała, jako nauczycielka w łódzkich gimnazjach: w Miejskim Seminarium Nauczycielskim Anieli Szycówny, następnie w gimnazjum Cecylii Waszczyńskiej i wreszcie na stanowisku wicedyrektora w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim Janiny Czapczyńskiej. W okresie okupacji hitlerowskiej kontynuuje działalność nauczycielską prowadząc tajne nauczanie we Włochach koło Warszawy.

Niemal natychmiast po wyzwoleniu Łodzi podejmuje pracę w Gimnazjum J. Czapczyńskiej, a w niewiele ponad miesiąc później zostaje powołana na stanowisko wizytatora szkół średnich przy Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego. Uczestnicząc aktywnie w odbudowie szkolnictwa, jest również G. Missalowa aktywnie zaangażowana w prace nad jego przebudową strukturalną i zmianami w zakresie treści i metod nauczania. Zostaje w tych latach powołana w skład Komisji Programowej Ministerstwa Oświaty w zakresie historii dla szkół średnich. Bierze też aktywny udział w przygotowaniach, a następnie w pracach I Kongresu Oświatowego, jaki odbył się w Łodzi, i którego znaczenie dla przebudowy szkolnictwa było ogromne.

We wrześniu 1947 r., przechodzi dr G. Missalowa do pracy w Uniwersytecie Łódzkim. Nie zrywa jednak kontaktów ze szkolnictwem średnim. Służy swym doświadczeniem pedagogicznym i wiedzą fachową szerokim rzeszom nauczycieli historyków całej Polski. Doceniając Jej kwalifikacje w tym zakresie, Ministerstwo Oświaty i Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego powierzyły Jej obowiązki redaktora naczelnego jedynego podówczas czasopisma historycznego dla nauczycieli „Wiadomości Historycznych".

Obowiązki redaktora „Wiadomości Historycznych" pełniła G. Missalowa do 1953 r., kiedy to redakcję przeniesiono do Warszawy. Na łamach tego pisma publikuje też szereg artykułów dotyczących zarówno problematyki treści i metod nauczania historii, ale także i artykuły zapowiadające Jej późniejsze kierunki badań. Do tego nurtu Jej działalności należy też opracowany wspólnie z Janiną Schoenbrenner pierwszy oparty na metodologii marksistowskiej podręcznik „Historia Polski" Powstało wokół niego wiele kontrowersji i krańcowych osądów. Elementy konserwatywne odrzucały go zdecydowanie, a zbrojne reakcyjne podziemie wydało nawet na autorki wyrok śmierci. Ale przecież nie dla nich podręcznik był przeznaczony. Za próbę bardzo udaną uznali go wybitni historycy polscy W. Kula, B. Leśniodorski i T. Manteuffel (Nowe Drogi, nr 3, 1952). Podręcznik ten mimo braków, odegrał istotną rolę w przebudowie świadomości historycznej Polaków.

Przechodząc w 1947 r. do pracy w Uniwersytecie Łódzkim, rozpoczęła ją G. Missalowa na stanowisku starszego asystenta w Katedrze Historii Społeczno-Gospodarczej Polski i Powszechnej, kierowanej przez prof. Natalię Gąsiorowską-Grabowską. W 1958 r. po rezygnacji z pracy prof. Natalii Gąsiorowskiej-Grabowskiej G. Missalowa przejęła kierownictwo zespołem w jego nowej formie organizacyjnej, jako Katedry Historii Polski XIX i XX wieku. W latach 1953—1955 pełniła G. Missalowa funkcję prodziekana, a następnie dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego.

Działalność naukową G. Missalowej zapoczątkowały, wspomniana już rozprawa doktorska i „Bibliografia historii ziem i miast województwa łódzkiego", publikowana na łamach trzech kolejnych tomów Rocznika Oddziału Łódzkiego PTH w latach 1929—1939. Przejście do pracy w Uniwersytecie Łódzkim stworzyło G. Missalowej warunki do podjęcia na nowo badań naukowych przerwanych okupacją i nawałem prac organizacyjnych w szkolnictwie w pierwszych latach po wyzwoleniu.

W całokształcie Jej bogatej twórczości naukowej dają się wyróżnić trzy podstawowe nurty zainteresowań.

W pierwszych latach pracy uniwersyteckiej były to zainteresowania z zakresu dydaktyki historii. O tym nurcie Jej prac była już mowa wyżej. Drugim problemem badawczym, któremu poświęciła wiele uwagi był demokratyczno-rewolucyjny nurt przejawiający się w patriotycznych i społecznych ruchach pierwszej połowy XIX wieku w dziejach polskich i powszechnych. Główne publikacje z tej problematyki mieszczą się w latach 1951—1953. Są to „Francuski socjalizm utopijny i jego wpływ na polską myśl rewolucyjną w latach 1830—1848", krytyczna publikacja twórczości Edwarda Dembowskiego „Edward Dembowski. Wybór Pism", podobna „Dziennik Rządowy Rzeczypospolitej Polskiej" i „W sprawie udziału ludności rzemieślniczej i robotniczej okręgu łódzkiego w powstaniu 1863—1864 r.".

Powoli jednak na czoło zainteresowań badawczych prof. Missalowej wysuwa się tematyka początków przemysłu i klasy robotniczej. W tym kręgu mieszczą się: metodologiczny artykuł „Stan i problematyka badań w zakresie kształtowania się układu kapitalistycznego oraz klasy robotniczej okręgu łódzkiego" (1953). „Badania nad genezą proletariatu polskiego" (1954 r.), stanowiący wydarzenie w historiografii polskiej tom „Zródła do historii klasy robotniczej okręgu łódzkiego" (1957 r.). Za pozycję tę G. Missalowa i współpracujący z Nią zespół otrzymali nagrodę Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Wieńczy ten kierunek badawczy ambitna, i wysoko oceniana przez fachowców krajowych i zagranicznych, synteza „Studia nad powstaniem łódzkiego okręgu przemysłowego w latach 1815—1870". Kolejne tomy tej trzytomowej syntezy ukazywały się: „Przemysł" (1964), „Klasa robotnicza" (1967), i „Burżuazja" (1975). Podobnej syntezy nie doczekał się żaden z wielkich ośrodków włókiennictwa w Europie, ani Manchester, ani Lyon, Moskwa, czy Iwanowo-Wozniesieńsk. Z tym też kierunkiem badań wiązała się organizacyjna działalność prof. Missalowej, jako przewodniczącej Sekcji Historii Przemysłu Włókienniczego działającej przy Komitecie Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk.

W pewnych kręgach nazywano badania G. Missalowej regionalistyką z dodaniem temu określeniu lekceważącego znaczenia. Jednakże wyniki badań G. Missalowej i kierowanego przez Nią zespołu dowiodły, jak słuszne były Jej decyzje o rozwijaniu badań nad tym regionem. Wyniki tych regionalnych badań wykazują niezbicie, że nie było w nowożytnych i najnowszych dziejach polskich takich wydarzeń, w których ten region nie odegrał istotnej lub nawet w niektórych wypadkach decydującej roli.

Spod pióra G. Missalowej wyszła też poważna część III tomu akademickiego podręcznika „Historia Polski" wydanego przez Instytut Historii PAN.

Spośród Jej rozlicznych prac redaktorskich warto wymienić wieloletnie redaktorstwo, reaktywowanego w 1958 r. „Rocznika Łódzkiego", monografii „Dzieje Pabianic" i współredaktorstwo monografii „Włókniarze Łódzcy".

Ogólny dorobek publikowany prof. G. Missalowej zamyka się liczbą 115 pozycji, monografii, rozpraw, artykułów, przyczynków i recenzji. Publikowany dorobek Jej uczniów zbliża się do około 900 tytułów traktujących głównie o Łodzi i okręgu łódzkim.

Więzi prof. Missalowej ze środowiskiem były trwałe i niekonwencjonalne. To w wyniku Jej inspiracji i dzięki Jej wysiłkowi organizacyjnemu, a co najmniej przy Jej aktywnym udziale, odbyła się większość sesji naukowych i popularno-naukowych, poświęconych historii Łodzi i regionu. To dzięki Jej wysiłkowi organizacyjnemu ukazały się pod Jej redakcją dwa tomy „Rocznika Łódzkiego" — VI(IX) w 1962 r. poświęcony XX rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej i tom X(XII) z 1965 r. poświęcony dwudziestoleciu Polski Ludowej.

Należała G. Missalowa do grona tych, którzy w 1927 r. utworzyli Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, pozostając w składzie jego zarządu niemal nieprzerwanie. W latach 1929—1932 pełniła funkcję wiceprezesa, a w latach 1961—1964 prezesa. W uznaniu zasług na tym polu przyznano prof. Missalowej godność honorowego członka Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Swą wiedzą i doświadczeniem służyła prof. Missalowa wchodząc w różnych okresach czasu w skład różnych komisji i organów doradczych instytucji i placówek społecznych i kulturalno-oświatowych. Była członkiem Rady Naukowej Zakładu Historii Partii przy KC PZPR (1963—1967), Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi i Komisji Historii Ruchu Zawodowego CRZZ oraz Komisji Koordynacji Badań nad Historią Przemysłu na Ziemiach Polskich Komitetu Nauk Historycznych PAN. Kierowała też pracami sekcji

Foto: Archiwum

historycznej Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łodzi.

W uznaniu Jej aktywnej pracy i zaangażowanej partyjnej postawy, była wielokrotnie odznaczana i nagradzana: Orderem Sztandaru Pracy I klasy, Krzyżami Oficerskimi i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, tytułem „Zasłużonego Nauczyciela PRL", Medalami 10-lecia PRL i 30-lecia PRL, Odznaką Zasłużonego Działacza Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Otrzymała też Honorową Odznakę Województwa Łódzkiego i Honorową Odznakę Miasta Łodzi. Była też prof. G. Missalowa laureatką nagrody naukowej byłego Prezydium Wojewódzkiej Rady Naukowej w Łodzi i laureatką nagrody naukowej miasta Łodzi.

Choć pracowaliśmy przez wiele lat razem, a stosunki Profesor — „Szefowej" — jak Ją w naszym współpracowników żargonie z całą życzliwością nazywaliśmy — były w odniesieniu do nas serdeczne, nie zdawaliśmy sobie nigdy w pełni sprawy z tego jaki ogrom obowiązków brała na siebie. Miała także obowiązki wynikające z posiadania rodziny, której członkiem w Jej przekonaniu, miał prawo czuć się każdy z nas, najbliższych Jej uczniów i współpracowników.

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

Autor, dr hab. Józef Śmiałowski, profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

HISTORII GOSPODARCZEJ

na ścisły związek zachodzący między działalnością G. Schmollera a wymierzonymi przeciwko ruchowi socjalistycznemu posunięciami władz niemieckich, nawołujących historyków do „objaśniania" teorii socjaldemokracji.

W 1889 roku cesarz Wilhelm II oficjalnie oznajmił, w jakim zakresie władze imperium niemieckiego są zainteresowane w podejmowaniu przez historyków zagadnień gospodarczych, wskazując, że winni się oni zajmować osiągnięciami gospodarczymi i społecznymi, akcentując przy tym dobroczynny wpływ monarchów. Nie przeszkadzało to jednak zarówno przedstawicielom władz, jak i konserwatywnym uczonym, patrzeć podejrzliwie na wszystkich, którzy jęli się zajmować zagadnieniami gospodarczo-społecznymi, nawet w duchu jak najbardziej odległym od marksizmu.

Identyfikujący się w poglądach z pruską szkołą historyczną **G. Schmoller** doświadczył tej podejrzliwości na własnej skórze, kiedy odrzucono jego kandydaturę do opuszczonego po śmierci **H. Sybla** stanowiska generalnego dyrektora tajnego archiwum pruskiego, bowiem cesarz uważał go za... socjalistę.

Bystry obserwator procesów modernizacyjnych w historiografii niemieckiej na przełomie XIX i XX stuleci zafascynowany dziełem K. Lamprechta, **Wacław Sobieski** referując walkę prowadzoną przez kiepskiego historyka z tradycją rankowską zauważył, że przeciwnicy zarzucali mu, **„że jego historiozofia jest w gruncie rzeczy materialistycznym pojmowaniem dziejów"**, od którego była przecież w istocie niezmiernie odległa. Źródła tych zarzutów polski uczony upatrywał w tym, że kiedy w Niemczech młodzi badacze — a pośród nich Lamprecht — jęli się zajmować historią gospodarczą, **„starzy historycy, zauważywszy analogię z marksistami, zajętymi badaniem stosunków produkcyjnych — chórem okrzyknęli owych historyków (podobnie jak dawniej marksistów) — materialistami"**. Posądzanie historyków, zajmujących się dziejami gospodarczymi, o hołdowanie materializmowi historycznemu, oraz sprzyjanie socjalizmowi, zdarzało się wówczas wcale często. Wspomnijmy, że **Franciszek Schwarzenberg-Czerny** przeciwstawiał się w 1905 r. habilitacji **F. Bujaka**, bowiem podejrzewał go o sympatie socjalistyczne (wybitny w przyszłości polski historyk gospodarczy był wówczas związany akurat z przeciwnym biegunem życia politycznego: z narodową demokracją). Podobne nieporozumienia zdarzały się wówczas zresztą nie tylko na prawicy.

Wiadomo skądinąd, że w środowiskach socjalistycznych rozpowszechniło się pod koniec XIX stulecia uproszczone rozumienie teorii materializmu historycznego, prowadzące do ekonomizmu i charakterystycznej wiary w swego rodzaju automatyzm procesu dziejowego, rozwijającego się na podstawie technologii. Tego rodzaju poglądy prowadziły wielu myślicieli do wniosku, że różni ewidentnie niemarksistowscy badacze, hołdujący ekonomicznej interpretacji dziejów, są w istocie... nieświadomymi zwolennikami materializmu historycznego, a w każdym razie przyczyniają się do jego rozwoju. Bardzo znamienne było pod tym względem stanowisko **Kazimierza Kelles-Krauza**, który uważał, że **„obraz materializmu ekonomicznego"** — jak określał teorię twórców marksizmu — musi objąć prócz poglądów klasyków i ich kontynuatorów także koncepcje socjologów, którzy ulegli wpływowi tej teorii oraz zapatrywania **„tych, którzy doszli do uznania tej samej głównej zasady drogami odmiennymi, jak Rogers, Lasombe, Lippert: tych wreszcie nawet, którzy pracują dla rozwoju i utrwalenia owej teorii, często wbrew woli i bezskutecznym zastrzeżeniom, co stosuje się, zdaniem moim, do całej szkoły ekonomii historycznej i historii ekonomicznej"**. Jeżeli w środowiskach socjalistycznych głoszono wówczas podobne poglądy, jakżeż było się dziwić, że przeciwnicy historii gospodarczej, jakich nie brakowało wśród akademickich uczonych, dopatrywali się w niej... marksizmu?

Ekonomiści z młodszej szkoły historycznej nie odnieśli wprawdzie zamierzonego sukcesu w dziedzinie ekonomii, zwracając się jednak do badań historyczno-gospodarczych, odegrali istotną rolę w ich rozwoju w nauce europejskiej. Przełamali oni tradycję indywidualistyczno-historycystyczną niemieckiej historiografii, obierając za przedmiot swych badań zjawiska i procesy masowe, a zarazem powtarzalne opowiadając się za uznaniem prawidłowego charakteru procesu społeczno-gospodarczego. Korzystali pod tym względem z jednej strony z dorobku swych poprzedników ze starszej szkoły historycznej, z drugiej zaś z inspiracji nomologicznej pozytywistycznej refleksji historycznej.

Rozwinięta przez przedstawicieli omawianego kierunku teoria stadiów rozwoju gospodarczego posiadała istotne znaczenie metodologiczne, skoro już sama kategoria „stadium" czy „stopnia" zakładała uznanie prawidłowego i postępowego charakteru procesu historycznego. Nie ulega wątpliwości, że teoria ta w swych zróżnicowanych postaciach — od koncepcji **B. Hildebranda**, przez poglądy **G. Schmollera** i głośną teorię **K. Büchera** — znajdowała się jednak w zasadniczej opozycji nie tylko w stosunku do tradycji rankowskiej w historiografii.

Drugą płaszczyzną opozycji była tu teoria formacji społeczno-ekonomicznych, rozwinięta na gruncie marksizmu. Teoria stadiów rozwoju gospodarczego opierała się bowiem o typowo pozytywistyczny pogląd na mechanizm rozwoju społecznego, odwołując się do ewolucjonizmu, pozostawiając poza horyzontem rozważań problematykę konfliktów społecznych, wysuwaną przez marksizm. Nie była to jednak, w ich rozumieniu, prosta ewolucja, ale — i w tym niewątpliwa zasługa przedstawicieli szkoły — ewolucyjny rozwój, wiodący od jednej formy do drugiej.

Inna sprawa, że kryteria, na podstawie których wyróżniano owe formy, mogły budzić sporo zastrzeżeń, skoro poszukiwano ich w oparciu o pozytywistyczną zasadę fenomenalizmu, rezygnującego z dążenia do określenia (istoty) zjawisk i procesów. Słusznie zwraca się pod tym względem uwagę na ograniczoność zarówno typologii Hildebranda, jak Schmollera czy Büchera. Tę ostatnią poddał zasadniczej krytyce **Włodzimierz I. Lenin**, zarzucając Bücherowi — którego dzieło o historii gospodarki narodowej przetłumaczył częściowo na rosyjski — właśnie fenomenalizm: branie **„za podstawę klasyfikacji cech ściśle zewnętrznych"**, co nieuchronnie prowadziło niemieckiego badacza do przeoczenia **„istotnych właściwości techniki, ekonomiki i warunków życiowych"**. Nie negując zasług Büchera w badaniu **„przedkapitalistycznych form przemysłu"**, Lenin uznał jego klasyfikację form przemysłowych wprost za „niesłuszną".

Z postawą fenomenalistyczną łączył się w poglądach przedstawicieli omawianego kierunku charakterystyczny, pozytywistyczny indukcjonizm. W walce z tradycją klasycznej ekonomii politycznej — ale i nie tylko z nią — uczeni szkoły historycznej odżegnywali się od poszukiwania najogólniejszych, wszechobowiązujących praw rozwoju, zwracając uwagę na prawa i prawidłowości o węższym zakresie, odpowiadające historycznej rzeczywistości danego czasu i miejsca. W obawie przed wplątaniem się w aprioryczne rozważania, w sposób charakterystyczny dla wielu badaczy, hołdujących pozytywistycznej teorii poznania, pokładali oni całą nadzieję w konsekwentnym — jak im się zdawało — empiryzmie i indukcjonizmie poznawczym. Łatwo wykazywać dziś niedostatki tego rodzaju postaw i złudność przyjętych ogólnych założeń. Trudno jednak nie podkreślić, że w ich konsekwencji badacze omawianego kierunku zgromadzili przebogatą dokumentację historyczno-gospodarczą, otwierając przed historiografią szerokie horyzonty niepodejmowanej przez tradycyjne dziejopisarstwo problematyki badawczej. Miało to ogromne znaczenie dla rozwoju nowoczesnej historiografii gospodarczej w całej właściwie Europie, nie pomijając Polski. Również bowiem i u nas pionierskie badania **Franciszka Bujaka** rozpoczynały się pod silnym wpływem poglądów wpływowego niemieckiego kierunku historiograficznego.

JULIAN TUWIM

SZTANDAR

Prawda, prawda, czarnoleski Janie:
„Serce roście patrząc na te czasy!"
Tętnem krwi czerwono-chorągwianej
Zaszumiały nasze miasta jak lasy.

Jakaż miała odezwać się Muza
Prócz tej jednej — bojowej, piosennej?
Jakiż kwiat mógł wybuchnąć na gruzach,
Jeśli nie ten pnącz czerwonopienny?

I dlatego ze stolicą rosnę
I po piętrach jej wspinam się kwieciem,
A ojczyzny mojej wielką wiosnę
Jako sztandar wznoszę nad stuleciem.

Taki sztandar, że ziemię okryje,
Taki sztandar, że w wieki ponosi,
I gdziekolwiek jego drzewce wbiję,
Tam początek będzie ziemskiej osi.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

PIEŚŃ MAJOWA

Znasz ty Warszawy oblicze,
jej nieśmiertelne piękno,
gdy zdawało się, że serce jej pękło,
a ono świeciło zniczem
woli, nadziei, męstwa,
nieśmiertelnego czynu?
Oto ona — posąg zwycięstwa —
urąga własnym ruinom!

A znasz ty Łodzi oblicze,
Łodzi złej, robotniczej,
w walce o chleb, o warsztat,
o godność, o bruki miasta?
Ona jest pracy posągiem.
Patrz — ręce kominów wyciąga.

Znasz ty Zagłębia potęgę,
Śląsk, co jak krater dymi?
Patrz, na okręty w Gdyni
ładują węgiel!
Rośnie kraj, skrzypią wyciągi,
z ruin podnoszą się miasta,
płyną okręty, pędzą pociągi —
dzień nam roboczy nastał!

Przeto dziś o poranku majowym
podzielimy się dobrym słowem,
pójdziemy, radośni i prości,
czerwienią sztandarów skrzydlaci,
sercami drogę wymościć
tej, co za krew nam zapłaci —
Wolności!

TADEUSZ MOŻDŻYŃSKI

PODWÓJNE ŚWIATŁO

— Tego dnia dyrektor Stachura czuł się fatalnie. Spojrzał niechętnie na otwarty kalendarz, upstrzony kolorowymi zapisami rozmaitych terminów — konferencja, podsumowanie, omówienie, wyjazd służbowy. W całym tygodniu tylko jeden dzień zapowiadał się spokojnie — 1 Maj. Ile to już razy maszerował przez barwne ulice miasta, prężył pierś przed trybuną honorową? Chyba trzydzieści, nie opuścił ani jednego pochodu. Chociaż nie, w czterdziestym siódmym uciekł z dziewczyną na majówkę, w pięćdziesiątym cały dzień przesiedział w szpitalu, przy Świątku. Kiepsko z nim było, idealne przecięcie nogi, doświadczony chirurg lepiej by tego nie zrobił, chociaż siekiera to nie skalpel a rusztowanie na budowie to nie stół operacyjny. Świątek... skromny, nie rzucający się w oczy człowiek, a jednak pozostał w kruchej przecież pamięci.

Ostry dźwięk radiotelefonu wyrwał go z zadumy.

— Słucham, Stachura.

— Panie dyrektorze, inżynier Łaski chce mówić, bardzo pilne, proszę nie zapominać, że za godzinę musi pan jechać do kliniki — przypominała sekretarka — badania okresowe...

* * *

Maszt podnosił się powoli ciągnięty za łeb coraz wyżej. Naprężone liny stęknęły raz, drugi, dźwig drgnął, zachybotał się na całej wysokości i stanął z wycelowanym w niebo ramieniem.

— Fajne chłopy! — Kalisiak usiadł, ocierając pot z czoła. — Niedobrze, nerwy mi wysiadają. Każdy trudniejszy moment przeżywam jak nigdy. Jutro montaż, nielatwa sprawa. Dam najlepszych cieśli, byle tylko sprzęt nie nawalił. Stachura cwany lis, znów pogonił nam kota o sto procent. Teraz nie tylko on będzie przyśpieszał tempo.

Belki okazały się jednak za ciężkie. Kalisiak przezornie zarządził próbę. Podwiązano liny i zawiesie. Operator spojrzał z kabiny na długie, żelbetowe dźwigary.

— Ile to waży? — spytał z obawą majstra. — Na ramieniu dziesięciometrowym podniosę trzy tony, ale cztery to już nie da rady. Jak pan każe, zaryzykuję, tylko jak się ten grat wywróci, będziesz pan moje dzieci karmił.

— Podniesiesz wolno na wysokość pół metra, nie więcej, pół metra i przytrzymasz. Zobaczymy. Stop, zaczekajcie chłopcy. Świątek, skocz po inżyniera. Poproś, żeby do nas przyszedł na próbę dźwigu. „Po diabła samemu ryzykować?" — dodał po cichu.

Stachura przyszedł po kilkunastu minutach.

— Sprawa niełatwa, brałem to pod uwagę. Przeciążenie niewielkie, rzędu dziesięciu procent, ale ryzyko zawsze istnieje, i w dodatku dźwig stary. Dla pewności próbujemy. Malik jest?

— Jest, jest.

— Jedziemy do góry! Operator, tylko pół metra, najwyżej pół metra. Ciągnąć!

Ramię dźwigu naprężyło się. Zajęczały napięte liny. Belka wolno uniosła się w górę.

— Stop, trzymaj!

Żuraw przechylił się lekko, lecz po chwili, nie kiwając się, dźwigał ciężar nad ziemią.

— Góra, — dół, do tej samej wysokości! — Operator wpatrzony w przytrzymywany końcami ciężar, opuszczał go i podnosił. Jeszcze raz i jeszcze raz.

— Gra! — krzyknął z kabiny. — Damy radę!

Stachura nie dowierzał nikomu. Zwrócił się do stojących obok — brygadzisty Boraka i mistrza Kalisiaka, pytając o szczegóły. Chciał się upewnić, że niczego nie zaniedbano.

— Pomosty dla ludzi sprawdzone?

— Tak jest, sprawdzone. Daliśmy nowe stemple i deski.

— Dźwigać belkę nisko, tuż nad ścianami przyziemia. Najgorszy moment będzie przy wywrotnicy. Podparcie tylko w dwu punktach, jakby, nie daj Boże, puściły liny czy sprzęgła, pal licho dźwigar. Ludzi uprzedzić, niech uważają. Pierwsze kilka sztuk ułożymy razem.

Robota szła bez zakłóceń. Chwile napięcia przy podniesieniu i przesuwaniu na miejsce pierwszej belki mieli już za sobą. Rozległy się głośniejsze śmiechy i pokrzykiwania. Pięć sztuk ułożyli w dwie godziny. Dźwig, co prawda, kiwał się na podtorzu do przodu i do tyłu, ale operator uwierzył maszynie.

— Idzie jak po maśle — zawołał uradowany Świątek. Pracował w najgorszym miejscu, stojąc na pomoście, kontrolując punkt zakotwienia. Przy końcach strunobetonowego dźwigara po dwóch cieśli ostatecznie ustawiało go co do centymetra.

— Kalisiak, montujcie dalej, ja muszę wracać do biura. — Stachura odszedł spokojny i zadowolony. — Teraz pójdzie robota! Ależ to są zuchy.

Siadając do zaległej poczty miał jeszcze przed oczami roześmianą twarz Świątka.

— Znów się tego uzbierało — mruczał niecierpliwie, patrząc na stos pism. Przeglądał powoli korespondencję, czując wzrastający niepokój. — Podkańczam się nerwowo. No cóż, powojowało się parę lat, a i teraz też jak na froncie.

Zapalił papierosa, zamyślając się. — Na dodatek i Krysia milczy uparcie, a tak się dobrze zapowiadało. Tam gdzie ty, Kajusie... przypomniał sobie scenę z zaręczyn.

Telefon zadzwonił przeraźliwym jazgotem. Podnosił wolno słuchawkę, czując, że stało się coś tragicznego.

— Stachura, słucham...

— Panie inżynierze, nieszczęście — głos mistrza drgał mu jeszcze w uszach, gdy nie czekając na więcej słów, biegiem pędził na estakadę. Dochodząca z daleka wrzawa plątała mu nogi. Podbiegł do budynku. Śmiertelnie blady Kalisiak rozpędzał ludzi.

— Przejście, zróbcie przejście, do cholery! Puściło sprzęgło, dźwig nie wytrzymał, przycisnęło Świątka, jedną nogę, ale żyje....

Stachura rozepchnął najbliżej stojących. Belka wisiała na jednej linie opierając się skośnie na załamanym pomoście. Między stopką dźwigara a krokwiami pomostu leżał na wznak Świątek. Obok niego stał Borak skamieniały w bezradności.

Inżynier ogarnął wzrokiem scenę katastrofy. Wiedział już, dlaczego tak się stało, lecz nie widział jeszcze sposobu ratunku. Otrząsnął się z bezwładu.

— Borak, schodź ostrożnie z pomostu. Zejdź na dół i oglądaj stemple — rozkazywał donośnie. — Operator, sprzęgło trzyma trochę, czy całkiem wysiadło?

— Nie mam sprzęgła.

— Siedź w kabinie spokojnie. Wezwać natychmiast karetkę — krzyknął do zebranych. — Moliński, do aparatu! Wzywać do skutku. Wójcik z ludźmi przenieść nowe stemple na dół. Stać przy pomoście i czekać na mój rozkaz. Świątek — zawołał donośnie — trzymaj się, zaraz cię wyciągniemy.

Ruszył po złamanym w połowie rusztowaniu, posuwając się krok za krokiem, ostrożnie, oglądając z uwagą każdą deskę i belkowanie. Doszedł do Świątka.

— Trzymaj się, to nie potrwa długo.

Cieśla leżał śmiertelnie blady. Lewą nogę miał opartą wysoko o belkę. Prawa, przyciśnięta powyżej kolana, ciężarem dźwigara, została prawie zmiażdżona.

— Nie wytrzymam długo, drętwieje mi wszystko — jęknął Świątek.

Stachura wracał po chybotliwym rusztowaniu, wiedząc, że tylko ryzyko może uratować tego człowieka.

— Nie ma wyjścia, Malik, dawaj koparkę. Uniesiemy belkę za sam kraniec leżący na ścianie przyziemia. Jak się powiedzie, wyciągniemy go, jak nie, to trzeba chirurga.

— Jurek, koparka stoi od rana, pękła gąsiennica i nie mamy części — wyjąkał z przerażeniem Malik.

— Dzwonić do szpitala, niech dają karetkę z chirurgiem — dławił się niemoca Stachura.

Tłum zebranych robotników czekał w milczeniu. Szeptem podawano sobie decyzje inżyniera. Mijały minuty długie jak godziny, a karetka nie nadjeżdżała. Nagle Świątek krzyknął rozpaczliwie. Zdawało się, że nie wołał, lecz zawył z bólu i bezradności.

— Borak, siekierę! Borak, bracie, ratuj!

— Zostaw — Stachura zatrzymał idącego już brygadzistę.

— Tu nie ma innego wyjścia. Puść pan, do cholery! — szarpnął się cieśla.

— Idę z tobą, poczekaj.

Podeszli do Świątka kocimi krokami.

— Janek, poczekaj, zaraz będzie lekarz. — W głosie Boraka wyczuwało się niepewność.

— Gówno mi lekarz, zaczym przyjedzie, zdechnę. Stefek, utnij! — Świątek szarpnął się, patrząc w napięciu na kolegę. — Tnij! Nie łam się, do cholery! W powstaniu ja ciałem przysypanych, teraz przyszła kolej na mnie.

Jerzy zdał sobie sprawę, że Świątek nie czuje już bólu. Rozejrzał się po tłumie zamarłym z przerażenia.

— Tnij, Stefan, na litość boską, tnij!

Stachura podnosił cieślę przewieszającego się przez resztki połamanej balustrady. Spojrzał na Boraka i widząc w jego oczach chłodną decyzję, kiwnął głową. Dwa tępe uderzenia siekiery w ręku nawykłym do precyzji. Inżynier oburącz chwycił kikut nogi, zaciskając ucisk. Wynieśli Świątka w momencie, gdy dwie karetki wjeżdżały na budowę. Stachura stał oparty o ścianę pakamery. Twarz miał pobladłą z kropelkami potu. Ktoś podał mu kubek wody. Przełknął kilka razy nie czując ulgi. Nagle ściana pakamery zaczęła usuwać się z nim w narastającą ciemność.

— No i dograliście się — usłyszał znajomy głos.

— Ach ty, kanalio!

Resztką świadomości czuł, jak go podnoszą z ziemi. Malik z Molińskim wołali lekarza.

— Inżynier zemdlał!

— Co się stało, rany boskie! Borak biegł z ludźmi, gotów jak zawsze do pomocy. Rozepchnął grupę gapiów. Przeraził się wyglądem Stachury. Dla niego to nic. Tylko inżynier — przecież budowali razem już całe osiem lat, a wojna? Stał wpatrzony w doktora, obserwując twarz, każdy grymas, każde drgnienie, tak jakby od tego, co usłyszy, zależał własny los.

— Serce — lekarz uniósł głowę napotykając wzrok brygadzisty. — Na szczęście jeszcze nic groźnego. Odwieziemy inżyniera do domu.

* * *

Wysupłał się z trudem ze wspomnień. W drzwiach stała sekretarka z serdeczną troską na twarzy. Od pewnego czasu opiekowała się dyrektorem narażając się na jego niechęć i złośliwe komentarze ze strony pracowników dyrekcji.

— Wóz czeka, panie dyrektorze. Proszę jechać, pan musi być w formie, jutro 1 Maj...

— Gdybym to wiedział, że taka z pani piła...

— Proszę pamiętać, że jutro będzie pan miał specjalnego gościa.

— Nie znoszę specjalnych gości.

— Czy mam to powiedzieć inżynierowi Świątkowi?

(fragment większej całości)

EUGENIUSZ IWANICKI

ZWIASTUN BURZY

(W 110 ROCZNICĘ URODZIN MAKSYMA GORKIEGO)

Foto: Archiwum

Jeszcze za życia stał się symbolem. Uosabiał sobą i swoją twórczością potęgę warstw uciemiężonych, które w wyniku Rewolucji sięgnęły po władzę. Odrzucając pojęcie burżuazyjnego humanizmu, walczył o nowe wartości dla człowieka. Był przyjacielem **Lenina, Czechowa, Stasowa, Szalapina i Repina,** korespondował (oblicza się, że napisał około 20 tysięcy listów) ze wszystkimi współczesnymi mu pisarzami Rosji (w archiwum zachowało się ponad 13 tysięcy listów od pisarzy rosyjskich i radzieckich do Gorkiego), utrzymywał ożywione kontakty z czołowymi przedstawicielami literatur europejskich. W swoich notatkach wspomina, że dziennie pisze od 3 do 7 listów, (sam otrzymuje do 17 listów dziennie), miesięcznie przysyłano mu do czytania około 40 rękopisów powieści i opowiadań. Dodajmy do tego orygnialną jego twórczość: sztuki, powieści, opowiadania... Nie można także pominąć jego pracy edytorskiej, nieustających inicjatyw mających na celu stworzenie potężnych wydawnictw, zajmujących się wydawaniem „Biblioteki Poetów" dzieł pisarzy świata, historii miast i zakładów, był organizatorem domu naukowców, redaktorem wielu książek i czasopism itp. Na wszystko znajdował czas, do wszystkiego się zapalał, wszędzie był.... Ilu sławnych i znanych dziś pisarzy radzieckich zawdzięcza Gorkiemu pierwszy start, ilu z nich otrzymało od niego pomoc materialną, wydawniczą, ilu odbywało pielgrzymki do jego domu w Petersburgu czy Sorrento, by usłyszeć słowa otuchy, radę lub wskazówkę Można byłoby wymienić dziesiątki nazwisk wśród których znalazłby się **Babel, Zoszczenko, Leonow, Pasternak, Fiedin, Szołochow...** Maksym Gorki był znakomitym pisarzem, krytykiem, działaczem społeczno-politycznym. Był instytucją, ze zdaniem której liczono się nie tylko w kwestiach dotyczących literatury.

Wyszedł z ludu, z „nizin" i jak mało kto z jemu współczesnych pisarzy mógł mówić, że nic co ludzkie nie było mu obce. Przeciętny czytelnik zna Gorkiego jako płomiennego rewolucjonistę, niezmorodowanego bojownika o prawa dla uciemiężonych, szlachetnego pisarza-humanistę. Wszystko to prawda. Ale był też inny Maksym Gorki, znany wśród obdartusów i włóczęgów pod nazwiskiem Aleksy Pieszkow, nie gardzący podrzędnymi knajpami, bójkami, nie uciekający przed byle patrolem policyjnym. Wspomina **Wiktor Szkłowski** — dziś także legenda, przyjaciel Majakowskiego i futurystów — że kiedyś Gorki bił się z całą zgrają ulicników, którzy połamali mu żebra i wrzucili do rowu. Jakoś wyżył. Lecz nadal nie znał uczucia strachu. W Petersburgu, w Parku Aleksandrowskim, jakiś sołdat uderzył kobietę. Wówczas Gorki, zwinnym ruchem, z przysiadu, z półobrotu wyprowadził potężny sierpowy na szczękę rozwścieczonego żołnierza. Cios był nokautujący. Gorki pochylił się nad leżącym i powiedział: „Znalazł się zabijaka! Kto się tak bije?! Chcesz się bić, to chociaż weź w zęby furażerkę: twarz zasłonięta i zęby będą całe..." Potem — wspomina dalej Wiktor Szkłowski — Gorki zrobił mi wykład o sposobach prowadzenia bójek. Nie należy jednak sądzić, by Gorki bił się dla samego bicia — w jego pojęciu było to zawsze wymierzanie natychmiastowej sprawiedliwości na tym, kto popełnił wykroczenie. Dlatego wyczekiwał rewolucji jak miłości, która każdego obroni.

Wspomnienia ludzi współczesnych Gorkiemu, którzy znali go bliżej, tworzą barwny, bogaty w tysiące odcieni portret tego niezwykłego człowieka. Sądzę, że jego przywary i wady, łatwość płaczu w czasie słuchania poezji, jego niecierpliwość w poszukiwaniu człowieka doskonałego, który winien narodzić się po rewolucji, a tym samym jego pomyłki i antypatię — wszystko to jest dużo ważniejsze dla poznania człowieka, aniżeli setki naukowych rozpraw poddających analizie każde napisane przez Gorkiego zdanie. Raz jeszcze wrócę do notatek Wiktora Szkłowskiego, który wspomina o pionierskiej pracy Gorkiego nad stworzeniem wydawnictwa „Literatura Światowa", kiedy to Gorki zbierał naukowców, organizował im miejsca pracy, karmił ich (a co to znaczyło w owym czasie, nie trzeba przypominać). Sam Gorki ciągle się przeprowadzał, koczował. Jego pokoje przypominały częstokroć ogromne poczekalnie pełne ludzi. Pracował Gorki siedząc w starej marynarce, zaplamionej po łokcie atramentem Na marynarkę naciągał watowany chiński chałat z szerokimi rękawami. Na nogach miał ciepłe, chińskie pantofle. Pisał z rana, wielkimi literami, każdą osobno, na ogromnych arkuszach. Zresztą to przyzwyczajenie niewiele się zmieniło w późniejszych latach, kiedy Gorki stawał się coraz bardziej instytucją — celem pielgrzymek każdego początkującego pisarza, symbolem nowego zarówno w literaturze, jak i w programie rodzącego się socjalistycznego humanizmu.

Wspomniałem o szlachetnej cesze charakteru Gorkiego, przejawiającej się w niesieniu pomocy ludziom piszącym. **Kornel Czukowski,** w swojej książce „Współcześni" wiele miejsca poświęcił opisom tej niezwykłej działalności Gorkiego. Wystarczyło zwrócić się z prośbą i radą, a Gorki natychmiast podejmował się wszystko załatwić i dodał zazwyczaj, że służy „każdą sumą pieniędzy". Sam chory, właściwie chodzący z wyrokiem śmierci, nie ustawał w trosce o innych. Jeśli dowiedział się, że któryś z pisarzy pracuje nad książką, na najbliższe spotkanie przynosił ze sobą pełną teczkę książek z własnej biblioteki, traktujących o tematyce przyszłego dzieła. Był drobiazgowy, dociekliwy. Jeśli któremuś z pisarzy urodziło się dziecko, Gorki zaraz rozpoczynał staranie o smoczek, gdy ktoś chorował — zabiegał o miejsce w szpitalu, inny pragnął wypocząć — Gorki pisał podanie do instytucji o przydział miejsca na wczasach w Siestrorecku. Poetka, Natalia Gruszko, urodziła dziecko i potrzebne było mleko. „Diabli ich wiedzą — mówił. Nie ma drzewa na opał, światła, chleba, a one jakby nigdy nic — rodzą". Ale mleko załatwił. Były to lata chłodne i głodne. Porcja chleba kosztowała często życie ludzkie. Przydziały były skromne, racje mikroskopijne. Gorki, załatwiając je, z reguły podawał że to dla osób z jego najbliższej rodziny. Jako stosunek pokrewieństwa najczęściej figurowały słowa: żona, siostra, brat. Urzędnicy nie mogli się nadziwić, że tak znany pisarz a ma tyle żon.

Był samoukiem. Z reguły wiedza samouków jest nieuporządkowana, są w niej luki, brak historycznych powiązań. Natomiast Gorki zadziwiał i szokował profesorów swoją dogłębną znajomością literatury rosyjskiej i literatur innych narodów. Przewodnicząc wydawnictwu „Literatura Światowa", wprawiał w zakłopotanie sędziwych wykładowców uniwersyteckich, mówiąc o dziejach i życiu pisarzy francuskich czy angielskich, uchodzących za trzeciorzędnych, o których nikt z nich nie słyszał. To oczywiście nie upraszczało pracy, choć nie wywoływało konfliktów. Ktoś złośliwy, kto nie znał bliżej Gorkiego, powiedział z nieukrywanym lekceważeniem, że Gorki to żaden zwiastun burzy, a zwyczajny mól książkowy, uczony suchar, bowiem wyuczył się całego Brockhausa na pamięć od hasła „abort" do hasła „Zederbaum". Ten człowiek jakoś nie mógł zrozumieć, że Gorki sam jest encyklopedią, że przeczytał setki książek, dotyczących nie tylko literatury, ale elektryczności, hodowli koni czy poruszające temat bezbolesnych porodów. Zaiste, był człowiekiem ogromnej wiedzy, wyprzedzający swoją epokę, choć tak z nią związany, tak wtopiony w sprawy i ludzkie namiętności, że nikt z jemu współczesnych nie zastanawiał się nad znaczeniem Gorkiego dla rozwoju przyszłej kultury rosyjskiej.

Znał wszystko, co dotyczyło literatury jemu współczesnej, każdego początkującego poetę i prozaika witał z radością i nadzieją. Zresztą witał każdego, kto przysyłał mu swoje rękopisy, choć zdawał sobie sprawę z faktu, że piszących są tysiące, a pisarzami są nieliczni. Odpowiadając na stawiane zarzuty, że tyle uwagi poświęca beztalenciom i grafomanom, że czyni to świadomie. Bowiem nikt jeszcze nie ucierpiał od tego, że ludzie piszą, a fakt, że w ciemnej Rosji coraz więcej ludzi chwyta za pióro, jest jedynie potwierdzeniem ogromnej roli oświaty, którą młoda Republika Rad uczyniła jednym ze swoich sztandarowych haseł.

Raz jeszcze wrócę do epistolarnej działalności Gorkiego. Jest to rzadki, a może jedyny przypadek w historii kultury, kiedy jeden człowiek staje się nagle wyrocznią, opinią i krytykiem niemal każdego powstającego dzieła. W owych latach, tuż po zwycięstwie Rewolucji Październikowej, stało się regułą, że każdy z piszących podsuwał do oceny Gorkiemu swoje rękopisy. A Gorki czytał uważnie, kreślił niebiesko-czerwonym ołówkiem, poprawiał, I odpisywał, radził, pomagał, bronił. Właściwie cała jego twórczość (bo jakże nazwać te tysiące listów, w których zajmuje się nie tylko krytyką nadesłanego dzieła, ale odpowiada na pytania dotyczące przyszłości literatury, radzieckiego człowieka, humanizmu, filozofii itp.) dzieli się zasadniczo na dwa ogromne działy: twórczość czysto literacka i listy. Te ostatnie, jak już wspomniałem, pozwalają dziś nam wiele pojąć, po nowemu spojrzeć na sam proces rozwoju literatury radzieckiej, a także rzucają dodatkowe światło na poszczególne fazy tego procesu, wnoszą do naszej dotychczasowej wiedzy o przedmiocie wiele ocen, mówią o sporach i wzajemnych stosunkach pomiędzy jej twórcami. Tak więc listy interesują dziś nie tylko historyków, literaturoznawców, lecz i pisarzy. Dodatkowym ich walorem, myślę, że dość istotnym, jest i to, że poprzez te listy lepiej poznajemy także Gorkiego z całą złożonością charakteru i upodobań artystycznych. Ktoś nazwał te listy powieścią, których bohaterem jest Gorki.

Mógłbym, pisząc niniejszy artykuł, zająć się wyłącznie znaczeniem Gorkiego i jego wielkością, a także wpływem, jaki wywarł na całą plejadę radzieckich pisarzy. Lecz mnie zawsze interesował człowiek, jego małe i wielkie słabostki, jego wzloty, marzenia, jego działanie. Jakoś nie mogę oddzielić człowieka od jego pracy, od tego, co stworzył, co tworzy i jak tworzy. Stąd powyższe rozważania.

Maksym Gorki, jak wielu wielkich przed nim, przez całe życie pisał o sobie. Był tego świadom, choć — być może — nigdy nie wypowiadał się na ten temat publicznie. Natomiast w jego listach znajdujemy wiele zdań, świadczących o tej świadomości. „Wszystko, co napisał Lew Tołstoj, napisał o sobie, tak samo jak Puszkin, Szekspir, tak samo jak Goethe".

Chcę tutaj przytoczyć parę wypowiedzi Gorkiego, których na próżno by szukać w jego oficjalnych wystąpieniach i w jego książkach. Pochodzą one z jego listów do pisarzy radzieckich, a dotyczą literatury, zawodu pisarza, odpowiedzialności przed sobą samym.

„Niech pan pisze uczciwie to, o czym chce pan napisać, nie licząc się z nikim i z niczym prócz pańskiego własnego doświadczenia i tej prawdy, którą nosi pan w sobie. Niech pan ją pisze, pisze o niej, nawet wówczas, kiedy jest ona dla pana nieprzyjemna, co przecież się zdarza".

„Genialni pisarze z reguły są złymi stylistami, marnymi architektami, ale człowiek jest u nich zawsze prawdziwy, aż do fizycznego doznania".

„Artysta, to człowiek posiadający dar niepokojenia bliźniego, zmuszający go do zachwytu wbrew jego woli, do współczucia przeżywania, słowem — do kontroli emocji, które, ucieleśniając się w myśli i słowa, często stają się łańcuchami, które ten bliźni wykuł sam dla siebie. Mówiąc inaczej, artysta przywraca mnie wolności".

Oczywiście, listy Gorkiego mogą być odczytane różnie, lecz czy to będzie historyk, krytyk i artysta, czy biograf — każdy z nich znajdzie dla siebie wiele nowego, cennego, lecz przede wszystkim ujrzą oni wszyscy genialnego człowieka, który wycisnął swoją osobowością piętno na całej epoce.

Pisząc o Maksymie Gorkim, nie można pominąć jego udziału w tworzeniu młodego państwa socjalistycznego, jakim była młoda Republika Rad u początków lat dwudziestych. Szeroko są znane kontakty Gorkiego z **Leninem,** z pierwszym komisarzem oświaty, **Anatolem Łunaczarskim.** Przeglądając archiwalne zdjęcia, widać ich razem: Lenin gra w szachy z Bogdanowem, a Gorki stoi oparty o balustradę i z uwagą wpatruje się w figury rozstawione na szachownicy. Jest rok 1908 i obaj przebywają na Capri. Istnieje jednakże inna, bardziej znacząca fotografia: rok 1920, Piotrogród, Lenin i Gorki stoją na stopniach, prowadzących w głąb pałacu, patrzą obaj w obiektyw. Być może wyszli na chwilę z jakiegoś ważnego posiedzenia, na którym rozstrzygały się sprawy Rosji, może właśnie rozmawiali o tym, że trzeba na nowo, od podstaw przebudowywać psychikę narodu, że obok chleba i drzewa na opał, obok fabryk i elektrowni należy wznieść wielką budowlę literatury. Twarze mają skupione, poważne, znać, że przerwana przed chwilą rozmowa nie była łatwa.

Lenin wiedział, że Gorki zajmuje się bardzo poważnie literaturą proletariacką, pracował wówczas w Komisji d/s Polepszenia Warunków Bytowych Uczonych. „Czego oczekujecie od Komisji" — zapytał Lenin. Gorki odpowiedział, że wiele, lecz obecnie uważa, że koniecznie należy zorganizować LITWUZ (literacką wyższą uczelnię) z katedrami zajmującymi się językoznawstwem, językami obcymi — Zachodu i Wschodu — folklorem, historią światowej literatury, osobno — katedrę poświęconą literaturze rosyjskiej. „Z rozmachem i olśniewająco! — powiedział Lenin. — Że z rozmachem, to dobrze, a czy wyjdzie olśniewająco? Swoich profesorów nie mamy, a burżuazyjni taką historię wyłożą, że ho!.. Nie, teraz nie udźwignąć nam tego. Musimy poczekać trzy, pięć lat".

Ale Gorki był niecierpliwy, planował, działał, organizował spalał się w społecznym działaniu. Lenin lubił z nim rozmawiać, bowiem — jak twierdził — podobała mu się różnorodność tematyki oraz szeroki krąg przeżyć Gorkiego.

Wszyscy wiedzieli, zarówno pisarze, jak i działacze polityczni, że Gorki jest chory W owych latach głodowych powtarzały się krwotoki. Lenin, który był twardy i bezwzględny wobec siebie, bardzo martwił się zdrowiem Gorkiego. Pisał do niego: „Plujecie krwią i nie wyjeżdżacie! To przecież niemoralne i nieracjonalne. W Europie, w dobrym sanatorium możecie się leczyć i trzykroć więcej pracować. Oj, oj! A u nas — ani leczenia, ani dzieł. Ciągła krzątanina. Niepotrzebna krzątanina. Wyjedźcie, wyleczcie się. Proszę się nie sprzeciwiać".

Maksym Gorki bardzo cenił Lwa Tołstoja, co nie przeszkadzało mu zwalczać filozofię autora „Wojny i pokoju". Gorki odrzucał tołstojowski chrystianizm, niesprzeciwianie się losowi i przeciwnościom. Wychowany w ciągłej walce dwóch klas, inaczej pojmował człowieka, inaczej traktował go w rozwoju historycznym. Jego, gorkowska koncepcja „wielkiego człowieka", znalazła swoje odbicie w większości bohaterów jego książek. Dążył bowiem do stworzenia postaci historycznego działacza z całą złożoną, niepowtarzalną jego charakterystyką. Jak mało kto umiał uchwycić i narysować każdy szczegół będący indywidualnością. Jednocześnie większość swoich portretów literackich sprowadzał do ogólnego planu, w którym „wielkie" zostaje potwierdzone jako norma, jako ogólnie obowiązujący ideał człowieka. Nie możemy zapomnieć, że jako credo po dziś dzień są powtarzane jego słowa: „Człowiek — to brzmi dumnie". W jednym ze swoich ostatnich listów napisał: „Należy koniecznie napisać historię kultury jako historię rozpadu osobowości, jako odtworzenie jej drogi ku śmierci i jako historię powstania nowej osobowości, która kształtuje się w ogniu „skoncentrowanej energii" budowniczych nowego świata".

Dziś, po latach, dzieło Gorkiego jest nadal przedmiotem rozpraw i sporów naukowych, zainteresowania i coraz to nowej interpretacji. Lecz nadal pozostaje niezwykłym zjawiskiem w literaturze XX wieku. Mija właśnie 110 rocznica urodzin autora „Życia Klima Samgina" i przy tej okazji możemy na nowo sięgnąć do dorobku Maksyma Gorkiego. Okaże się wówczas, że jego dzieło wcale się nie zestarzało, choć zmieniły się pokolenia i kryteria ocen.

życiorys patrona

Dalszy ciąg ze str. 1

Tadeusz Głąbski urodził się na Retkini. Była to wieś podmiejska graniczącą z Nowym Rokiciem i Karolewem. Ziemia była tu licha, łatwo więc było o działkę, na której można było się pobudować. Domki stawiano drewniane, parterowe, czasami trafił się piętrowy, czasem murowany, należący do bogatszego chłopa, rzemieślnika czy kupca.

Z Karolewa i Retkini do Łodzi było daleko. Trzeba było 10, 15, 20 a czasem i więcej minut iść piechotą do tramwajowej pętli, przy Dworcu Kaliskim. Na Retkini było wiejsko i sielsko. Stały robotnicze domki wśród zieleni, obok grządek z cebulą, marchewką, burakami, koło zagonków z kartoflami. Stały obok kwiatów. Sąsiadowały z chłopskimi zagrodami. Ale ta sielskość była tylko pozorem. Nie przelewało się ani w robotniczych, ani w chłopskich domach.

Tadeusz Głąbski ukończył wprawdzie 4-klasową Wieczorową Szkołę Handlową, ale mając 17 lat zaczął pracować jako robotnik w Fabryce Wełny Czesankowej Markusa Kohna przy ulicy Łąkowej 5. Był chłopcem żywym i wrażliwym. Interesował go świat. Umiał obserwować otaczającą go rzeczywistość i wyciągać z tych obserwacji wnioski. Nie mógł pogodzić się ani z rzeczywistością Retkini, gdzie się wychował, ani z rzeczywistością fabryki,

gdzie zaczął pracować. W klubie sportowym „Orkan" zetknął się z lewicującą młodzieżą, przysłuchiwał się dyskusjom „wiciowców". Poznał radykalnie nastawionych chłopów ze Stronnictwa Ludowego. Te kontakty, rozmowy, dyskusje ukierunkowały jego zainteresowania. Pożyczał gdzie mógł książki i czytał. W książkach znajdował odpowiedzi na wiele nurtujących go pytań.

W 1929 roku dostał się do Fabryki Wyrobów Trykotażowych J. Frankiel, gdzie nauczył się zawodu dziewiarza. Poznał nowych ludzi, zetknął się z nowymi sprawami.

Dziewiarze stanowili wśród włókniarzy osobną grupę, uważali swój zawód za wymagający większych kwalifikacji, więcej tu pracowało mężczyzn. Byli bardziej wyrobieni społecznie i politycznie, choć ulegali różnym politycznym orientacjom.

2.

„Od roku 1931—1934 byłem członkiem KZMP. W październiku 1932 roku, po masówce przed fabryką Rosenblatta, zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu. Po siedmiomiesięcznym pobycie w więzieniu zostałem zwolniony. W 1934 roku wstąpiłem do KPP i byłem jej członkiem do rozwiązania. Należałem również do MOPR..."

Kapral Tadeusz Głąbski wrócił z wojska już jako ukształtowany komunista. Szybko włączył się do prac Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Były to lata kryzysu. A rok 1932 — czwarty rok kryzysu — był najtrudniejszy. Od 1931 roku kryzys bowiem objął już nie tylko włókiennictwo, ale też przemysł metalowy, budownictwo, przemysł chemiczny.

Fabryka wyrobów bawełnianych — S. Rosenblatt Spółka Akcyjna — mieściła się przy ulicy Karola 36. To właśnie przed tą fabryką KZMP zorganizował masówkę, w której udział brał też Tadeusz Głąbski. Aresztowano go wraz z innymi organizatorami i po 7 miesiącach zwolniono. Zaczęły się dla Tadeusza Głąbskiego trudne lata. Był to okres, kiedy nie pracował. Od czasu do czasu najmował się jako pomocnik murarza.

Wojsko nobilituje mężczyznę. Po wojsku mężczyzna może już rozejrzeć się za żoną. Po wojsku mężczyzna staje się poważnym kandydatem na męża. Ale taki kandydat musi mieć jeszcze jeden walor — pracę. Tadeusz Głąbski tego właśnie waloru nie miał. A mimo to został potraktowany poważnie. Zainteresowała się nim — z wzajemnością zresztą — dziewczyna z Retkini o cudzoziemskim nazwisku: Martini. Wołali na nią — Ziutka. Jej rodzice mieli na Retkini sklep z mięsem. Nie bardzo widział się im zięć bez pracy, bez pozycji, bez widoków na przyszłość. Odradzali córce takiego kandydata na męża. Ale ona uparła się. Kilka lat chodzili z sobą nim wzięli ślub. Dla niej był on jedynym mężczyzną, którego pokochała, i z którym chciała być do końca życia.

Dla komunisty szkołą jest życie. Przed wojną dla komunistów szkołą były więzienia. Tam, w celach, spotykając się ze sobą wymieniali doświadczenia, uczyli się, dyskutowali, pogłębiali swoją wiedzę. Tadeusz Głąbski i taką szkołę przeszedł. Wychodząc na wolność wiedział, że wybrał właściwą drogę i że trzeba kroczyć nią dalej. Z zapałem i poświęceniem oddał się dalszej działalności partyjnej, zaczął pogłębiać swoją wiedzę marksistowską.

Ci, którzy go znają z tego okresu, utrzymują, że był niecierpliwym, żywiołowo działającym człowiekiem, który zjednywał ludzi swoją wiedzą, wewnętrznym urokiem. Mówił dość szybko, jakby niecierpliwie, nie mogąc pojąć, że ktoś może nie rozumieć tak oczywistych spraw jak walka klas, wyzysk kapitalistyczny, konieczność kierowania strajkami, kształcenia się, sprzeciwiania się faszyzmowi i burżuazji. Opowiadał się za sojuszem z jednolicie frontowo nastawionymi działaczami i członkami PPS, za współpracą z radykalnie nastawionymi działaczami ruchu ludowego.

Opiekował się komórką KPP na Retkini, skupiającą kobiety. Należała do niej **Magdalena Koczaska** — żona Leona, z którym Tadeusz Głąbski przyjaźnił się i współpracował. Kierował też pracą polityczną wśród robotników Spółki Akcyjnej — Karolewska Manufaktura — Karol Krönig i S-ka, mieszczącej się przy ulicy 6 Sierpnia — dziś 22 Lipca.

Na Retkini wszyscy się znali. Byli sąsiadami, przyjaciółmi. Zbierali się na pogawędki, na plotki, na poważniejsze dyskusje. Wieść o rozwiązaniu KPP przyjęli z niedowierzaniem. Jedni mówili: — prowokacja. Inni: — nieprawda. Jeszcze inni: plotka. Ale wkrótce okazało się, że to prawda. Smutna i gorzka prawda.

Na Retkini wszyscy się znali i blisko żyli ze sobą. Nie zaprzestali działalności. Nie było więzów organizacyjnych, ale była pewność, że partia zostanie odbudowana. Kiedy? Tego nikt nie wiedział, ale wiedzieli, że nie należy przerywać działalności.

Czas był już inny. 5 maja 1939 roku minister spraw zagranicznych Polski — płk Józef Beck wygłosił w Sejmie słynną mowę, w której odrzucił terytorialne żądania hitlerowskich Niemiec. Coraz oczywistszym stawało się, że Niemcy prą do wojny i że tej wojny trudno będzie uniknąć. W lipcu i sierpniu 1939 roku ujawniono, że w okolicach Sieradza, Łasku, Wielunia, Niemcy prowadzą intensywną akcję szpiegowską i dywersyjną. Wielu młodych Niem-

Dalszy ciąg na str. 7

TOMASZ SOLDENHOFF

ANEKS DO REPORTAŻU

Kiedy 13 listopada 1977 roku czytałem na łamach „ODGŁOSÓW" swój reportaż pt. „Jedna noc na budowie wieżowca", nie sądziłem, że w parę miesięcy później przyjdzie mi do tego optymistycznego w wymowie tekstu — dopisać jeszcze jedno, ale już mało budujące zakończenie.

Gwoli przypomnienia. Przez kilka nocy, od 24 do 29 października 1977 roku, obserwowałem pracę brygad Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Uprzemysłowionego (obecnie: Łódzki Kombinat Budowlany „Wschód"), w ostatniej fazie montażu 11-kondygnacyjnego wieżowca przy ul. Wielkopolskiej. Budowano ten wysokościowiec według wysłużonej już od lat skazanej na śmierć naturalną technologii ŁSM, tej samej, którą stosowano na Teofilowie, i do której powrócono w tym roku na budowie Osiedla Teofilów D na tzw. Rogatkach.

Tempo pracy na budowie nr 23 przy ul. Wielkopolskiej hamowała nie tylko woda, zalewająca fundamenty. W końcu znaleziono na nią sposób. W przeciwieństwie do innych przyczyn długotrwałych przestojów: ciasnoty na placu budowy, uniemożliwiającej zmagazynowanie większej ilości prefabrykatów, licznych awarii wysłużonego dźwigu, kaprysów pogody. Montaż rozpoczęto 1 września. Zakończyć go planowano do 29 października. Mimo wspomnianych trudności brygady montażowe dotrzymały terminu. W konkluzji reportażu pt. „Jedna noc na budowie wieżowca", napisałem jednak: „Gdyby nie te 130 godzin postoju żurawia (to jest przeszło pięć dni!) od pierwszego września, dach byłby już skończony, a cały wieżowiec oddany do prac wykończeniowych na dwa dni przed terminem...".

Na budowę weszły brygady wykończeniowe. Spieszono się. Wszak planowano oddać budynek przed końcem kalendarzowego roku. Przewidywano, że przez tydzień potrwa usuwanie usterek. A od 10 stycznia 1978 roku lokatorzy mieli już odbierać klucze.

Stało się jednak inaczej. Jak dowiedziałem się później, pierwsi z nich odebrali klucze dopiero na początku lutego.

* * *

Powrót do tematu dokonał się w dwa miesiące później, 4 kwietnia. W niedzielne popołudnie zakłóciłem spokój kilkunastu rodzinom zamieszkałym w wieżowcu przy ul. Wielkopolskiej 64. Tym razem, zamiast barwnych opisów budowlanego trudu, przedstawię suchy rejestr tego, co tam zobaczyłem i co usłyszałem. Wnioski zaś pozostawiam Czytelnikom. Ale nie tylko im. NIE PRZEDE WSZYSTKIM IM. Nie znajduję słów „podziwu" dla beztroski, z jaką ŁKB „Wschód" i RSM „LOKATOR" z Administracja Osiedla „Żubardź", przekazały w posiadanie lokatorom ten budynek. Większość mieszkań nadawała się raczej do generalnego remontu.

* * *

Klatki schodowe robią wrażenie bezpańskich. Widać gospodarz domu nie zdążył się jeszcze wprowadzić(?). Czekając na windę czytam, że „w związku z zaistniałą pomyłką w odznaczaniu numeru waszego budynku RSM „Lokator", Administracja Osiedla „Żubardź" prosi lokatorów o dokonanie zmiany adresu w dowodach osobistych w Urzędzie Meldunkowym, ul. Tybury 5. Obecny adres brzmi: Wielkopolska 64" (czytelnicy zauważyli, z jaką lekkością administracja przechodzi do porządku dziennego nad własną pomyłką, słowa „przepraszam" naturalnie „zapomniano").

W windzie ciemno, nieosłonięta, dyndająca na kablu żarówka wali mnie w głowę. Winda szoruje o nierówne brzegi szybu. Na IX piętrze wybieram na chybił trafił drzwi. — Kiedy się wprowadziliśmy? — powtarza pytanie lokator, wyraźnie zaskoczony moją wizytą. — Klucze obiecywali już w grudniu, potem „do 15 stycznia". W końcu dostaliśmy je 1 lutego.

Dowiaduję się, że zasiedlanie budynku trwało dość długo: do 20 lutego nie pracowała winda, a światła na klatce schodowej nie było aż przez 3 tygodnie.

— Podejrzewam — mówi lokator — że z powodu tego chaosu z numerem domu i braku windy nie docierała do nas cała korespondencja. Listonosz wchodził na IX p. tylko z listem poleconym. Skrzynki pocztowej nie ma zresztą do tej pory...

Dowiaduję się także, że dom nie ma gospodarza, jedynie tzw. omiatacza. Nie pokazał się on jednak lokatorom. — Podpisaliśmy zobowiązanie o sprzątaniu klatki na swojej kondygnacji, ale czy to znaczy, że mamy posprzątać po budowlanych? — buntują się mieszkańcy.

Na moje pytanie o samopoczucie w nowym mieszkaniu, lokator 4-pokojowego własnościowego mieszkania (koszt około 400 tys. zł) oprowadza mnie po mieszkaniu, mówiąc: „Chcę wystąpić na drogę sądową, żeby Spółdzielnia zwróciła mi koszty malowania mieszkania. Ledwo się wprowadziliśmy, powinniśmy zrobić remont. Najważniejsze usterki usunięto po 3 tygodniach...".

Spartaczona jest stolarka okienna: szpary na wylot, braki w izolacji, łukowato wygięte drzwi na balkon, nie można było uszczelnić okien przed zimnem, najpierw trzeba było je naprawić, potem pomalować... W łazience ściana rozsypała się przy pierwszej próbie wbicia gwoździa. W wielu miejscach „odparza" się sufit: wystarczy większy przeciąg, a już sypie się tynk. Wiele wysiłków i cierpliwości wymaga od lokatorów walka o usunięcie tych usterek. Ponieważ odbiorowi mieszkania przez lokatora nie towarzyszył technik, nie było żadnej kontroli ze strony spółdzielni, łatwo jest obecnie komisjom usterkowym wmawiać mieszkańcom winę za grzechy budowlanych.

Następne mieszkanie, które odwiedzam, jest mniejsze, 2-pokojowe. Lokatorzy wprowadzili się dopiero 20 lutego. Matka — rencistka z synem — studentem tłumaczą mi na wyprzódki, że nie daliby sobie rady z przeprowadzką bez windy i światła na klatce schodowej. Mimo próśb i podań administracja odrzuciła jednak podanie tych lokatorów o umorzenie komornego za okres, w którym ci mieszkania jeszcze nie zajmowali. Student dość długo szuka kartki, na której wypisał wszystkie usterki. Wreszcie świstek znajduje się: usterek jest 17, z czego nie załatwionych do tej pory — 8. „Odparzanie się" tynku, zwłaszcza na suficie i za kaloryferami trapi większość tutejszych mieszkań. Tu również. Podobnie — krzywo założone, odstające od ścian są listwy podłogowe (n.b. w pomarańczowym, atakującym oczy zestawie kolorystycznym z różowymi gniazdkami elektrycznymi i zielonymi płytkami PCV). W wielu punktach płytki ruszają się, albo ułożone są nierówno. Braki w okitowaniu okien, w drzwiach do pokoju są tak duże, że szyba wyleciała przy pierwszym większym podmuchu. Przecieka miska klozetowa, wanna — jak wszędzie — jest zbyt mała: lokatorzy czynią cuda, aby — w ramach usuwania usterek — zamienić te krótkie (1,30 m) wanny na 40 cm dłuższe.

Okazują się również dodatkowe „uroki" lokalizacji wieżowca (typowa „plomba" w terenie już zabudowanym). Sąsiaduje on z grupą szkolnych boisk sportowych. Latem, przy otwartych oknach, odgłosy gry i zabawy dla osób stale przebywających w domu mogą być nie do zniesienia. Z boiska docierają zresztą nie tylko odgłosy uderzanej piłki, lecz także przekleństwa, ordynarne wrzaski i... kamienie.

Ale najbardziej rozpaczliwy widok zastałem w jednym z mieszkań na II piętrze.

— U mnie jest piegowaty pokoik! — krzyczy dziewczynka, córka właścicielki, kiedy przekraczam próg mieszkania. W dziecięcym pokoju ze wszystkich ścian i sufitu sypie się tynk. Niegdyś (krótko!) białe powierzchnie — dziś całe w krostach, bąblach, spękaniach, śladach po odpryskach. Widać już beton. Podobnie jest w innych pomieszczeniach, szczególnie za kaloryferami i rurami w łazience. Pejzaż uzupełniają krzywe listwy i płytki. Lokatorka pokazuje mi to wszystko bez słowa.

I jeszcze jedno mieszkanie. Na X piętrze, budowane ponoć „z myślą" o plastykach. Niewiele jednak różni się ono od pozostałych. Grodzeniu IX i X piętra przyglądałem się podczas październikowych nocy. Oddajmy więc najpierw to, co się należy brygadom montażowym... — krzywizny sufitu i ścian w kuchni nadają temu pomieszczeniu wygląd mansardy...

A wszędzie tam, gdzie ściany krzywo stoją — odpada tynk. Najpierw robią się bąble, które schodząc płatami pozostawiają szare miejsca: dalej jest już tylko beton. To już nie „strzelanie" tynku, lecz osypywanie się ścian. Tynk położono za grubo, albo nierównomiernie, działa wilgoć, toteż nie zdążył „się związać" ze ścianą. Pocieram ścianę dłonią: widać goły beton. Narzuta na tapczanie zasypana bielą. „Musieliśmy odkurzyć ściany... odkurzaczem — mówią lokatorzy. — Pył czuliśmy w zębach...

HANDEL DO CHRZANU

Jest rzeczą ogólnie znaną, że aby odświeżyć zaschnięty chrzan, należy włożyć go na kilka godzin do wody. Jeśli natomiast zostawić go w wodzie na kilka dni — doszczętnie zgnije od środka, ale zachowa przy tym ładny wygląd zewnętrzny, ponieważ gruba skóra chrzanu jest wytrzymalsza niż miękisz i trzyma się najdłużej.

Taki właśnie chrzan z wody kupiłam na święta w samoobsługowym sklepie przy ulicy Mostowskiego 22 w Łodzi. Krając kawałek po kawałku doszłam do końca nie znalazłszy ani centymetra nadającego się do użytku. Poszłam z reklamacją. Podeszłam do kasjerki.

— A skąd mogę wiedzieć, że to od nas? Nie było tu pani dzisiaj.

— Mam odcinek z kasy.

— Niech pani idzie do stoiska.

W kasie na Mostowskiego pracują na zmianę dwie kasjerki, obie bardzo zaradne i obyte. Przy ladzie stała dziewczyna młoda, nowa i niezaradna. Wzruszyła tylko ramionami i milczała.

— Kupiła pani u nas taki pokrajany na kawałeczki chrzan? — opamiętała się w międzyczasie kasjerka.

— Nie — odpowiadam. — Pokrajałam go, bo chciałam obrać.

— To jak ja to teraz sprzedam!

— To pani chce to jeszcze sprzedawać?! — odpowiedziałam również z wykrzyknikiem.

Wymowna cisza nie zapadła. Do akcji włączyła się druga kasjerka, z zaplecza. Mówiła, że nikt nie wejdzie do środka, żeby zobaczyć, jaki ten chrzan jest. Mówiła też jakieś inne rzeczy.

Znam tę metodę. Polega ona na tym, że nie odpowiada się na pytania, nie zwraca się uwagi na to, co ktoś mówi, a tylko gada się swoje. Mickiewicz określił to swego czasu „strzyżone-golone" a sądzę, że znano to i przed nim. Tak oto mówiąc, że nie można zajrzeć do środka, ignoruje się fakt, że ktoś już to uczynił. Tej prostej informacji nie przyjmuje się do wiadomości, sprzedanego chrzanu nie przyjmuje się z powrotem, a nie sprzedanego nie wyciąga się z wody, w której nadal czeka na kolejnych nabywców.

Panie ze sklepu przy Mostowskiego mają też na podorędziu i inne sposoby. Co odważniejsze klientki skutecznie zbija się z tropu stwierdzeniem „Pani zawsze..." lub „Pani nigdy..." (Np. „Pani zawsze jest niezadowolona" albo „Pani nigdy nie można dogodzić"). Na mnie również to podziałało jakieś dwa lata temu. Dopiero po wyjściu ze sklepu zdałam sobie sprawę z tego, że byłam tam przecież po raz pierwszy!

Wychodząc ze sklepu minęłam kolejkę do kasy i pokazałam klientom swój nabytek. Kolejka wolała nie wtrącać się. Kasjerka z zaplecza krzyknęła do kasjerki przy kasie:

— Oddaj jej 7 złotych i niech już idzie?

— A potem mam dokładać ze swojej kieszeni — odpowiedziała tamta.

A więc nie zatrzymując się już, wyszłam ze sklepu, bo w rzeczy samej nie chodziło mi o 7 złotych. Nie jestem, co prawda, bogata, ale wyjątkowo mało potrzebuję i łatwo mogę obejść się bez chrzanu. Na reklamacje zdobywam się bardzo niechętnie, bo wiem, że nie wygram, bo wiem, że zajście będzie obraźliwe, nawet jeśli nie padną obraźliwe słowa. Wiem, że pomimo wszystko zdenerwuję się. A jednak poszłam tam z reklamacją, bo czasem zmuszam się do spełnienia tego obywatelskiego obowiązku. My wszyscy za dużo milczymy. Ktoś musi się jednak poświęcać.

Na ulicy spotkałam kierowniczkę. Wszystko powtórzyło się od początku. Również oświadczyła, że przecież nie wie, co jest w środku.

ELEONORA KARPUK

tak powstawała łódzka trasa w-z

Na ostatniej Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej w Łodzi w imieniu budowniczych trasy „W—Z" Czesław Starnawski przekazał do powszechnej wiadomości zobowiązanie, że trasa otwarta będzie dla tramwajów i samochodów 15 grudnia 1978 roku w 30 rocznicę powstania PZPR. Natomiast do 30 czerwca 1979 roku gotowe mają być wszystkie przejścia podziemne.

Łódzka trasa „W—Z" nie jest jeszcze gotowa, a już staje się historią. Jej budowa wzbudziła zainteresowanie artystów i fotografików. W Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych czynna będzie wystawa obrazów i fotogramów ilustrujących budowę trasy. Trasa interesuje się również malarz Józef Wasiołek, którego prace być może również złożą się na interesującą wystawę.

Budową trasy „W—Z" interesują się też dziennikarze. Konrad Turowski towarzyszy budowie trasy „W—Z" od samego początku. Relacje z budowy publikuje w „Dzienniku Popularnym" oraz w „Odgłosach". Zgromadził też wielką ilość zdjęć, które stanowią interesującą dokumentację historii budowy łódzkiej trasy „W—Z". Dziś publikujemy kilka zdjęć ze zbioru Konrada Turowskiego.

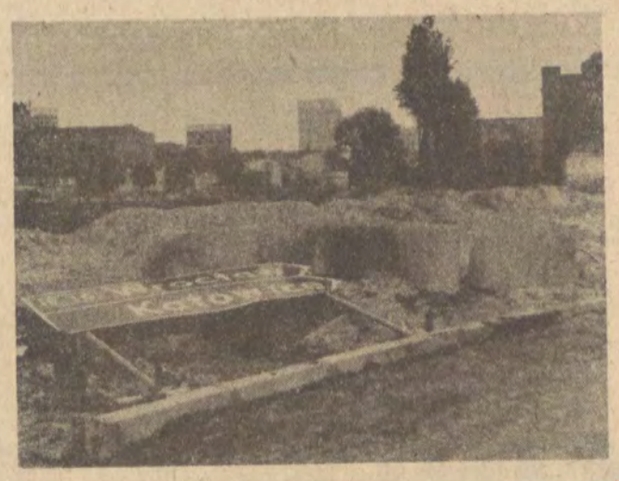

Foto: KONRAD TUROWSKI

życiorys patrona

Dalszy ciąg ze str. 6

ców znikało z domów. Przedostawali się do Rzeszy, gdzie dokładnie informowali niemiecki wywiad o poczynaniach Polaków. Na Retkini też mieszkało wielu Niemców. Do niedawna traktowano ich jak sąsiadów, przyjaźniono się z niektórymi. Teraz stosunki zaczęły się psuć gwałtownie. Niektórzy Niemcy nie kryli swoich sympatii do Trzeciej Rzeszy.

Niemieckie bombowce pojawiły się nad Łodzią pierwszego dnia wojny. 2 września 1939 roku spadły pierwsze bomby. Spadły na Dworzec Kaliski, na domy mieszkalne przy ulicy Karolewskiej i Kopernika.

Tych, którzy mieli „czarną krechę" w policyjnych aktach, nie powołano do wojska, choć nie mieli zamiaru szczędzić swojej krwi dla obrony Polski. **Władysław Lisiecki** — działacz PPR — wspomina te chwile:

„Cóż mi była winna moja napadnięta ojczyzna — rządziła w niej sanacja, ja jednak gotów byłem pójść bronić jej przed najeźdźcą hitlerowskim. Zachodzę do PKU zaciągnąć się na ochotnika, ale tam pakowali walizki..."

Tadeusza Głąbskiego nie powołano do wojska. Z uwagą nasłuchiwał komunikatów z frontu. Były przerażające. Niemieckie czołgi przerwały front pod Częstochową i prą na Radomsko. Przygnębienia nie mogła przełamać wiadomość, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom hitlerowskim wojnę. Kiedy wezwano wszystkich mężczyzn, by szli na Warszawę, ruszył z nimi i Tadeusz Głąbski.

3.

Podczas okupacji, w maju 1940 roku, zostałem członkiem Komitetu Sabotażowego w Fabryce Trykotaży Gebauer w Łodzi.

Podczas okupacji, w maju 1940 roku, zostałem członkiem Komitetu Sabotażowego rewolucyjnej organizacji antyhitlerowskiej w Łodzi. W latach 1941—1942 byłem członkiem organizacji antyhitlerowskiej Front Walki za Naszą i Waszą Wolność. W maju 1942 wstępuje do PPR i Gwardii Ludowej. W czerwcu 1943 roku zostałem aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu, skąd zostałem wysłany do obozu w Mauthausen, a następnie do Buchenwaldu. Z Buchenwaldu, w kwietniu 1945 roku, zostałem ewakuowany do Dachau. W Buchenwaldzie byłem członkiem kierownictwa organizacji obozowej PPR..."

Tadeusz Głąbski wrócił do Łodzi. Miasto tonęło w czerwieni faszystowskich flag ze swastyką. Łódzcy hitlerowcy — a okazało się, że było ich tu sporo — radośnie manifestowali zwycięstwo ich armii nad Polską.

Niemcy cieszyli się ze zwycięstwa nad Polską, a kiedy Łódź włączono do utworzonej wówczas Generalnej Guberni, nie mogli się z tym faktem pogodzić i wymusili przyłączenie jej do Rzeszy. Łódź — przemianowana później na Litzmannstadt — włączona została do Warthegau, co wywołało nową falę radości łódzkich volksdeutschów.

Wieloletnie współżycie z Polakami pozwoliło łódzkim Niemcom dobrze spenetrować polskie środowisko i teraz, kiedy gestapo przystąpiło do rozprawy z polską inteligencją i polskim narodem, mogli nieść gestapowcom pomoc, mogli wskazywać im, kto jest szczególnie niebezpieczny, kogo trzeba w pierwszym rzędzie zlikwidować. Władze polskie na dodatek zostawiły wiele różnych dokumentów, w tym i policyjne, wśród których znajdowały się kartoteki łódzkich komunistów i lewicowców. Gestapo dzięki temu miało znacznie ułatwioną pracę, a Polacy znacznie trudniejszy start do konspiracji.

Polaków obowiązywały liczne zakazy. Nie wolno było mówić po polsku w miejscach publicznych. Żenić się można było mężczyznom po ukończeniu 28 lat, a kobietom — po 25. W centrum miasta nie wolno było mieszkać od frontu, a tylko w oficynach. Wszystkich obowiązywał przymus pracy. Mimo tego, w połowie 1941 roku zarejestrowanych było w Łodzi około 30 tysięcy bezrobotnych. Nie wolno było Polakom posiadać odbiorników radiowych, aparatów fotograficznych, gramofonów, płyt, książek, instrumentów muzycznych, nart. W sklepach mogli kupować tylko rankiem i wieczorem. Nie wolno było jeździć w pierwszym wagonie tramwajowym, a w sobotę i niedzielę w ogóle nie mogli jeździć tramwajami. Nie wolno było jeździć dorożką posiadać roweru czy auta, choć posiadanie auta było wówczas wielką rzadkością. Polacy zepchnięci zostali na przedmieścia Łodzi, byli wywożeni do Niemiec na przymusowe roboty lub wysiedlani do Generalnej Guberni. Mimo tych prześladowań Polacy się nie poddali. Przystąpili do podziemnej walki z faszyzmem już od pierwszych niemal dni po upadku Polski i zakończeniu działań wojennych. Wierzyli bowiem, że Polska nie może zginąć.

Polaków zepchnięto na przedmieścia, a Żydów zamknięto w getcie, pozbawiając wszelkich praw i nadziei na przeżycie wojny. Tadeusz Głąbski, jak też wielu łódzkich komunistów i lewicowców, pomagał znajomym Żydom przewozić skromny dobytek do getta. Niektórym ułatwiano ucieczkę do Generalnej Guberni, a stamtąd do ZSRR. W końcu Tadeusz Głąbski, **Stanisław Gołębiewski** i wielu innych zdecydowało, że trzeba też ruszyć na wschód.

Doszli do Małkini i zostali zatrzymani przez Niemców. Tu spotkali tych, którym już nie udało się przejść granicy. Wrócili do Łodzi z przeświadczeniem, że i tu można walczyć, że trzeba tę walkę organizować. Był to już rok 1940.

Tadeusz Głąbski wzywał do uchylania się od pracy dla Niemców. Ogłoszony został nawet „królem bezrobotnych". A poszedł do pracy dopiero 4 maja 1942 roku, kiedy już od trzech miesięcy nie otrzymywał kartek żywnościowych. On to w pierwszych miesiącach po wojnie organizował komitet, który zajął się sprawiedliwym rozdziałem chleba, uniemożliwiając wielu piekarzom paskarskie handlowanie chlebem. Komitet stał się zbytnio popularny i trzeba było go rozwiązać, aby nie zainteresowało się nim gestapo.

Terror hitlerowców nie mógł złamać nadziei na wolność. Ludzie ciekawi byli wieści ze świata. Słuchano potajemnie radia. Na Retkini było spokojniej niż w mieście. Spotykano się w gronie przyjaciół i znajomych pod pozorem gry w szachy, karty. Można było pójść w pole na spacer i swobodnie porozmawiać. Na tych spotkaniach omawiano wiadomości z Łodzi oceniano sytuację na podstawie komunikatów radiowych i tego, co ludzie pracujący w różnych fabrykach i na kolei dowiadywali się od Niemców. Tadeusz Głąbski postarał się o mapy i pilnie śledził postępy Niemców w opanowywaniu Europy. Wiadomości nie były najlepsze, ale nadzieja na klęskę Hitlera nie gasła. W czasie tych spotkań coraz śmielej mówiono o potrzebie zorganizowanej walki. Tak powstał **„Komitet Sabotażowy do Walki z Hitleryzmem"**.

Założono ten Komitet w pierwszych dniach lipca 1940 roku na polach koło Retkini, gdzie zgromadziło się 12 osób. Był wśród nich Tadeusz Głąbski, **Leon Koczaski, Marian Kuliński...** To właśnie **Marian Kuliński** dokonał oceny sytuacji i przedstawił skutki, jakie w walce z Niemcami może mieć umiejętnie prowadzony sabotaż.

W jakiś czas później pojawił się na Retkini **Ignacy Loga-Sowiński.** On to między innymi wysunął myśl prowadzenia również walki zbrojnej, a także wydawania własnego tajnego pisma, które by dało Polakom świadomość potrzeby mobilizowania się i skupiania wokół walczących i pokazywałoby, że naród nie poddaje się mimo prześladowań. Pismo takie ukazało się po utworzeniu tajnej organizacji **„Front Walki za Naszą i Waszą Wolność"** i taki też nosiło tytuł. W maju 1942 roku powstała w Łodzi **Polska Partia Robotnicza.**

Informacje o ożywionej działalności komunistów w Łodzi dotarły również do gestapo. Dysponując aktami przedwojennej policji politycznej — „defy" postanowili przeniknąć do konspiracyjnych organizacji i rozbić je od wewnątrz. Plan ten po części im się udał, ale nie ze wszystkimi poszło im łatwo. Gestapo aresztowało między innymi karanego przed wojną za działalność komunistyczną — **Leona Koczaskiego.** Poddali go torturom, a później, oświadczając, że i tak wszystko o nim wiedzą, zaproponowali... współpracę

— Z naszych rąk nie wymkniesz się — powiedzieli mu — chyba do nieba...

Leon Koczaski poprosił o czas do namysłu. Nie podejrzewali podstępu. A on po prostu ukrył się. Gestapowcy go nie znaleźli. KC PPR wysłał go na partyjną robotę do Poznania, a później w Kieleckie do partyzantki, gdzie zginął z rąk NSZ-towców.

W tym czasie w mieszkaniu u Głąbskich zbierało się wiele osób. Bywali tutaj między innymi i **Ignacy Loga-Sowiński** i **Mieczysław Moczar.** Odbywały się zebrania kierownictwa partyjnego i Gwardii Ludowej. Tadeusz Głąbski przez pewien czas był sekretarzem Komitetu Dzielnicowego PPR Śródmieście-

Dalszy ciąg na str. 8

życiorys patrona

Dalszy ciąg ze str. 7

Prawa. Współpracowali z nim wtedy: **Józef Zagozda, Jan Lewandowski** — dowódca GL w tej dzielnicy, **Julian Lisowski i Zdzisław Lisowski, Władysław Partyka, Czesław Hutor, Franciszek Witczak, Marian Lik, Helena Milczarek i Bolesław Gnarowicz.**

Zdecydowano, aby u Głąbskich się nie spotykać, a Tadeuszowi Głąbskiemu zalecono, aby wyjechał z Łodzi do Warszawy. Było to już po odwołaniu **Ignacego Logi-Sowińskiego** przez KC PPR do Warszawy. Na jego miejsce sekretarzem Komitetu Obwodowego PPR w Łodzi powołany został „Władek" — **Stefan Przybyszewski.** W Warszawie Tadeusz Głąbski spędził kilka tygodni i otrzymał w KC PPR polecenie wyjazdu do Łodzi z instrukcjami. Trzeciego dnia po przyjeździe został aresztowany.

Po przesłuchaniach na Anstadta, gdzie mieściło się łódzkie gestapo, wywieziono Tadeusza Głąbskiego do obozu w Mauthausen. Okrutne życie obozowe było wytchnieniem po gestapowskich torturach, nieustannym biciu i bólem wymuszaniu zeznań. Tadeusz Głąbski nie załamał się. Prowadzący śledztwo gestapowiec zanotował:

„Ponieważ jego zeznania są konieczne dla objęcia dalszych kręgów naszych przeciwników, celem przeprowadzenia dalszego śledztwa proponuję zastosowanie zaostrzonych środków przesłuchania..."

Obozowe życie też go nie załamało. Po przewiezieniu do Buchenwaldu włącza się do działalności istniejącej tam tajnej organizacji zwanej **„Lewicą Polską".** Założyli ją wywiezieni tu działacze PPR. W grudniu 1942 roku miała ona 5 komórek. Liczba członków **„Polskiej Lewicy"** rozszerzyła się w marcu i kwietniu 1943 roku, kiedy przywieziono do Buchenwaldu więźniów z Oświęcimia i Majdanka, którzy zostali aresztowani i osadzeni w obozach za przynależność do PPR. W czerwcu 1943 roku powstała obozowa organizacja PPR. W połowie października przywieziono do Buchenwaldu członków łódzkiej organizacji PPR.

Tadeuszowi Głąbskiemu powierzono kierownictwo obozowej organizacji PPR. Został on też przedstawicielem polskiej lewicy w **Międzynarodowym Komitecie Obozowym.** W styczniu 1944 roku utworzono nowe kierownictwo PPR. Sekretarzem organizacji obozowej został **Eustachy Rudziński,** kierownikiem organizacyjnym — Tadeusz Głąbski, nadzór nad komitetem antyfaszystowskim otrzymał **Henryk Sobolak.** W połowie lipca 1944 roku do kierownictwa organizacji obozowej PPR dokooptowano — na wniosek Tadeusza Głąbskiego — łódzkiego komunistę, **Jana Izydorczyka.** Obozowa organizacja PPR w Buchenwaldzie od stycznia 1944 roku należała do **Międzynarodowego Komitetu Obozowego,** w skład którego wchodzili przedstawiciele partii komunistycznych Austrii, Niemiec, Czechosłowacji, Francji i ZSRR. Przedstawicielem PPR w Międzynarodowym Komitecie Obozowym został **Jan Izydorczyk.**

Tadeusz Głąbski miał bardzo trudną rolę w obozie. Prowadzenie działalności konspiracyjnej w obozie wymagało wielkiego hartu ducha, odwagi i samozaparcia. Zadaniem Tadeusza Głąbskiego było nawiązanie kontaktu z grupą lewicowych inteligentów zamkniętych w obozie i przyciągnięcie ich do PPR. Dzięki jego wysiłkom wzrosła liczba członków organizacji, jej praca nabrała siły. Wielkie znaczenie miało wyjaśnianie celu walki i budzenie w więźniach wiary w ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem. Dzięki temu ludzie nie upadali na duchu, starali się przetrwać najokrutniejsze chwile, wytrzymać wszystko, aby doczekać wolności. Dzięki temu można było myśleć o ratowaniu najbardziej zagrożonych, o wydzieraniu hitlerowcom pewnych już ofiar.

Następnym zadaniem Tadeusza Głąbskiego było rozpoznawanie ludzi w transportach przywożonych do obozu. Chodziło między innymi i o to, aby wyławiać inżynierów, lekarzy techników ludzi wykształconych, których należało chronić i pozyskiwać do obozowych potrzeb. Chodziło też i o to, aby chronić ludzi wycieńczonych i chorych przed niechybną śmiercią, aby zapewnić im lżejszą pracę, a tym samym możliwość przetrwania. W tym celu trzeba było postarać się o takie rozlokowanie członków PPR w różnych obozowych „instytucjach", aby mieli oni wpływ na ochronę ludzi polecanych przez organizację.

Obozowa organizacja PPR wysyłała ludzi do innych obozów, kiedy szykował się transport, aby tam mogli dalej prowadzić pracę, a niekiedy zaczynać ją od nowa. W kwietniu 1944 roku było już w Buchenwaldzie 147 członków PPR. W lutym 1945 roku — 243. Dziewięćdziesiąt osób należało do młodzieżowej grupy PPR, a Armia Ludowa liczyła 85 osób, w tym 27 polskich oficerów i wchodziła w skład międzynarodowych więźniarskich sił zbrojnych. Do **Międzynarodowego Komitetu Obozowego** przyjęto też organizacje komunistyczne Jugosławii Belgii, Holandii, Luksemburga i Włoch. We wrześniu 1944 roku Tadeusz Głąbski ponownie został powołany do kierownictwa obozowej organizacji PPR.

W kwietniu 1945 roku Tadeusz Głąbski wraz z innymi więźniami został przewieziony do Dachau, gdzie doczekał się wyzwolenia. Do Łodzi wrócił w maju 1945 roku.

4.

„Po wyzwoleniu, od lipca 1945 roku do 15 września 1949 roku pracowałem w Komitecie Łódzkim PPR i PZPR zajmując kolejno stanowiska: zastępcy kierownika wydziału propagandy zastępcy kierownika wydziału personalnego i kierownika wydziału personalnego.

Od 15 września 1949 do lipca 1958 roku pracowałem w Centralnym Zarządzie Przemysłu Papierniczego w Łodzi pełniąc funkcję szefa działu personalnego, a następnie kierownika wydziału zatrudnienia i pracy. Od 1 lipca 1958 roku pracuję w Komitecie Łódzkim PZPR w charakterze sekretarza."

Życiorys ten napisał Tadeusz Głąbski 20 marca 1964 roku. Obok podpisu umieścił adres: Łódź, ulica Celna 6 m. 3. Ulica Celna jest niewielka, zaledwie kilka domów. Znajduje się ona między ulicą Małgorzaty Fornalskiej, a ulicą Cypriana K. Norwida. Wkoło wyrosły bloki, a na ulicy Celnej nadal stoją piętrowe domki. W takim właśnie domu zamieszkał Tadeusz Głąbski.

— Dziś powiedzielibyśmy o nim — wspomina Małgorzata Koczaska — że jest człowiekiem dziwnym. Może nawet dziwakiem. Był do przesady skromny. Zawsze na pierwszym miejscu stawiał sprawy innych. Był dla siebie niezwykle wymagający, ale też nie chciał żadnych przywilejów. Dopóki nie zaczął chorować na serce, nie godził się, aby służbowy samochód przywoził go i odwoził do pracy. Bardzo długo nie chciał

Dalszy ciąg na str. 9

70—LECIE ZWIĄZKU WŁÓKNIARZY

KONRAD FREJDLICH

Zrodzony

Kiedy w roku 1828 Ludwik Geyer przybył do Łodzi przywożąc ze sobą dobytek, który z łatwością mieścił się na jednym wozie ani przy uszczał późniejszego rozwoju wydarzeń. Przemysł maszynowy znajdował się w powijakach, ruch robotniczy właściwie nie istniał. Przyszły potentat łódzki zamieszkał w parterowym drewnianym domku o dwóch izbach. Zaczął tam drukowanie perkali.

Włókiennictwo w Polsce miało już w tym czasie długą tradycję. Bielsko-Biała, która wyrosnąć miała w dziewiętnastym stuleciu na poważny ośrodek przemysłowy, już w XII wieku zasłynęła z wyrobu sukna. Trzeba było upadku feudalizmu aby wyzwolić rewolucję przemysłową, która przeobraziła się następnie w rewolucję społeczną. Jej korzenie tkwiły już w samej istocie kapitalizmu, który uruchomił procesy rozsadzające go od wewnątrz.

Kiedy władze Królestwa Polskiego podjęły decyzję uprzemysłowienia miasteczek rządowych, ich wzrok padł na słynącą z obfitości wody Łódź. Na polecenie prezesa Komisji Wojewódzkiej Województwa Mazowieckiego Rajmunda Rembielińskiego burmistrz Czarkowski sporządził raport, z którego wynika, że ludność planowanej osady fabrycznej liczyła 767 głów. Domów murowanych w Łodzi nie było, rękodzielni także, z wyjątkiem młyna. Podstawą utrzymania mieszkańców było rolnictwo. W niecałe dziesięć lat później, bo w roku 1829 miasto miało już blisko 5.000 mieszkańców. W roku 1845 prawie 14.000. Dwanaście lat później ich liczba podwoiła się. A w kwietniu 1861 roku władze spotkały się z nowym dla nich zjawiskiem — buntu tkaczy, którzy wybili okna w fabryce Prossaka i zniszczyli maszyny w fabryce Scheiblera. Była to żywiołowa reakcja na kryzys w przemyśle, który rujnował rękodzielników, interweniowali kozacy.

Trzydzieści lat później wybuchnie ponownie bunt, który zyskał sobie w historii miano „buntu łódzkiego". 2 maja 1892 roku zastrajkowali robotnicy ośmiu małych fabryk. Wrzenia nie dało się opanować, rozciągnęło się na całe miasto. 6 maja nie pracowała już ani jedna maszyna, przemysł został doszczętnie sparaliżowany. W starciach z wojskiem sprowadzonym do uśmierzenia buntowników zginęło dwieście osób. Przeprowadzono liczne aresztowania. Rozwój wydarzeń zaskoczył nie tylko przemysłowców, był czymś zupełnie nowym także dla robotników którzy, mimo poniesionych ofiar uzmysłowili sobie własną siłę. A przecież byli zupełnie niezorganizowani. Powołany w ślad za rozbitym „Proletariatem" Związek Robotników Polskich którym kierował Julian Marchlewski, był zbyt słaby, aby objąć przewodnictwo w żywiołowym ruchu strajkowym.

Związek ten powstał w Łodzi w roku 1889, ale szybko znalazł sobie drogę do robotników innych miast. Działając w konspiracji nigdy nie stał się ruchem masowym choć jego przywódcy dążyli do objęcia swym działaniem wszystkich pracujących Królestwa. W tym celu, korzystając z doświadczeń partii „Proletariat", przystąpili do tworzenia kas oporu. Powołali także do istnienia w Warszawie „Ogólnorobotniczą Kasę Oporu", która miała wypłacać strajkującym stałe zapomogi tygodniowe. Jej statut głosił:

„Członkiem Kasy Oporu może być każdy robotnik bez różnicy fachu, stopnia uzdolnienia, narodowości, płci i wieku. Nie może zostać członkiem kasy robotnik, który się splamił nieuczciwym postępowaniem względem kolegów, który na nich donosił władzy, ujawnił brak solidarności lub tchórzliwe, służalcze usposobienie."

Ze względu na tragiczne położenie pracujących i niską świadomość związek rzucił początkowo hasło walki ekonomicznej, ale okrzepnąwszy, podjął działalność polityczną. Hasła te trafiały na podatny grunt, czego dowodem choćby wielki bunt łódzki stanowiący pierwszą w tej skali na ziemiach polskich próbę sił między robotnikami a burżuazją. I choć Związek Robotników Polskich został rozbity, jego dziedzictwo przejęły wkrótce dwie wielkie partie: PPS i SDKPiL. Dzięki nim możliwy był wybuch, który do głębi wstrząsnął imperium Romanowych: rewolucja 1905 roku. Był to już nie spontaniczny bunt, ale powstanie zbrojne. W czerwcu na ulicach Łodzi wyrosły barykady. Walki, z różnym nasileniem, trwały blisko dwa lata. W tym czasie idea tworzenia związków fachowych do obrony interesów pracowniczych stała się nieodłącznym elementem świadomości robotników fabrycznych. Pod presją wydarzeń carat musiał pójść na ustępstwa wydając w roku 1906 „przepisy tymczasowe o związkach i stowarzyszeniach". Była to z jego strony rozpaczliwa próba uznania istniejących realiów politycznych i objęcia ich kontrolą. Ale robotnicy nie chcieli pójść na ugodę z caratem. Ich partie polityczne wypowiedziały się przeciw legalizacji związków zawodowych.

2.

Na początku XX stulecia przemysł włókienniczy Królestwa Polskiego zatrudniał blisko 140.000 robotników, co stanowiło połowę całego polskiego proletariatu przemysłowego. Była to już potężna armia ludzi, choć niedostatecznie zorganizowana.

Nastroje tamtego okresu doskonale oddają pamiętniki wybitnego działacza SDKPiL Stanisława Pestkowskiego, który wspominał po latach:

„W sierpniu 1904 r. wypuszczono mnie z X Pawilonu za kaucją w wysokości 1.000 rubli, z miejscem dozoru w Łodzi. Na jakieś dwa lub trzy tygodnie przed mym uwolnieniem zabito w Petersburgu ministra Plehwego. Porażki armii carskiej na froncie wojennym wzmocniły ruch liberalny. Sytuacja stawała się z dnia na dzień coraz bardziej rewolucyjna.

Przyjechawszy do Łodzi przekonałem się, że centrum przemysłu włókienniczego śpi jeszcze. Organizacja nasza liczyła w tym czasie zaledwie około 25 członków. W porównaniu z dawnymi czasami zaszła jednak zmiana na lepsze: większość członków stanowili już robotnicy wielkich fabryk włókienniczych".

W kilka miesięcy później sytuacja zmieniła się: łódzcy włókniarze stali się najbardziej radykalnym elementem spośród wszystkich robotników Królestwa. Upadek krwawo stłumionej rewolucji nie spowodował zmiany tych nastrojów, choć zmusił do zmiany taktyki. Chyba dlatego grupa robotników łódzkich odbyła konspiracyjne zebranie w Bedoniu decydując się na zalegalizowanie nowo założonej organizacji w myśl obowiązujących wówczas przepisów o stowarzyszeniach i związkach zawodowych. Jest rzeczą charakterystyczną, że na statucie złożonym władzom gubernialnym nie figurowało ani jedno nazwisko przedstawiciela faktycznego zarządu, dokument firmowali, chroniąc swych przywódców, inni robotnicy.

Wspomina weteran ruchu robotniczego, jeden ze współzałożycieli Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Włóknistego w Królestwie Polskim, Józef Chruścik:

„W maju 1907 roku odbyło się pierwsze zebranie sprawozdawcze zarządu tymczasowego. Ponieważ, jak wspomniałem, był to maj, ktoś rzucił myśl odbycia zebrania sprawozdawczego w lesie, pod pozorem wycieczki. Licząc się z niebezpieczeństwem napaści kozaków, wystawiliśmy z fabryki Scheiblera dwie piątki bojowe, złożone z dzielnych, oddanych sprawie robotników. One zabezpieczały zebranie.

Po zebraniu odbyła się oczywiście również najprawdziwsza majówka. Wytoczyliśmy dwa antałki piwa, bawiliśmy się przy muzyce. Było także trochę kobiet, wprawdzie nie delegatek, ale i one miały poważną rolę podobnie jak harmonia — pozorowania zabawy na wolnym powietrzu. Tak więc po zebraniu mieliśmy trochę tańca i radości.

Zgodnie z zadaniem nakreślonym przez te pamiętne zebranie udało się po wielu trudnościach i żmudnych staraniach, w lipcu 1907 roku, zalegalizować u władz gubernialnych naszą organizację."

Z pierwszego lokalu na Piotrkowskiej, który okazał się za mały, związek przeniósł swoją siedzibę do leśniczówki przy ulicy Łąkowej. 2 lutego 1908 roku odbył się w niej pierwszy zjazd delegatów z dwunastu miast, którzy radzili nad taktyką działania. Obok postulatu walki o poprawę bytu padały hasła szerokiej edukacji kulturalnej, co znalazło wyraz w uchwale:

„Uznając podniesienie poziomu umysłowego mas robotniczych za jedno z największych zadań związku, walne zebranie wzywa zarząd i oddziały do nawiązania stosunków z bezpartyjnymi kulturalno-oświatowymi instytucjami w celu wspólnego zorganizowania wykładów dla członków związku — wykładów ogólnokształcących, technicznych i specjalnych związkowych — do urządzania czytelń i biblioteczek w oddziałach ze specjalnym uwzględnieniem literatury ekonomiczno-społecznej".

Bo Związek Włókniarzy od początku swego istnienia dbał o robotniczą godność i rozwój duchowy ludzi pracy na równi z zapewnieniem im najlepszych warunków pracy i płacy. Osiągnięcie tego nie było proste, mimo legalności działania, która trwała wyjątkowo krótko. Już 13 kwietnia władze gubernialne zawiesiły działania związku, a następnie rozwiązały go. Na działaczy związkowych spadły surowe represje. Naczelnik zarządu żandarmerii donosił swojej zwierzchności, że działalność związku jest pod każdym względem szkodliwa politycznie. Ale mimo licznych aresztowań robotnicy nie pozwolili się rozbroić, ich związek zszedł do podziemia. Strajki wybuchały jak dawniej. Szczególnie wielki miał miejsce w Łodzi w początku 1913 roku, kiedy rzuciło pracę 30 tysięcy robotników. Kiedy fabrykanci ogłosili w rewanżu lokaut, do strajkujących robotników przyłączyli się ich koledzy z czynnych jeszcze zakładów. Kominy w mieście przestały dymić.

W końcu tegoż roku SDKPiL, PPS-Lewica i „Bund" wspólnie wyłoniły komisję, która miała za zadanie uzyskać legalizację związku u władz. Jej starania zakończyły się powodzeniem. „Zawodowy Związek Robotników i Robotnic Przemysłu Włókienniczego w m. Łodzi — głosi dokument z 6 października 1913 roku — wciągnięto do rejestru zawodowych związków Gubernii Piotrkowskiej za nr 80 na podstawie orzeczenia o związkach Piotrkowskiego Urzędu Gubernialnego z dnia 25 września br." W zebraniu organizacyjnym, któremu przewodniczył Stanisław Sobolewski, wzięło udział po legalizacji 145 osób. Podczas obrad żandarmi aresztowali 60 delegatów. Mimo to już wkrótce odbył się walny zjazd reaktywowanego związku. Jego działalności nie zahamował nawet wybuch I wojny światowej, chociaż cele uległy pewnej minimalizacji. Głównym zadaniem było teraz zorganizowanie samopomocy robotniczej, tworzenie tanich kuchni, herbaciarni, kooperatyw i piekarni. Były to wszystko akcje, które miały przynieść doraźną pomoc najbardziej potrzebującym, ale cementowały solidarność robotniczą i budowały zaufanie do ich organizacji. Klasa robotnicza Łodzi była już świadoma swych celów.

3.

Kiedy w roku 1917 zmieciony falą rewolucji runął tron Romanowów w

w walce

Polsce, po przeszło stu latach niewoli, zaświtała nadzieja na niepodległość. Jednym z pierwszych aktów zwycięskiej rewolucji socjalistycznej w Rosji było przekreślenie rozbiorów. Niepodległość zastała naród podzielonym. Kiedy sprawy granic Polski ważyły się w Wersalu, w kraju minęła już euforia wolności i rozpoczęła się zaciekła walka polityczna o charakter wskrzeszonego państwa. Powołane wzorem Rosji Radzieckiej Rady Delegatów Robotniczych pozwoliły sobie wydrzeć władzę, która była w zasięgu ręki. Rozwiązanie Rad zahamowało proces reform społecznych. Niepodległa Polska wkroczyła do rodziny krajów burżuazyjnych. Ale robotnicy nie pozwolili sobie odebrać tych skromnych zdobyczy, które przyniosła im wolność w roku 1918. Nastroje rewolucyjne utrzymywały się, nadzieje na społeczny rozejm rozwiały się ostatecznie. W roku 1919 pod wpływem komunistów powstała Centralna Komisja Klasowych Związków Zawodowych. Za jej przykładem jednoczyły się rozbite dotąd związki branżowe. W Łodzi odbył się zjazd zjednoczeniowy Związku Zawodowego Robotników i Robotnic Przemysłu Włókienniczego w Polsce. Od pierwszej chwili postawił on sobie za cel obalenie ustroju kapitalistycznego, co podkreślił ówczesny przewodniczący Antoni Szczerkowski. „W zmienionych warunkach politycznych — podkreślił — w niepodległej Polsce, mimo trwającej strasznej nędzy i prześladowania ruchu robotniczego przez reakcję, mieliśmy możność zwołać Zjazd Delegatów, przed którym stoją wielkie zadania — obrony interesów robotniczych w jednej z największych gałęzi przemysłu".

Związek znalazł się w orbicie wpływu komunistów i to oni wypracowali program jego działania. W uchwalonej na zjeździe rezolucji stwierdzało się, że „między interesami międzynarodowego proletariatu i interesami burżuazji istnieje sprzeczność, dająca się rozwiązać tylko przez rewolucyjną walkę proletariatu wszystkich krajów."

Nie była to tylko zapowiedź walk. W tym czasie władze przetrzymywały w areszcie Władysława Chrzanowskiego, którego zjazd wybrał przewodniczącym Zarządu Głównego. Ugodowi działacze znaleźli się w mniejszości. Ten radykalizm zyskał uznanie robotników. W przeciągu sześciu lat liczba członków związku potroiła się, osiągając ponad 90 tysięcy. Ponad dwukrotnie wzrosła liczba oddziałów w całym kraju.

Lewica związkowa prowadzi zdecydowaną walkę o poprawę warunków życia i pracy robotników, usiłuje rewindykować straty, jakie pracownicy ponosili nieustannie wskutek postępującej inflacji. Ośrodki przemysłu włókienniczego są więc widownią licznych strajków, często zakończonych zwycięstwem. Sytuacja ekonomiczna kraju jest jednak taka, że położenie klasy robotniczej nieustannie się pogarsza: przemysł włókienniczy sparaliżowany jest głębokim kryzysem. W lipcu 1923 roku proklamowany więc został strajk powszechny. Doszło do rozruchów ulicznych, w tłum padły salwy policji, dwóch robotników poniosło śmierć.

Wspomina Józef Ambroziak:

„We wszystkich dzielnicach miasta kotłowało się. Na ulicę wyszli starzy i młodzi udając się na pobliskie rynki i place gdzie odbywały się wiece i masówki. Centralnej manifestacji nie organizowaliśmy. Nie chcieliśmy ułatwić policji zadania. Poza tym nie było ku temu odpowiednich warunków. Chodziło o spełnienie wysuniętych żądań: umowy zbiorowej, stabilizacji pieniądza, powołania komisji z przedstawicieli robotników i przemysłowców dla stałego badania wzrostu cen na artykuły pierwszej potrzeby, by wraz z tym wzrostem automatycznie podwyższono zarobki. Żądaliśmy wreszcie zawarcia pełnego porozumienia handlowego ze Związkiem Radzieckim.

Narady przedstawicieli wszystkich związków zawodowych z delegatami przemysłowców i rządu odbywały się w tym czasie, kiedy na mieście trwały burzliwe manifestacje robotnicze. Drugiego dnia rozmów, na znak poparcia strajkujących, pracownicy gazowni i elektrowni przystąpili wieczorem do solidarnościowego strajku. Miasto ogarnęły ciemności. Było to celne uderzenie — przyspieszyło ono zwycięskie zakończenie rozmów i podpisanie przy świecach protokołu porozumiewawczego obu stron. Następnego dnia rano, na dwóch wiecach, w kinie „Oświatowym" przy Wodnym Rynku i w kinie „Rekord" przy Górnym Rynku, wobec kilkudziesięciu tysięcy włókniarzy Główny Komitet Strajkowy ogłosił zakończenie strajku".

Jak w czasach zaborów pracownicy przemysłu włókienniczego stanowili najbardziej radykalny odłam klasy robotniczej. W roku 1923 wysunęli się na pierwsze miejsce w kraju pod względem liczby strajkujących, bowiem rzuciło swoje warsztaty blisko 300 tysięcy włókniarzy w Łodzi, Bielsku-Białej, Białymstoku i mniejszych ośrodkach. I tak jest właściwie przez całe międzywojenne dwudziestolecie. Wspomnienia spisywane po latach przynoszą wspaniałe przykłady hartu działaczy i szeregowych członków związku, osiągnięcie ustępstw ze strony właścicieli fabryk okazuje się coraz trudniejsze, toteż strajki trwają tygodniami i miesiącami. Ulotki nawoływały zrozumiałym dla wszystkich językiem:

„Nie wystarczy siedzieć w chałupie, żeby osiągnąć zwycięstwo. Trzeba wyjść na ulicę! Zatrzymujcie fabryki, które jeszcze idą. Walczcie z łamistrajkami!"

Nawet w latach 1929—1931, w latach światowego kryzysu, ruch strajkowy nie ustawał. Zmieniła się tylko taktyka. Aby osiągnąć zwycięstwo robotnicy organizują coraz częściej strajki okupacyjne które uniemożliwiały właścicielom fabryk zatrudnianie łamistrajków łamiąc solidarność pracujących. O werbunek łamistrajków nie było trudno: w samej tylko Łodzi w roku 1928 zarejestrowanych było 55 tys. bezrobotnych, choć prawdziwa liczba pozostających bez pracy była znacznie większa. Stan zatrudnienia w przemyśle włókienniczym był coraz niższy. W roku 1929 pracowało w nim 177 tysięcy osób, w cztery lata później już tylko 100 tysięcy. Jednocześnie rosła liczba bezrobotnych: z 46.500 w 1925 roku do 70.000 w roku 1933.

W roku 1928 wskutek ciągłego uszczuplania zarobków robotnicy Wydzewskiej Manufaktury zorganizowali strajk który przekształcił się następnie w strajk okupacyjny. Jako pierwsi porzucili pracę przędzalnicy, a do nich przyłączyły się inne wydziały kombinatu. Henryk Granicki, który w roku 1928 odbywał w Wimie praktykę zawodową, wspomina:

„Wieść o strajku okupacyjnym obiegła Łódź. Wima była oblężona przez rodziny strajkujących. Chodniki i jezdnia były tak przepełnione że tramwaje z wolna przepychały się przez tłum. Bramy były obsadzone przez policję, która nikogo nie wpuszczała do środka i nie pozwalała podawać okupującym jedzenia ani odzieży. Z przejeżdżających wagonów tramwajowych wyskakiwali robotnicy, przerzucali przez płot żywność po czym wskakiwali z powrotem lub znikali w tłumie.

Powstał Komitet Pomocy dla Strajkujących, korzystający w znacznej mierze z poparcia rzemieślników i sklepikarzy Widzewa. Ci byli bezpośrednio zainteresowani w tym, aby robotnicy Wimy wywalczyli zniesienie przymusu dokonywania zakupów w konsumie na specjalne książeczki."

W dziesięć lat później wybuchł w Łodzi trwający piętnaście tygodni strajk okupacyjny w fabryce Haeblera. Strajkiem tym kierowały kobiety, które mimo zbliżającej się Wielkanocy postanowiły okupować zakłady na znak protestu przeciwko zlikwidowaniu jednej zmiany. Święta spędzono pośród zatrzymanych maszyn.

Wspomina Maria Dzikowska, jedna z najaktywniejszych uczestniczek komitetu strajkowego:

„W portierni dyżurowały niezmiennie nasze warty. Nie stawiały nikomu przeszkód przy wyjściu z fabryki. Raz w tygodniu każda robotnica i każdy robotnik miał prawo wyjść na cały dzień do domu, aby załatwić najpilniejsze sprawy rodzinne. Matki dokonywały wtedy prania bielizny dla swych dzieci, przygotowywały pożywienie na następny okres i wieczorem wracały na swe stanowiska strajkowe.

Początkowo jadaliśmy w tej samej sali, w której sypialiśmy. Tymczasem coraz szybciej stawało się widoczne, że określenie końca walki jest niemożliwe, wobec czego zaczęliśmy rozglądać się za zorganizowaniem kuchni i stołówki. Na podwórzu fabrycznym stał budynek, w którym znaleźliśmy duży kocioł. Niegdyś przyrządzano w nim żarcie dla koni i psów. Obok mieściła się stołówka nocnych dozorców. Zabraliśmy się do dzieła. Wyszorowaliśmy kocioł, wymyliśmy podłogę, ławki, stoły. Zaniedbane i niemożliwie brudne pomieszczenie nabrało schludnego wyglądu. Niejedna z nas podczas tych czynności zapewne wracała myślą do swego własnego mieszkania i najwyraźniej stęskniona za robieniem porządków — z furię czyściła do połysku wszystko, co jej wpadło w ręce."

Nie dziwmy się determinacji tych kobiet. Przemysł włókienniczy tradycyjnie opierał się na ich pracy, stanowiły one znaczny procent zatrudnionych. Czytając suche liczby o ruchu strajkowym trzeba mieć przed oczami obraz tych właśnie kobiet które porzucać musiały własne dzieci, aby walczyć dla nich o chleb. I tak było aż do wybuchu wojny.

4.

W ciągu swych siedemdziesięciu lat istnienia Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Włókienniczego Odzieżowego i Skórzanego, bo taka jest jego dzisiejsza nazwa, zapisał się trwale w historii walk klasowych. Powstanie Polski Ludowej, zwycięstwo rewolucji społecznej przybliżyło ideały, za które oddali swoje życie ofiarni działacze i zdeterminowani robotnicy w okresie walki z wyzyskiem. W nowej sytuacji historycznej rola związków zawodowych nie zmalała zmieniły się jednak ich zadania. Stoją one dziś na straży sprawiedliwego podziału dochodu narodowego wspólnie wypracowanego w halach fabrycznych, kopalniach, na budowach. Są także współgospodarzami uspołecznionych zakładów pracy. Poprzez związki zawodowe robotnicy mają swój udział we władzy w kraju.

Nie ma potrzeby przypominać, jak wiele się zmieniło na korzyść w ciągu ostatnich trzydziestu czterech lat, choć i te przemiany nie dokonały się bez wstrząsów, nie nastąpiły same. I jeśli dziś zmodernizowaliśmy łódzki przemysł, jeśli do hal fabrycznych trafiają nowe technologie, jeśli zakłady produkcyjne wzbogaciły się o urządzenia socjalne służące zdrowiu i dobremu samopoczuciu pracujących to niemałe zasługi w tych korzystnych procesach ma organizacja zawodowa pracowników przemysłu lekkiego. Jest to, na równi z tradycja walk o zniesienie wyzysku, trwały dorobek związku, który siedemdziesiąt lat temu odbył swój pierwszy walny zjazd w leśniczówce Komorowskiego przy ulicy Łąkowej. Nieprzypadkowo więc siedzibą Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego jest do dziś Łódź, gdzie ruch związkowy wziął swój początek.

P.S. Do opracowania artykułu, obok licznych zszywek archiwalnych gazet, wykorzystałem następujące publikacje:

Anna Rynkowska: „Przedsiębiorstwo Ludwika Geyera w latach 1828—1870" w: „Centralne Muzeum Włókiennictwa" Henryk Stanisław Dinter: „Dzieje wielkiej kariery", Stanisław Pestkowski: „Wspomnienia rewolucjonisty", „Strajki włókniarzy łódzkich 1923—1928", W. Cieloch, R. Klimczak, J. Marczak, S. Juszczyk: „50 lat Związku Zawodowego Włókniarzy".

K.F.

życiorys patrona

Dalszy ciąg ze str. 8

wyprowadzić się z Piasków. Jemu wystarczało stare mieszkanie w drewniaku i nie potrzebował innego. I nie wiem, jak by to było, gdyby nie zajęli się tym inni.

W 1947 roku Tadeusz Głąbski w czasie urlopu wyjechał na kilka dni z Łodzi. Wtedy skorzystano z okazji, przyjechał na Piaski samochód, załadowano cały dobytek i przewieziono na ulicę Celną. Gdy wrócił, strasznie się rozzłościł. Awantura była — jak to się dziś mówi — na 24 fajerki. Ale faktu nie mógł zmienić. Miał nowe mieszkanie. I tak już zostało.

Po powrocie do Łodzi, od 1945 roku do września 1949 roku pracował w aparacie partyjnym. Był członkiem **Komitetu Łódzkiego PZPR.** Otrzymał nominację na stopień kapitana Wojska Polskiego w uznaniu działalności w Gwardii Ludowej. Uczestniczył we wszystkich kampaniach politycznych, które prowadziła partia.

We wrześniu 1949 roku został posądzony o udział w „odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym". Został odsunięty od pracy w aparacie partyjnym. **Przeszedł do pracy w gospodarce.** We wrześniu 1956 roku napisał w życiorysie:

„Obecnie jestem członkiem POP PZPR przy Centralnym Zarządzie Przemysłu Papierniczego."

W lipcu 1958 roku powrócił w szeregi pracowników aparatu partyjnego. Został wybrany członkiem **Komitetu Łódzkiego PZPR**, członkiem **Egzekutywy KŁ PZPR** i sekretarzem. Energicznie zabrał się do pracy. Zadziwiał swoich współpracowników niespożytymi siłami, choć zdrowie miał coraz gorsze. Starali się go oszczędzać, ale to tylko go gniewało. Nigdy nie miał czasu dla siebie. Pracował, jakby zdawał sobie sprawę, że może mu pewnego dnia sił zabraknąć. W gmachu Komitetu Łódzkiego PZPR często nie czekał na windę. Wchodził schodami, a gdy zasapał się, stawał na półpiętrze przed oknem, jakby oglądał dobrze znany mu krajobraz, jakby się nad czymś zamyślił.

Aż wreszcie zdrowie, nadwątlone ciągłą pracą, nerwami i trudami obozu, odmówiło posłuszeństwa. Zabrano go do szpitala. Zaledwie poczuł się lepiej, ledwie serce zaczęło normalniej pracować, biegł do telefonu, wzywał współpracowników dysponował, kierował. W końcu szpitalna sala zamieniła się w zaimprowizowany gabinet i trzeba mu było telefon postawić koło łóżka.

Przed chorobą często śmiał się z żony, że marnuje czas na rozwiązywanie krzyżówek, na układanie pasjansów. Później sam siadał wieczorami i rozkładał karty.

— To mi pozwala odpocząć — wyjaśniał, kiedy pytano go, odkąd polubił pasjanse. — Odpoczywam przy pasjansach i kiedy oglądam western. Tam wszystko wiadomo, kto dobry, kto zły i wiadomo, że sprawiedliwy zwycięży. A emocji jest trochę. Dzienniki telewizyjne oglądam z obowiązku.

Kiedy wracał do domu w dobrym humorze, zawsze prosił żonę i córkę, aby pośpiewały mu „My ze spalonych wsi". To była jego ulubiona piosenka.

Zajmował się trudnymi sprawami — gospodarką mieszkaniową. Przy podejmowaniu ważnych decyzji, na przykład o wyburzaniu sam musiał wszystko obejrzeć, obejść, porozmawiać z ludźmi. Kiedy otrzymywał trudne sprawy mieszkaniowe do rozstrzygnięcia, nie zawierzał pisanym opiniom. Mimo chorego serca wyruszał na „wizję lokalną", wspinał się po schodach, pukał do drzwi, wypytywał, oglądał, rozmawiał. Niejedną ulicę wielokrotnie przemierzył, aby zastanowić się, jaką decyzję podjąć w jej sprawie, burzyć co i gdzie.

— Jaki był mój ojciec? — zastanawiała się Anna Strzelecka, córka Tadeusza Głąbskiego. — Był bardzo dobry dla mnie i dla mamy. Często późno przychodził do domu, mama czekała na niego z obiadem, ale nigdy nie pozwolił, aby zmywała po nim talerze, zawsze robił to sam, bo — jak mówił — to nie jest taka trudna praca. Nie cierpiał chodzić do lekarzy, chociaż jeden z łódzkich lekarzy był jego przyjacielem, po prostu nie lubił się leczyć, uważał, że jest zdrowy. A przecież zdrowy nie był. Chorował na serce. Nie lubił o tym mówić. Wielką dla niego przyjemnością były spacery po lesie. Pamiętam kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, zabierał mnie często ze sobą na spacer do lasu. Później miał coraz mniej czasu na spacery, choć bardzo mu były potrzebne dla zdrowia. Kiedy byłam mała, zabierał mnie również na mecze piłkarskie. Jak był chłopcem sam grał w piłkę. Mimo, że miał coraz mniej czasu zawsze pamiętał, aby w niedzielę pójść na grób bliskich. Ten zwyczaj przejęłam od mego ojca. Teraz też co niedziela chodzę na jego grób i na grób matki. Bardzo żałuję, że nie leżą obok siebie. Całe życie byli razem, powinni i po śmierci razem spoczywać, ale tak się jakoś złożyło, że jest inaczej.

Tadeusz Głąbski był człowiekiem skromnym. Niektórzy mówią, że aż do przesady. W dniu swoich imienin przychodził do pracy po południu, a kiedy pytano go dlaczego, wyjaśniał, że jak komuś naprawdę zależy na tym, aby złożyć mu życzenia i robi to szczerze, to znajdzie go w pracy i po południu.

Praca była dla niego wszystkim. Potrafił poświęcać się pracy aż do zapamiętania. Córka **Magdaleny Koczaskiej** — Marlena — poprosiła Tadeusza Głąbskiego, aby był świadkiem na jej ślubie. Wychowywały się przecież razem z Anną — córką Józefy i Tadeusza Głąbskich. Czuli się wszyscy jak rodzina. Zgodził się. Ale tego dnia była akurat w Komitecie Łódzkim PZPR ważna narada, w której uczestniczył **Ignacy Loga-Sowiński.** Po naradzie powiedział do Logi-Sowińskiego:

— Córka Koczaskich bierze dziś ślub. Chodź, przecież dla ciebie to też bliscy ludzie. Dopiero na miejscu uświadomił sobie, że nie zabrał dowodu osobistego i nie przebrał się w odpowiedni garnitur. Szybko znalazł wyjście z trudnej sytuacji.
— On będzie twoim świadkiem — powiedział wskazując na Ignacego Logę-Sowińskiego. Ubrany jest odpowiednio, ma czarny garnitur, białą koszulę i krawat. A poza tym zna ciebie od dziecka tak jak i ja.

Zmarł 1 czerwca 1967 roku. Wrócił późno wieczorem. Miał ciężki dzień, narady, spotkania. Odgrzał sobie ulubioną kaszę tatarczaną, która tego dnia akurat była na obiad. Zjadł. Pozmywał po sobie naczynia i wziął się do pracy. Ale nie czuł się najlepiej, więc się szybko położył spać. Nad ranem tylko głęboko westchnął.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: W. Parys

Fragmenty reportażu z książki „Żyć w ciekawych czasach", przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

PAWEŁ PATORA

OSIEDLE DWUDZIESTOLATKÓW

Jak w każdym osiedlu mieszkaniowym jest tu administracja i konserwatorzy, są rady mieszkańców i samorząd osiedlowy. Mieszkają tu młode małżeństwa i ludzie samotni. Na pozór osiedle podobne do wielu pozostałych w naszym mieście, a jednak jakieś inne...

O północy, gdy całe miasto usypia, tu światła świecą się jeszcze niemal w każdym oknie. Rano, około ósmej, osiedlowy deptak jest miejscem pośpiesznych przemarszów młodych ludzi z aktówkami i zwiniętymi w rulony projektami — studentów Politechniki zdążających na wykłady i ćwiczenia.

W siedmiu budynkach stojących przy alei Politechniki między Świerczewskiego i Wróblewskiego i w jednym przy ul. Lumumby mieszka ok. 3,5-tysięczna społeczność przyszłych inżynierów. Akademik, w ciągu trwających cztery i pół roku studiów, ma im zastąpić odległy dom rodzinny. Dla niektórych jest pierwszym domem nowej rodziny — miejscem „docierania się" małżeństwa i pierwszych kłopotów rodzicielskich. Mieszka tu bowiem około.

150 MAŁŻEŃSTW STUDENCKICH.

Jeszcze kilka lat temu w ogóle nie było pokoi dla małżeństw. Dziś każda para studencka otrzymuje przysłowiowy własny kąt zaraz po ślubie. Stało się to możliwe dzięki wybudowaniu w ostatnich latach dwóch nowych domów studenckich — „siódemki" i „ósemki" — po 600 miejsc w każdym oraz dzięki rozwojowi studenckiej samorządności osiedlowej.

Wszystko zaczęło się niespełna pięć lat temu, gdy w Radzie Mieszkańców akademika Wydziału Elektrycznego pojawił się **Tadeusz HEBDOWSKI** — dziś absolwent PŁ, szef od studenckich osiedli w Zarządzie Łódzkim SZSP. W roku akademickim 1973/74 miał już sprecyzowane własne koncepcje nowego stylu pracy samorządowej w osiedlu. Skupił wokół siebie grupkę przyjaciół i z uporem maniaka rozpoczął wraz z nimi trudną walkę „o nowe". Agitowali osobiście i poprzez plakaty; wykorzystywali tablicę ogłoszeń i Studenckie Radio „Żak". Prowadzili niełatwe rozmowy z kierownikami akademików, najpierw swojego, później innych. Zwalczali silną opozycję w Radzie Wydziałowej i w Radzie Uczelnianej. Zyskali poparcie akademickich i partyjnych władz Uczelni. W 1974 roku powstała pierwsza w historii Rada Osiedla z Tadeuszem Hebdowskim na czele. Mnożyli się wrogowie nowej Rady. Hebdowski musiał tłumaczyć się przed sądem koleżeńskim i komisją rewizyjną. Nie ustąpił jednak — nadal konsekwentnie i bezkompromisowo realizował nowy program. Walczył z ospałością i pozorowaniem społecznego działania, dążył do tego, aby Rada Osiedla i Rady Mieszkańców w poszczególnych DS-ach uczestniczyły w podejmowaniu każdej decyzji istotnej dla mieszkańców, których reprezentują.

Dzisiaj osiągnięcia studenckich organów samorządowych w Osiedlu Akademickim PŁ stały się godnym naśladowania przykładem dla innych. To właśnie do Łodzi wiosną ubiegłego roku przyjechali po doświadczenia przedstawiciele wszystkich ośrodków akademickich w kraju na ogólnopolskie Seminarium Samorządów Domów Studenckich. Goście nie tylko z uznaniem wyrażali się o wzorowej organizacji narady, ale podziwiali też dorobek działaczy osiedlowych z Politechniki Łódzkiej. Pytali o szczegóły. Często z niedowierzaniem słuchali informacji o jedności działania Rady Osiedla, Rektoratu i Komitetu Uczelnianego PZPR.

Władze Politechniki nie tylko nie stłumiły inicjatyw grupy zapaleńców, ale wykorzystując społeczny zapał studentów umiejętnie pokierowały ich poczynaniami. Stopniowo rozszerzano kompetencje organów samorządowych. Dziś już sami studenci rozpatrują wnioski o przydział miejsca w DS-ie. Choć ostateczna decyzja nadal należy do dziekana, opinia studenckiego samorządu z reguły zostaje zatwierdzona. Rada Osiedla opracowała obowiązujący i ściśle przestrzegany regulamin zakwaterowań. Mówi się w nim też o tym, komu można przyznać najbardziej pożądane pokoje dwuosobowe. Pierwszeństwo mają małżeństwa, a także studenci ze złym stanem zdrowia, będący w trudnej sytuacji materialnej, prymusi i aktywiści społeczni.

Przykład ten obrazuje, że wraz ze wzrostem uprawnień zwiększył się również zakres odpowiedzialności osiedlowych działaczy. Świadomi zaufania, jakim ich obdarzono oraz znaczenia własnych decyzji, czują się moralnie zobowiązani do bardzo wnikliwego rozpatrzenia każdej sprawy. Teraz nie mogą sobie pozwolić na opieszałość lub na błędne, pochopne postanowienia. Zmiana zakresu działania spowodowała więc w następstwie nową — wyższą jakość pracy. Właśnie tak być powinno skoro społeczna działalność studenta ma być formą kształtowania postaw obywatelskich, lekcją odpowiedzialności, gospodarności i zaangażowania w problemy środowiska. W Osiedlu Akademickim PŁ na pewno jest to lekcja solidna i ze wszech miar pożyteczna. Tutaj studenci rzeczywiście

CZUJĄ SIĘ GOSPODARZAMI.

Żadna ważna dla mieszkańców decyzja nie może zapaść bez udziału ich przedstawicieli. Większość wprowadzonych zmian jest wynikiem wcielenia w życie studenckich inicjatyw. To właśnie Rada Osiedla opracowała nowe regulaminy normujące życie w osiedlu, które, po zatwierdzeniu, będą obowiązywały wszystkich mieszkańców.

Organy samorządowe czuwają nad przestrzeganiem ładu i porządku; interweniują w przypadku naruszania ustalonych norm. Gdy wykroczenie jest drobne — kończy się na koleżeńskim zwróceniu uwagi, gdy poważne — nawet wnioskiem o ukaranie do uczelnianej komisji dyscyplinarnej. Nie jest to przyjemna strona pracy działaczy osiedlowych. Napotykali często na silny opór środowiska. Zdarza się tak i teraz, choć większość mieszkańców akceptuje już tę formę pracy, bowiem Rada Osiedla i Rady Mieszkańców zyskały pewien autorytet w środowisku. Przede wszystkim dzięki efektywnemu działaniu. Osiedlowi aktywiści załatwili wiele trudnych spraw związanych z wyposażeniem akademików i poprawa warunków socjalno-bytowych. Zorganizowali, trwający jeszcze, Wielki Turniej Osiedla obejmujący m. in. szeroki wachlarz różnorodnych imprez o charakterze kulturalnym, światopoglądowym, sportowym i rozrywkowym. Ich pracę widać. Nie tylko na tablicach ogłoszeń, ale także w codziennym życiu osiedla. Ilekroć było trzeba, potrafili zmobilizować swych kolegów do pracy społecznej. Na inaugurację ubiegłorocznej „Studenckiej Wiosny Czynów" mieszkańcy osiedla przygotowali wykop, w którym następnie ułożono kabel umożliwiający włączenie najnowszego — ósmego DS-u do sieci telefonicznej i osiedlowego radiowęzła. Takich masowych prac społecznych było wiele.

„Wyniki naszych działań w dużej mierze zawdzięczamy życzliwości, zrozumieniu naszych problemów i stałej trosce o sprawy domów studenckich ze strony kierownictwa Uczelni" — mówi obecny przewodniczący Rady Osiedla **Krzysztof HAJDRYCH**. „Prorektor do spraw kształcenia i wychowania **doc. dr Karol HAUSMAN** zawsze znajduje dla nas czas. Gdy rozmawia z osiedlowym aktywistą, zdarza się, że nawet zasłużeni profesorowie muszą czekać w sekretariacie na zakończenie rozmowy. Pełnomocnik rektora do spraw osiedla akademickiego, sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR **płk Witold LENCZEWSKI** w każdej chwili jest gotów służyć nam nie tylko radą i swym bogatym doświadczeniem, ale i konkretną pomocą w załatwianiu trudnych spraw, często daleko wykraczającą poza zakres jego formalnych obowiązków". W każdym ważniejszym wydarzeniu w życiu osiedla osobiście uczestniczą przedstawiciele ścisłego kierownictwa akademickiego i politycznego Uczelni. Rzecz jasna, że nie zawsze panuje zgodność poglądów między reprezentantami mieszkańców osiedla a władzami Uczelni. Jednak w klimacie wzajemnego zaufania i zrozumienia, zawsze można dojść do uzgodnień zadowalających obie strony.

Znacznie trudniej o porozumienie studentów z administracją osiedla. Większość pracowników Działu Domów Studenckich PŁ nie może lub nie chce zrozumieć potrzeby innego niż dotychczas traktowania swych obowiązków i kompetencji.

SAMORZĄDNOŚĆ STUDENCKA ICH ZASKOCZYŁA.

Przez wiele lat wszystko toczyło się normalnym, utartym torem. Silnie ukształtowały się przekonania i nawyki, które niełatwo zmienić z dnia na dzień, a nawet z roku na rok. Tymczasem nieporównywalnie wzrósł zakres zadań, jakie stawia się dzisiaj tym samym ludziom. Studenci teraz nie tylko proszą, ale i wysuwają żądania. Jeżeli spotka ich odmowa, nie rezygnują, lecz stukają do gabinetu rektora, sekretarza czy prezydenta.

„Mają nie tylko prawo, ale i obowiązek tak postępować — mówi kierownik Działu Domów Studenckich PŁ **mgr Ryszard POPŁAWSKI** — gdyż reprezentują interesy mieszkańców. I choć nie wszystkie wnioski organów samorządowych uważamy za słuszne i realne, to jednak zawsze traktujemy je poważnie i wnikliwie analizujemy potrzebę i możliwości ich spełnienia". Tutaj kierownik przytacza obszerną listę w pełni zrealizowanych postulatów Rady Osiedla. W każdym akademiku jest już sala telewizyjna z odbiornikiem kolorowym. Są też telewizory czarno-białe. W każdym DS-ie zorganizowano warsztaty dla majsterkowiczów — m. in. zakupiono bogato wyposażone szafki narzędziowe i stoły do majsterkowania. Jeszcze nie tak dawno jedynymi narzędziami dostępnymi dla mieszkańca akademika były obcęgi, młotek i śrubokręt, wypożyczane w portierni. Nieźle wyposażone są kluby studenckie: „FORUM", „FUTURYSTA" i „PROTON" oraz klub krótkofalowców w ósmym domu studenta. Każdy DS dysponuje też ciemnią fotograficzną i salką rekreacyjno-sportową, z drabinkami, rowerami do tzw. suchej zaprawy, wysięgnikami itp. Ściślej — prawie każdy, bo „dwójkę" wybudowano zgodnie z projektem, który nie przewidywał żadnych sal ogólnego użytku. W ogóle projekty domów studenckich, nawet tych najnowszych, pozostawiają wiele do życzenia. Polskie normy projektowe nie rozróżniają specyfiki uczelni. Tymczasem np. w NRD i Czechosłowacji w akademikach budowanych dla studentów uczelni technicznych w ścianę każdego pokoju wmontowana jest deska kreślarska.

„To prawda, że wyposażenie domów akademickich systematycznie się poprawia, ale dlaczego my — przedstawiciele studentów — musimy toczyć długie boje niemal o wszystko?" — pyta przewodniczący osiedlowej rady. „Drobne zakupy często załatwiamy sami biorąc rachunek na Dział Domów Studenckich, na poważniejsze nie możemy się doczekać miesiącami. Było tak nawet z pędzlami i farbami, gdy chcieliśmy sami odnowić pokoje".

Kierownik Popławski zwraca uwagę na

TRUDNOŚCI OBIEKTYWNE.

Powszechnie znane są problemy zaopatrzeniowe. Domy studenckie znajdują się w sytuacji szczególnie trudnej. Potrzeby są podobne jak u nabywców indywidualnych — chodzi przecież o wyposażenie domów mieszkalnych. Jednak przy zakupach administracja osiedla traktowana jest tak samo, jak każda inna instytucja państwowa. Wiele towarów, które nawet są do nabycia w sklepach, dla Działu Domów Studenckich jest niedostępnych. Chociażby sprawa tapczanów. Po wielu trudach udało się załatwić 600 sztuk po 5 tysięcy złotych, choć były wówczas w sprzedaży dla klientów indywidualnych o połowę tańsze. Po roku użytkowania co piąty tapczan był już uszkodzony. Podobne kłopoty są teraz z zakupem sprzętu do wypożyczalni naczyń i zastawy stołowej, które mają powstać w każdym akademiku, z wykładziną do ósmego DS-u itd.

Druga grupa trudności obiektywnych, na które uskarża się kierownik Działu Domów Studenckich — to brak wykonawców prac remontowych i modernizacyjnych. Politechnika ma własny zakład remontowo-budowlany, liczący kilkudziesięciu fachowców, który jednak nie nadąża za potrzebami Uczelni. Łączna kubatura budynków PŁ — to już blisko 700 tysięcy metrów sześciennych. Znaczną część obiektów stanowią stare pomieszczenia pofabryczne, wśród nich niedawno otrzymane, które trzeba mozolnie przystosowywać do nowych funkcji. Domy studenckie — to tylko niewielka część obszernego pola działania uczelnianych ekip remontowych.

Natomiast poza Uczelnią dla wielu prac nie można znaleźć wykonawców. Przykładem może być ciąg rekreacyjno-sportowy na zapleczu osiedla. W planie są boiska do siatkówki, koszykówki i badmintona, kort tenisowy, ścieżka zdrowia. Wiele prac wykonali studenci. Są gotowi do dalszych. Zaczęła się już przecież „Studencka Wiosna Czynów". Muszą jednak czekać na przeprowadzenie tych robót, przy których wymagana jest fachowość i odpowiedni sprzęt. Środki na sfinansowanie przedsięwzięcia są. Brakuje tylko wykonawców. Większe przedsiębiorstwa wyspecjalizowane w budowie obiektów sportowych realizują duże inwestycje i nie chcą podejmować się takich prac. Zgodę wyraziła spółdzielnia „KOMBUD", ale, jak dotąd, nie wywiązuje się z podjętych zobowiązań.

To tylko jeden przykład. Podobne problemy występują przy każdym remoncie. Nigdy nie wiadomo kiedy zaplanowane wcześniej przedsięwzięcie rozpocznie się i kiedy się skończy, Studentów oburzają i denerwują argumenty typu: „trudności obiektywne". Nie są to już pojedyncze głosy wąskiej grupki działaczy, ale silna presja środowiska, która nie zawsze wystarczy by np. przyspieszyć remont, ale zmusza administrację do bardziej energicznych poczynań.

Wiele do zrobienia ma jeszcze Rada Osiedla w zakresie silniejszego powiązania ze środowiskiem. Nie może być podziału na my-działacze i wy-szeregowi mieszkańcy. Trzeba częściej rozmawiać ze wszystkimi studentami z akademików, wchodzić do pokoi, lepiej wiedzieć co mówią i co myślą o osiedlowych problemach. Zaczął się już proces integracji Rady Osiedla z Radą Uczelnianą SZSP. Szef osiedlowego samorządu jest jednocześnie wiceprzewodniczącym Rady Uczelnianej. Jednak konsolidacja poczynań obu organów samorządowych daleka jest jeszcze od ideału. Na całkowite rozwiązanie czeka też problem pełnego porozumienia z kierownikami klubów studenckich, które winny być partnerami a nie konkurentami rad mieszkańców.

Problemów i kłopotów niesie codzienne życie Osiedla Akademickiego PŁ nie mniej niż osiągnięć i sukcesów. Rada Osiedla, wsparta widocznymi efektami dotychczasowej pracy i pomocą władz Uczelni, śmiało występuje przeciw trudnościom.

Dorota Obidniak

STUDENCI O SOBIE

Autorka artykułu jest studentką II roku germanistyki Uniwersytetu Łódzkiego. Niedawno opracowywała ankietę socjologiczną wśród swoich kolegów pn. „Jacy jesteśmy?". Drukujemy jej refleksje — aczkolwiek momentami dość uproszczone i przesadne, co — notabene — jest prawem wieku, z myślą, że zainteresowani nie pozostaną obojętni wobec zasygnalizowanych tu problemów. Red.

Jesteśmy zadowoleni, kiedy ktoś pyta o nasze zdanie. Odpowiadamy chętnie, bo w tym momencie czujemy się ważni. Schlebia to naszej próżności, tak długo, dopóki „zabawa" nie zaczyna nas nudzić, dopóki pytania nie naruszają naszej suwerenności. Odpowiadamy na pytanie: „jak?". Milczymy, kiedy nas zapytać „dlaczego?" Nie zastanawiamy się nad tym, bo od dawna już przywykliśmy szukać winnych poza sobą. Poza swoim pokoleniem.

Spotkałam kolegów, którzy zniechęcali się już w chwili, gdy dowiadywali się, po co zbieram materiał. Bo twierdzą, że w ten sposób niczego nie zrewolucjonizujemy, niczego nie zmienimy. Dalej nie będzie ciepłej wody, tyle samo osób w pokojach, co dotychczas i kiepskie warunki sanitarne. Dalej studia będą zwykłą szkółką. Co, artykuł? — rozczarowani wzruszają ramionami — a co to da? komu to potrzebne? Ano, właśnie — komu? A może jednak nam.

Dla wielu z nas studia były czymś oczywistym, bo liceum do żadnego konkretnego zawodu nie przygotowuje. A, poza tym, pozostawało wokół nas wiele pytań bez odpowiedzi. Pytań, na które odpowiedzi znać trzeba, żeby móc pracować, pracować z czystej potrzeby pracy, by uczynić tę pracę twórczą. W psychologii nazywa się to potrzebą motywacji. Na co dzień określamy to szukaniem sensu istnienia każdej z rzeczy, każdego działania, sensu życia w ogóle.

Odpowiedź, którą każdy z nas znać powinien, aby się samookreślić, aby sobie uświadomić własne miejsce w tym świecie, w tej rzeczywistości, która nas otacza. Rzecz, którą każdy z nas musi rozstrzygnąć sam w sobie po to, aby być z życia zadowolonym — nic więcej.

Znalezienie owego sensu wymaga wiedzy i czasu. Wiedzę spodziewaliśmy się zdobyć na studiach, a wraz z nią nowe doświadczenia, dojrzałość społeczną. Może nie wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę, że tego właśnie na studiach szukamy — wzorca dla dalszego życia... i go nie znajdujemy. Stąd w przeważającej większości jesteśmy rozczarowani, bo nie tak sobie to wszystko wyobrażaliśmy. A jak? Tego także nie umiemy sprecyzować. Powtarzamy, że studia, to szkółka jeszcze gorsza od liceum. Skąd się to wzięło? Dlaczego szkółka? Uczymy się w szkole podstawowej z obowiązku, uczęszczamy do szkoły średniej również z obowiązku, bardziej nam to narzucają rodzice, otoczenie, niż wynika to z naszego wyboru, do którego zresztą nie jesteśmy jeszcze w pełni przygotowani. Na studia idziemy często tylko dlatego, że nie wiemy, co z sobą począć po maturze.

Tylko, że teraz potrzebujemy odpowiedzi na pytanie: dlaczego się uczymy? dlaczego studiujemy? czym się właściwie te studia różnią od szkoły uczącej zawodu? Żywimy nadzieje, że nasza ciekawość w tym względzie będzie zaspokojona. Niestety.

Słyszymy dokoła o tym, że kształcą się nowe kadry dla przemysłu, oświaty, kultury, o tym, że należymy do pokolenia, które „wstępuje". Tylko nikt nie mówi nam, jak, w imię czego żyć i pracować.

A uczyć się trzeba wszędzie tak samo, proces uczenia zawsze składa się z tych samych elementów i etapów. Tylko świadomość, dlaczego się uczymy, jest różna. Czekamy aż ktoś receptę na życie poda nam na talerzu. Rozgoryczeni stwierdzamy, że pozostawiono nas samych sobie i w takim stanie tkwimy. Bierni, a z czasem coraz bardziej z biernością oswojeni.

Czynimy to, co większość. Uczymy się cwaniactwa, tego co popłaca. Narzekamy na ten bezsens, który nas otacza, na niemożność wprowadzenia zmian i na niemożność działania w ogóle.

Czy rzeczywiście jednak możliwości do działania nie ma?! Czy raczej nie chcemy ich dostrzec, bo dostrzeżone zmuszać będą do zakasania rękawów, a rzetelna praca i ofiarność stoją w naszej świadomości na niechlubnym miejscu.

A przecież możliwości istnieją, a działanie jest nam potrzebne, bo dzięki niemu jesteśmy, bo dzięki niemu znajdujemy prawo obywatelstwa, prawo do uczestniczenia w życiu całego społeczeństwa. Czujemy się tylko skrępowani, cierpimy z powodu braku samodzielności, która pozwoliłaby nam się sprawdzić. Lenistwo i obojętność są wygodne, a gdy coś jest wygodne, to po co myśleć o spustoszeniu, jakie czyni w naszej psychice.

Zapominamy o tym, że ukształtuje nas praca. Poprzez nią właśnie zmieniamy się, osiągamy coraz wyższe etapy świadomości. Nie wystarcza więc nam to, czego od nas na uczelni wymagają, gdyż wykonywane przez nas zadania nie przynoszą nam satysfakcji.

Przyczyn takiego stanu rzeczy szukamy w braku swobody wyboru tego, czego się uczymy, bądź w złym programie studiów. Łudzimy się, że radykalne zmiany w systemie nauczania dałyby nam odpowiedź na pytanie, co mamy w życiu do spełnienia. A tymczasem nie pamiętamy o tym, że wiedza nie wystarczy, że odpowiedź znaleźć można we wspólnym działaniu.

To właśnie potrzeba działania i rozumienie, wspólne dźwiganie ciężarów, jest jedyną drogą do osiągnięcia zadowolenia z życia, zbliża nas do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich.

Ironiczny uśmiech! Tak właśnie za pomocą ironii wydano walkę organizacji, by ją pomniejszyć w oczach ogółu. „Efemeryczny twór, organizm niepreżny, instytucja, w której nic się nie dzieje". Skąd tyle niechęci? Niektórych razi przymiotnik „socjalistyczny" — paradoks. A jak się ma nazywać związek, który przygotowuje do życia w socjalistycznym kraju?

Są i takie argumenty: „A po co ta cała ideologia? Powinno być tak, jak dawniej. Zrzeszenie, które dba o dobro studenta... Dba o dobro studenta — wyjątkowo to „ponadegoistyczne" i budujące stwierdzenie. A studenci? — co oni z siebie dadzą, o czyje dobro oni dbać będą... Ojczyzna — to taki slogan".

Kiedyś nawet pisano, „że o ojczyźnie rozprawiać już nie potrzeba. Rzecz jest załatwiona". Zniszczeń, które ten sposób rozumowania dokonał w naszej psychice nie da się wyliczyć. Nie zmniejszy on strachu. Bo właśnie gdzieś tam, pod płaszczykiem fanfaronady, kryje się w nas strach, że przybyliśmy do punktu, z którego znalezienie wyjścia jest bardzo trudne.

Wybierając działanie w SZSP narażamy się często na niechęć. Jednak być działaczem, to sprawa nie tylko wyboru, ale i odwagi. Kim są więc ci, którzy, wyłamując się z szeregu biernych, zdobywają się na działanie? Niektórzy odpowiadają: karierowicze, tak łatwo zapominając, że tylko w prawdziwym działaniu mogą nabierać sił idee, dochodzić do głosu wyższe cele.

Ci, z którymi rozmawiałem, opracowując ankietę, dowodzili, że w SZSP wiele jest do zrobienia. Mieli nawet ciekawe pomysły, tylko, że chcieliby, żeby realizował je SZSP. Mam propozycję — zrealizujcie je sami.

Foto: Archiwum

LEON DUBICKI

W BERLINIE W MAJU 1945 ROKU

Wieczorem, 22 KWIETNIA 1945 R., oddział wydzielony 1 DYWIZJI PIECHOTY IM. T. KOŚCIUSZKI, ścigając Niemców wycofujących się na zachód, zdobył Oranienburg i wyzwolił dużą wielonarodowościową grupę więźniów z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. 23–28 kwietnia dywizja prowadziła zawzięte walki nad brzegiem rzeki Haweli i kanału Ruppinerkanal, oczyszczając teren z niedobitków hitlerowskich oraz odpierając uderzenie grupy operacyjnej gen. Steinera, która na rozkaz Hitlera przebijała się na odsiecz wojskom niemieckim w Berlinie. 28 kwietnia hitlerowcy ostatecznie zrezygnowali z próby przerwania blokady Berlina i uwolnienia wodza „tysiącletniej" Rzeszy.

Wieczorem, **29 kwietnia 1945 roku,** dowódca dywizji, gen. Wojciech Bewziuk, wydał rozkaz o wymarszu do Berlina. Przekazaliśmy nasze pozycje oddziałom 61 armii wojsk radzieckich i jednostkom 2 dywizji piechoty WP. Z wielkim entuzjazmem przyjęliśmy ten rozkaz, jako wyróżnienie za trud żołnierski, poniesiony na chlubnym szlaku bojowym pod Lenino. Po raz pierwszy w historii narodu i oręża polskiego, żołnierz polski uzyskał możność wkroczenia do Berlina.

Rano, **30 kwietnia 1945 roku, z** rejonu Schmachtennagen, wymaszerował do Berlina 3 pp, wzmocniony 3 dywizjonem 1 pułku artylerii lekkiej, a później z Lehnitz, wyruszyła grupa operacyjna dowódcy dywizji. W miarę zbliżania się do centrum Berlina coraz bardziej szary, smutny i nawet odrażający był obraz zrujnowanego miasta, spowitego dymem i kurzem. Spotykane tłumy wylęknionej, brudnej i zmizerowanej ludności niczym nie przypominały butnych „nadludzi".

Szprewę przeszliśmy po moście pontonowym, zbudowanym przez polskich saperów i dotarliśmy do zamku Charlottenburger Schloss — naszego nowego stanowiska dowodzenia. Zaraz po rozlokowaniu się, udałem się z gen. Bewziukiem z wizytą do dowódców sąsiadujących z nim jednostek radzieckich. Powstawała wówczas koncepcja scentralizowanego użycia naszej dywizji do szturmu na zachodni bastion obrony hitlerowskiej w centrum Berlina.

Po południu tego dnia oddziały 3 pułku piechoty, wsparte czołgami radzieckiej 66 brygady czołgów, ruszyły do ataku między Landwehrkanal a Szprewą, w kierunku na stację Tiergarten. W kilka godzin później 2 pp, wsparty kilkunastoma czołgami radzieckiej 219 brygady czołgów — rozpoczął natarcie w kierunku kompleksu gmachów politechniki. Po północy zaś, jako trzeci z kolei, 1 pułk piechoty przeszedł do natarcia w kierunku stacji Zoologische Garten, ściśle współdziałając z pododdziałami radzieckiej 35 brygady zmechanizowanej. Przez całą noc, w niesamowitej scenerii ruin i zgliszcz, oświetlanych czerwonymi łunami pożarów, przy huku wystrzałów, Kościuszkowcy zaciekle walczyli o zdobycie poszczególnych domów.

Po zakończeniu pracy, przy planowaniu i organizacji tradycyjnego natarcia artyleryjskiego, wyjechałem na kontrolę gotowości bojowej podległych mi jednostek artylerii. Właśnie już wówczas nakazałem wszędzie, aby przygotowano dużą ilość flag polskich do oznaczania budynków i obiektów zdobytych przez polską piechotę. Było to konieczne ze względów na bezpieczeństwo własnej piechoty.

Wczesnym rankiem, **1 maja 1945 roku,** udałem się do sąsiadujących z lewa formacji radzieckiej, 3 Armii Uderzeniowej. Znaleźliśmy się w pobliżu Reichstagu i byłem świadkiem drugiego z kolei zatknięcia radzieckiego sztandaru na dachu Reichstagu, częściowo już opanowanego przez oddziały 150 dywizji strzeleckiej. Po raz pierwszy bowiem flagę radziecką na dachu Reichstagu zawiesili żołnierze 1 batalionu 756 pp, już wieczorem 30 kwietnia. Flaga ta została jednak zniszczona przez hitlerowców. Wykorzystując okazję, weszliśmy na górę i zatknęliśmy polską flagę na południowo-zachodnim skrzydle gmachu. Był to symbol obecności Kościuszkowców w Berlinie.

O godz. 9,00 **1 maja 1945 roku,** po przygotowaniu artyleryjskim, żołnierze radzieccy i polscy ruszyli do szturmu. Oddziały 1 i 3 pp, znacznie posunęły się do przodu. Na szerokiej jezdni Berlinerstrasse — przed gmachem politechniki — pozostało wielu żołnierzy 2 pułku piechoty. Szturm został powtórzony, ale bez skutku. Doszliśmy wtedy do wniosku, że trzeba zmienić taktykę. Pośredni ogień artylerii był mało skuteczny. Pociski padały na dachy, odbijały się od ścian, nie powodując zniszczenia niemieckich punktów oporu, znajdujących się na różnych kondygnacjach. Zniszczyć je można było strzelając na wprost.

Na połączonym posiedzeniu Rad Wojskowych 1 i 12 korpusów, zaakceptowano nasze propozycje zmian. Zaproponowaliśmy, aby przy szturmie dalszych budynków, jak na przykład politechnika, artyleria strzelała wprost do konkretnych celów. Na podstawie tej decyzji utworzono grupy szturmowe, które poczęły oskrzydlenie politechniki od zachodu i wschodu.

Artylerzyści zwiększyli siłę ognia i liczbę dział strzelających na wprost. Organizowałem i kontrolowałem ustawienie dział na odcinku najbardziej niebezpiecznym i decydującym o losie bitwy — wzdłuż północnej ściany Berlinerstrasse. Pod morderczym ogniem wroga, ustawiliśmy 32 działa. Ogółem, w całym pasie natarcia dywizji, ustawiono ponad 70 dział. Wiele z nich rozmontowano i wciągnięto do wnętrz budynków, nawet na piętra. Artylerzystom pomagali saperzy.

Po godz. 18.00, artyleria rozpoczęła systematyczne i skuteczne niszczenie punktów oporu wroga. Po kilku godzinach zaciętych walk, grupy szturmowe:

— 1 pułku piechoty dotarły do Hardenbergstrasse, na południe od politechniki i nawiązały współdziałanie z 1 batalionem 2 pp,

— 2 pułku piechoty opanowały zachodnie i wschodnie skrzydła kompleksu politechniki,

— 3 pułku piechoty rozpoczęły szturm nasypu kolejowego i budynku stacji Tiergarten.

Około północy, pod osłoną ciemności, rozjaśnionej łunami pożarów i błyskawicami wystrzałów, Kościuszkowcy rozpoczęli szturm ostatnich punktów obrony hitlerowskiej. Niebawem grupy szturmowe 2 pp wdarły się do głównego gmachu politechniki, a 3 pp do budynku stacji Tiergarten. Nasza dywizja zdobyła główny zachodni bastion obrony wroga.

Szef sztabu dywizji, ppłk. Mikołaj Poliszczuk, powiadomił nas o kapitulacji garnizonu berlińskiego. Wydałem rozkaz zaprzestania ognia. Zapanowała cisza, przerywana sporadycznymi seriami broni maszynowej. Wiele grup hitlerowców kontynuowało jeszcze walkę nie wiedząc o kapitulacji.

Około godz. 6.00 **2 maja 1945 roku,** spod wiaduktu kolejowego przy stacji Tiergarten, na szeroką aleję Charlottenburger Chausse, ruszył oddział wydzielony naszej dywizji, wzmocniony batalionem czołgów radzieckiej 66 brygady czołgów. Otrzymał on zadanie przecięcia — z zachodu na wschód — całego centralnego sektora obrony hitlerowskiej, w celu przyjścia w rejonie Bramy Brandenburskiej z pomocą jednostkom radzieckim, walczącym jeszcze na wschód od niej. Oddziałem tym dowodził kpt. Wacław Zalewski.

W rejonie kolumny Siege Seule, rozbrojono i wzięto do niewoli wielu oficerów i żołnierzy niemieckich. Grupa żołnierzy z plut. Stanisławem Kuklisą, kierowana przez ppor. Waldemara Felchnerowskiego, zawiesiła pierwszą flagę polską na szczycie kolumny. Czołgiści radzieccy też zawiesili tam swoją flagę.

Obserwując wschodnie krańce rozległego parku, spostrzegłem podejrzany ruch, a następnie usłyszałem odgłosy strzelaniny w rejonie Reichstagu. Ruszyłem w tym kierunku. Przed skrzyżowaniem Charlottenburger Chausse z aleją Bellevue dostrzegłem, jak od strony kancelarii Rzeszy wyjechały niemieckie transportery wojskowe. Jechaliśmy naprzeciw siebie. Minęliśmy się bezkolizyjnie. Dziś wydaje się to niemożliwe, ale tak było. Zdążyłem tylko zauważyć, że w transporterach siedzili żołnierze i cywile. Utkwiły mi w pamięci pełne napięcia twarze niemieckiego generała i dygnitarza hitlerowskiego, ubranego w czarny skórzany płaszcz. Po wyminięciu nas, wozy niemieckie raptownie skręciły w prawo, w kierunku mostu na Szprewie. Widocznie zauważyli kilka czołgów radzieckich stojących pod kolumną Siege Seule.

Zdecydowałem się jechać dalej i zorganizować pościg. Było nas bowiem za mało do zatrzymania niemieckich transporterów. Dojechaliśmy pod Bramę Brandenburską. Dotarłem do niej w chwili podpisywania tradycyjnego protokołu o spotkaniu wojsk nacierających z przeciwległych kierunków. Poleciłem kpt. Muszyńskiemu zawiesić polską flagę na Bramie Brandenburskiej i ruszyłem na trasę ucieczki niemieckich transporterów, zabierając ze sobą grupę żołnierzy.

Przed mostem koło Szprewy stał pusty transporter niemiecki. Jeden z widzianych uprzednio. Kilkaset metrów dalej, za wiaduktem kolejowym — następny. Nikt z napotkanych żołnierzy nie wiedział o losie pozostałych.

Powróciłem do Bramy Brandenburskiej w chwili, gdy kpt. Wacław Zalewski, kpt. Michał Nowotny i por. Piotr Potapski, podpisywali — w imieniu Wojska Polskiego — protokół o spotkaniu z wojskami radzieckiej 8 Armii Gwardii.

GIEORGIJ ŻUKOW

SZTURM BERLINA

W dniu 1 maja o godzinie 3.50 na stanowisku dowodzenia 8 armii gwardii zjawił się szef Sztabu Generalnego OKH, generał piechoty Krebs, który oświadczył, że został upoważniony do nawiązania bezpośredniego kontaktu z naczelnym dowódcą Armii Czerwonej w celu prowadzenia rokowań w sprawie zawieszenia broni.

O godzinie 4.00 generał Czujkow zameldował mi telefonicznie, że generał Krebs powiadomił go o samobójstwie Hitlera. Według słów Krebsa stało się to 30 kwietnia o godzinie 15.50. Wasilij Iwanowicz przeczytał mi również treść pisma Goebbelsa do radzieckiego Naczelnego Dowództwa. Brzmiało ono:

Zgodnie z testamentem nieżyjącego już führera udzielamy pełnomocnictwa generałowi Krebsowi w następującej sprawie: Zawiadamiamy przywódcę narodu radzieckiego że dzisiaj o godzinie 15 minut 50 führer dobrowolnie rozstał się z życiem. Na podstawie przysługującego mu prawa führer całą władzę przekazał w pozostawionym testamencie Dönitzowi, mnie i Bormannowi. Zostałem upoważniony przez Bormanna do nawiązania kontaktu z przywódcą narodu radzieckiego. Kontakt ten jest niezbędny do prowadzenia rokowań pokojowych pomiędzy państwami które poniosły największe straty. Goebbels.

Do pisma Goebbelsa dołączono testament Hitlera wraz z wykazem członków nowego rządu Rzeszy. Testament był podpisany przez Hitlera i poświadczony przez świadków. Nosił datę: godzina 4.00 dnia 29 kwietnia 1945 roku.

W związku ze znaczeniem tej informacji natychmiast skierowałem swego zastępcę, generała armii Sokołowskiego, na stanowisko dowodzenia Czujkowa w celu prowadzenia rokowań z niemieckim generałem. Sokołowski miał zażądać od Krebsa bezwarunkowej kapitulacji faszystowskich Niemiec.

Niezwłocznie zadzwoniłem do Moskwy i poprosiłem o połączenie ze Stalinem. Znajdował się w swej willi. Telefon odebrał dyżurny generał, który powiedział:

— Stalin dopiero co położył się spać.

— Proszę go obudzić. Sprawa jest pilna i do rana czekać nie można.

Stalin niezwłocznie podszedł do telefonu. Zameldowałem o otrzymanej wiadomości, że Hitler popełnił samobójstwo i o piśmie Goebbelsa z propozycją zawieszenia broni.

Stalin odpowiedział:

— Doigrał się, łajdak. Szkoda, że nie udało się wziąć go żywcem. Gdzie są zwłoki Hitlera?

— Według informacji generała Krebsa zwłoki Hitlera zostały spalone na stosie.

— Przekażcie Sokołowskiemu — powiedział naczelny dowódca — żadnych rokowań, z wyjątkiem bezwarunkowej kapitulacji, ani z Krebsem ani z innymi hitlerowcami nie prowadzić. Jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, nie dzwońcie do rana, chcę trochę odpocząć. Jutro mamy parade pierwszomajową.

O godzinie 10.40 nasze wojska otworzyły huraganowy ogień na resztki specjalnego sektora obrony w centrum miasta. O godzinie 18.00 Sokołowski zameldował, że niemieckie kierownictwo przysłało swojego parlamentariusza który poinformował, że Goebbels i Bormann odrzucili żądanie bezwarunkowej kapitulacji.

W odpowiedzi na to o godzinie 18.30 z niezwykłą siłą rozpoczął się ostatni szturm do centralnej części miasta w której znajdowała się Kancelaria Rzeszy i gdzie umocniły się resztki hitlerowców.

Nie pamiętam dokładnie godziny, ale gdy tylko się ściemniło, zadzwonił dowódca 3 armii uderzeniowej, generał Kuzniecow, i zameldował zdenerwowany:

— Na odcinku 52 dywizji gwardii przed chwilą przedarła się grupa niemieckich czołgów, około dwudziestu wozów które z dużą szybkością odjechały w kierunku północno-zachodniego skraju miasta.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ucieka z Berlina.

Zrodziły się najgorsze przypuszczenia. Ktoś nawet powiedział, że czołgi te najprawdopodobniej ratują Hitlera, Goebbelsa i Bormanna.

Natychmiast zarządzono alarm bojowy w jednostkach wojskowych, aby z rejonu Berlina nie wypuścić żywej duszy. Dowódcy 47 armii F. Pierchorowiczowi, dowódcy 61 armii P. Bielowowi i dowódcy 1 armii Wojska Polskiego S. Popławskiemu polecono, aby szczelnym pierścieniem zamknęli wszystkie drogi i przejścia prowadzące na zachód i północny zachód. Dowódcy 2 armii pancernej gwardii generałowi Bogdanowowi i dowódcy 3 armii generałowi Kuzniecowow kazano natychmiast zorganizować pościg we wszystkich kierunkach, odnaleźć i zniszczyć uciekające czołgi.

O świcie 2 maja grupa czołgów została wykryta w odległości 15 kilometrów na północny zachód od Berlina i w krótkim czasie zniszczona przez naszych czołgistów. Część wozów spłonęła, część została uszkodzona. Wśród poległych załóg nie znaleziono żadnego z faszystowskich prowodyrów. Natomiast tego, co pozostało w spalonych czołgach, nie sposób było rozpoznać.

W nocy z 1 na 2 maja, o godzinie 1.50 radiostacja sztabu obrony Berlina przekazała i kilkakrotnie powtórzyła w języku niemieckim i rosyjskim następujący komunikat: „Wysyłamy naszych parlamentariuszy na most Bismarckstrasse. Przerywamy działania wojenne".

O godzinie 6.30 w dniu 2 maja otrzymaliśmy meldunek: na odcinku 47 dywizji gwardii oddał się do niewoli dowódca LVI korpusu pancernego generał Weidling. Wraz z nim poddali się również oficerowie jego sztabu. W czasie wstępnego przesłuchania generał Weidling zeznał, że przed kilku dniami Hitler osobiście wyznaczył go na stanowisko dowódcy obrony Berlina.

Generał Weidling od razu zgodził się skierować do swych wojsk rozkaz w sprawie zaniechania dalszego oporu. Oto tekst podpisany przez niego rankiem 2 maja i przekazany drogą radiową:

30 kwietnia führer popełnił samobójstwo i w ten sposób pozostawił nas, którzy przysięgaliśmy mu wierność, samych. Zgodnie z rozkazem führera my, wojska niemieckie, mieliśmy jeszcze walczyć o Berlin mimo wyczerpania wszelkich zapasów wojennych i mimo że ogólna sytuacja czyni nasz dalszy opór bezsensownym. Rozkazuję: natychmiast zaniechać stawiania oporu. Podpis: Weidling, generał artylerii, były dowódca strefy obrony Berlina.

(fragment pamiętnika)

sport

WIEDZIEĆ, CO DALEJ...

„Mundial 78" jest w stanie przesłonić wszystko. W czerwcu znów będą wyludniać się ulice miast, będziemy przesiadywali przed telewizorami, denerwując się losem naszej drużyny. To wszystko dopiero będzie. Nim się to stanie, wiele jeszcze wydarzy się w sporcie. W maju na przykład znów pojedzie szosami Polski, CSRS i NRD kolejny, już trzydziesty pierwszy Wyścig Pokoju. A i w innych dyscyplinach sportowych też będzie się to i owo działo. Nie dajmy się więc zwariować i pamiętajmy, że świat nie kończy się na mistrzostwach w piłce nożnej, że w innych dziedzinach sportu też dzieje się coś ciekawego.

Wśród kolarzy na przykład wiele mówiło się o pomyśle wysłania Ryszarda Szurkowskiego do cyrku japońskiego. Maciej Biega ze „Sportowca" w rozmowie z prezesem Polskiego Związku Kolarskiego powiedział nawet, że słysząc o tym dostawał... alergii. Prezes Witold Dłużniak przyznał się, że też jest „przeciwko tego typu planom" i nie ma „zamiaru ich popierać". Jego zdaniem mistrzowie kolarscy powinni pozostawać w kraju, gdyż tu są potrzebni „i szkoleniowcy, i mechanicy, i działacze...".

Ryszard Szurkowski z kolarstwem się jeszcze nie żegna, ale moment ten jest już raczej bliski. Każdy sportowiec, rozpoczynając swoją karierę, musi pamiętać, że kiedyś taki moment nadejdzie. Jest to smutne, ale prawdziwe. Nawet Irena Szewińska — niepowtarzalna w swojej lekkoatletycznej żywotności — będzie musiała się kiedyś pożegnać z bieżnią. Mam nadzieję, że to szybko jeszcze nie nastąpi, ale chyba i ona musi o tym myśleć coraz częściej.

Wielu sportowców uważa, że po zakończeniu ich sportowej kariery w kraju powinien nastąpić kilkuletni wyjazd do zagranicznego klubu. Wiadomo na przykład, że Jan Tomaszewski ma w perspektywie występy w jednym z klubów belgijskich. Być może myślą o tym inne asy naszej kadry piłkarskiej i już choćby z tego powodu trzeba myśleć o zupełnie nowej drużynie piłki nożnej, która mogłaby reprezentować nasz kraj czy to w zbliżających się Mistrzostwach Europy, czy później w Moskwie na Olimpiadzie. Zasłużony bramkarz polskiej drużyny w piłce ręcznej — Andrzej Szymczak gra w Austrii, Edward Skorek bodajże w USA. Grają w zagranicznych klubach piłkarze. Dlaczego nie mieliby jeździć za granicą kolarze?

Każdy zawodnik ma tę świadomość, że prędzej czy później skończą się jego zdolności, wyczerpią się siły i trzeba będzie pożegnać się ze sportem. Prezes PZKol. — Witold Dłużniak słusznie uważa, że klubom potrzebni są działacze i szkoleniowcy. I to nie tylko w kolarstwie. Wielu zawodników — mając w perspektywie koniec czynnej kariery sportowej — myśli o pracy trenerów. Inni sposobią się do pracy zawodowej poza sportem, ale przecież mogliby być nadal działaczami sportowymi. Zawodnicy wielu dziedzin sportu nie muszą się zbytnio troszczyć o materialną przyszłość po ukończeniu kariery sportowej, gdyż kluby zatroszczyły się o ich materialne bytowanie na teraz i na przyszłość. Ich start życiowy — dzięki wielkiemu wysiłkowi i talentowi — jest znacznie lepszy niż wielu ich rówieśników. W zasadzie — poza wyjątkową sytuacją Włodzimierza Lubańskiego — zgoda na zagraniczny wyjazd jest traktowana jako premia. Za granicę na ogół nie jedzie się po sławę, tylko po pieniądze. Przykład Roberta Gadochy, o którym wszelki słuch zaginął, jest tego najlepszym dowodem. Nie każdy, jak Jerzy Sadek, zdolny jest błyszczeć po powrocie w ligowej drużynie.

A jednak trudno odmówić racji prezesowi Witoldowi Dłużniakowi, który uważa, że sława mistrza może więcej przynieść pożytku w kraju niż jego pobyt za granicą. Nie wynika z tego wcale, że jestem przeciwna wszelkim wyjazdom zawodników za granicę, na dłuższy tam pobyt w zagranicznych klubach. Uważam, że sprawy te trzeba traktować indywidualnie, subtelnie i mądrze. Jeśli już godzimy się na zagraniczne wyjazdy naszych sław sportowych i robimy to z całą świadomością, że im to przyniesie korzyść, że jest to jakaś premia za trudy poniesione w kraju, to róbmy to również z troską o przyszłość polskiego sportu. Niechże ci uprzywilejowani i premiowani poczują się zobowiązani do tego, aby po powrocie spożytkowali swoje zagraniczne doświadczenia dla dobra klubów macierzystych, dla dobra polskiego sportu. Niech to będzie swego rodzaju „inwestycja", z której w przyszłości będą mieli pożytek następcy dzisiejszych mistrzów. Próbujmy wygrywać to również wychowawczo, ale ze świadomością niełatwego problemu wychowania w sporcie. Nie jest to proste, ale nie wszystko musi być proste.

Prezes Witold Dłużniak zdaje się być świadom złożoności rozstań zawodników z czynnym życiem sportowym. Ale przypadek z Mieczysławem Nowickim i młodym przecież jeszcze Tadeuszem Zawadą, którzy nie bardzo byli pewni swego losu w tym sezonie, wskazuje, że i w PZKol. nie dzieje się w tej mierze najlepiej.

BODGA MADEJ

kraj ognistego smoka

Wciśnięty pomiędzy dwa azjatyckie giganty — Indie i Chiny — i położony w niebotycznych Himalajach **Bhutan** był niedostępny dla obcokrajowców aż do 1973 roku. Zaledwie nielicznej garstce urzędników i podróżników udało się dotrzeć do **„Kraju Ognistego Smoka"** — Drukyul, w czasach brytyjskiego panowania w Indiach. Nie był to zresztą kraj zbyt bezpieczny, bowiem aż do 1907 roku trwały w nim nieustanne walki pomiędzy różnymi klanami i rodami, zakończone ustanowieniem supremacji dynastii Wangczhuków.

Obcokrajowcom uchylono nieco drzwi w czerwcu 1974 roku z okazji koronacji króla Dżigme Singye Wangczhuka, trzeciego władcy z tej dynastii. Obecnie władze himalajskiego królestwa zezwalają na wjazd niewielkich liczebnie grup turystów, którzy mogą poruszać się po kraju wyłącznie po uprzednim ustaleniu marszruty.

MONARCHIA

Ustrój panujący w Bhutanie można określić mianem monarchii demokratycznej, w której król sprawuje władzę zarówno świecką jak i duchową. Władca wyznacza premiera oraz członków Rady Doradczej, podczas gdy 130-osobowe Zgromadzenie Narodowe (Congdu) pochodzi z wyboru; zasadą jest przydzielanie jednego głosu każdej rodzinie. Zadaniem obu tych organów jest udzielanie porad w sprawach polityki zagranicznej, która zresztą, na mocy traktatów zawieranych początkowo z Wielką Brytanią, a później z Indiami „kierują" kontaktami zagranicznymi Bhutanu, aczkolwiek Bhutan jest samodzielnym członkiem ONZ, posiadającym własne przedstawicielstwo.

Poprzedni monarcha, Dżigme Dordżi Wangczhuk, przeniósł stolicę kraju z Paro do **Thimbu**, wyzwalając w ten sposób władzę królewską spod nieustannej i wszechobecnej kontroli kościoła lamajskiego. Dżigme Dordżi bardzo umiejętnie połączył tradycję z nowoczesnością. Siedzibą władz jest przebudowany i rozbudowany klasztor Tasiczho, zachowujący styl tradycyjnej architektury: w pobliżu wybudowano hotel, szpital, lądowisko dla helikopterów, założono sieć telefoniczną.

Dekretem królewskim wprowadzono za rządów Dżigme obowiązek powszechnego nauczania. W szkołach wykłada się zarówno współczesną wiedzę (w pojęciu świata europejskiego czy amerykańskiego) oraz tradycyjne nauki, np. kanony religii lamajskiej. Nauczanie odbywa się w języku miejscowym — druk-ka, będącym dialektem języka tybetańskiego, a także w języku hindi i po angielsku.

KLER I RELIGIA

Znaczenie kleru lamajskiego, którego głównymi siedzibami są dwie byłe stolice kraju — Paro i Punakha — znacznie zmalało w następstwie modernizacyjnych posunięć króla Dżigme Dordżiego. Obecny władca, jego syn Dżigme Singye, jest wyraźnie zdecydowany podążać tą samą drogą, popierając postępowe poglądy pomimo dających o sobie znać od czasu do czasu intryg ze strony sił reakcyjnych.

Tym niemniej religia odgrywa pierwszorzędną rolę w życiu mieszkańców Bhutanu. Aż do 1970 roku jeden z najtrudniejszych do zdobycia szczytów himalajskich — Czomolhari (Boska Góra), liczący 7.320 metrów wysokości, był uważany za tak święty, że noga żadnej istoty nie powinna na nim stanąć. Dopiero przed 8 laty ekspedycja bhutańsko-indyjska, korzystając z błogosławieństwa dostojnych lamów, z wielką czcią umieściła na szczycie brązową statuetkę Buddy.

Najstarsza świątynia w kraju, Kyiczhu, znajduje się w pobliżu Paro. O każdej porze roku kręcą się tam, jak i w każdej innej lakhana (bhutańska nazwa stupy, czyli buddyjskiej świątyni) młynki modlitewne i powiewają chorągiewki z religijnymi tekstami i zaklęciami. Panująca w Bhutanie religia pochodzi z importu. W VIII w. naszej ery przybył z Tybetu mnich Rimpocze, niosąc słowo nowej wiary. Jak głosi legenda, przybył na latającym tygrysie i przepędził wszystkie bestie i demony, które trwożyły swą obecnością mieszkańców spokojnych dolin Bhutanu. Dziś, na miejscu, w którym miał wylądować Rimpocze stoi klasztor Takszeng.

W Bhutanie przetrwała religia lamajska we wszystkich najciekawszych formach. Pewne formy mają już jednak charakter nieco widowiskowy i są obliczone zarówno na zapoznanie turystów z osobliwością doktryny lamajskiej (na przykład tańce obrzędowe w maskach, czyli misterium cam) jak i zapewnienie ludności swego rodzaju rozrywki. Objawia się przy tym duży talent aktorski i artystyczny, będący podobno wrodzoną cechą Bhutańczyków.

STOLICA

Bhutan rozciąga się na szerokości około 90 mili na północ od waskiej i żyznej doliny Duars. Liczący około 18 tys. mil kwadratowych powierzchni (ponad 40 tys. km. kw.) Bhutan jest nieco większy, niż Szwajcaria, którą zresztą przypomina pod względem krajobrazów.

W całym kraju znajduje się około 800 mil dróg, z których większość stanowią stare szlaki, którymi podążały niegdyś karawany pomiędzy Indiami a Tybetem. Komunikację znacznie przyśpieszyło wybudowanie przez indyjskich saperów i robotników drogi bitej (w 1962 roku), łączącej graniczną miejscowość Phuntsholing ze starą stolicą Paro i nową — Thimbu. O rozmiarach tego przedsięwzięcia świadczy fakt, że odległość między dwiema stolicami wynosi w linii prostej 45 mil, natomiast łącząca je szosa liczy 112 mil (179 km) długości. Do momentu jej wybudowania na przebycie tej trasy potrzeba było 7 dni uciążliwej jazdy konnej.

Obecna stolica, nosząca zresztą różne (najpewniej gwarowe) nazwy — Thimbu, Thimpu, Thimphu, jest zamieszkana przez około 10 tys. osób. Jest to małe miasteczko, którego nowsze dzielnice wznoszą się już na zboczach gór. Dwie główne ulice są pełne sklepów, w których klientów obsługuje się przez duże okna. Nad centralną częścią miasta dominuje stupa wystawiona ku czci króla Dżigme Dordżi Wangczhuka.

Wygląd wielu starych budynków świadczy o tym, że był to kraj nękany najazdami wrogów — w wielu domach zamiast okien znajdują się po prostu szczeliny strzelnicze dla łuczników. Przed rokiem 1960 armia bhutańska była rzeczywiście uzbrojona niezbyt nowocześnie — w łuki, kusze i tarcze. Łucznictwo pozostało zresztą do dzisiejszego dnia najpopularniejszym sportem narodowym; łucznik, który trafia w środek tarczy z odległości ponad 100 m jest tak samo popularny, jak sławni sportowcy na Zachodzie. Armia odstąpiła jednak od tradycji i dziś na jej potrzeby — przede wszystkim na zakup nowoczesnej broni — przeznacza się 25 proc. całego budżetu Bhutanu.

Turystów przybywa do Bhutanu niewielu. Jeśli w ogóle zdecydują się oni na przekroczenie granicy, to odbywa się to zwykle drogą lądową w miejscowości Phuntsholing, bowiem jedyne w kraju lotnisko, w Paro, może przyjmować wyłącznie awionetki. Władze królestwa odnoszą się do cudzoziemców z bardzo dużą ostrożnością i dystansem, co w znacznej mierze usprawiedliwia fakt, że zaplecze turystyczne Bhutanu jest w zasadzie nie rozbudowane. Jedyny hotel z prawdziwego zdarzenia znajduje się w Thimbu; podróżnym pozostają zatem do dyspozycji niewielkie gospody i zajazdy. Autor tej relacji — co wykazał odpowiedni stempel w paszporcie — był dopiero 110 cudzoziemcem odwiedzającym Bhutan (oczywiście od momentu wprowadzenia formalności paszportowych).

WIEŚ

Gospodarstwa wiejskie w Bhutanie mają z reguły bardzo mało gruntów uprawnych, i to nie tylko ze względu na niekorzystne ukształtowanie terenu, lecz także ze względu na to, że poprzedni władca wyzwolił wszystkich niewolników i rozdzielił ziemię. Skutek jest taki, że żadna rodzina nie może mieć więcej, niż 30 akrów ziemi uprawnej. Prawie wszystkie zabudowania są identyczne i zachowują tradycyjny styl architektury tybetańskiej. Są to 2-piętrowe budynki postawione z reguły na miedzach lub na zboczach gór, co pozwala zaoszczędzić ziemię nadającą się do uprawy. Wszystkie są pokryte drewnem, a wybudowane z kamienia, ponieważ żaden szanujący się budowniczy nie używa nawet kawałka gwoździa. W ten sam sposób budowany jest również pałac królewski w Thimbu.

W tych tradycyjnych budynkach parter jest przeznaczony dla zwierząt — krów, jaków, mułów i koni. Na pierwszym piętrze znajdują się mieszkania, a na drugim — spichlerz.

Bhutan jest pod względem zaopatrzenia w artykuły żywnościowe krajem samowystarczalnym, który może sobie nawet pozwolić na eksport niewielkich ilości ryżu, patatów i owoców do Indii. Głównymi obszarami uprawnymi są rejony równiny Duars, położonej u stóp Himalajów, a także doliny Paro i Thimbu, w których dominują pola tarasowe.

BHUTAN jest krajem o powierzchni 47 tys. km. kw. i ludności liczącej 1035 tys. osób, według stanu z roku 1974. Konstytucyjną stolicą kraju jest Thimbu. Do czasów króla Dżigme Dordżi Wangczhuka, kraj miał dwie stolice: letnią — Paro oraz zimową — Punakha. Oba te miasta były i są do dziś najważniejszymi ośrodkami życia religijnego.

Od listopada 1968 roku Bhutan jest monarchią konstytucyjną; przedtem była to monarchia absolutna, aczkolwiek władca Bhutanu podlegał pewnym formom kontroli ze strony najpierw Wielkiej Brytani, a potem Indii. Władca stoi na czele rządu, który składa się z pięciu ministrów: spraw zagranicznych; handlu, przemysłu i leśnictwa; spraw wewnętrznych; finansów; komunikacji. Dwa razy do roku zbiera się Zgromadzenie Narodowe.

Podstawą polityki zagranicznej i stosunków międzypaństwowych Bhutanu jest zawarty 8 lipca 1949 roku traktat o przyjaźni z Indiami.

Językiem urzędowym Bhutanu jest assamsko-tybetański, będący w zasadzie jednym z południowo-wschodnich dialektów języka tybetańskiego.

Władze Bhutanu przywiązują wielką wagę do zachowania wszelkich tradycji narodowych, poczynając od religii i wszelkich jej zewnętrznych przejawów, a kończąc na sprawach życia codziennego, takich np. jak obowiązek noszenia przez obywateli strojów narodowych.

Publikujemy obok artykuł kanadyjskiego dziennikarza RICHARDA HARRINGTONA, który niedawno odwiedził Bhutan i obserwacje poczynione w czasie tej podróży opublikował w 2 numerze miesięcznika „EASTERN HORIZON".

RZECZ O PATRIOTYZMIE ZAŚCIANKOWYM

O tym, co dla Łodzi zrobił Władysław S. Reymont, wie każdy. A inni tej miary i tego zasięgu pisarze? Pomijam wielkości lokalne. Po romantykach niewiele można się spodziewać, bo to i emigracja i miasto nasze mało na mapie świata ważyło. Toteż Adam Mickiewicz dotarł zaledwie do Zgierza. Brakło mu oddechu na pokonanie ostatnich dziesięciu wiorst, być może ze zwykłej niewiedzy, a może dlatego że zgodnie ze Słownikiem Geograficznym Królestwa Polskiego jeszcze kilka dziesiątków lat później Łódź leżała... pod Zgierzem. Potrzeba, jaką Wieszcz przejawił była natury rymotwórczej:

On się puścił aż do Zgierza
I tam przystał na żołnierza.

Od połowy ubiegłego stulecia w okolicach Nowego Rynku poczęli się pojawiać reportażyści, wierszokleci, później prozaicy. Jeśli w odniesieniu do nich można mówić o tzw. złotych zgłoskach, to zapisały się nimi — cieniutką warstwą — nazwisko Oskara Flatta, znacznie grubszą — Reymonta. Potem — długa i głęboka cisza, aż w latach dwudziestych odezwał się Broniewski, — o nim będzie mowa dalej i Boy-Żeleński:

Ach cudne miasto, człek chodzi
i chodzi
To całkiem co innego niż u nas
w Łodzi.

Gałczyński zainteresował się nami dwukrotnie, co wymaga przypomnienia:

...Na rogu
Sprzedawca kalejdoskopów,
Morskich świnek, pajaców,
dawniej, ha! wielki baca
miał do spółki ze siostrą
restaurację z orkiestą,
lecz popadł w perypetie
przez miłosną tragedię
i skoczył z dachu w Łodzi
lecz cóż to kogo obchodzi?

A oto jeden z limeryków tegoż autora:

Był pewien poeta w Łodzi,
który ciągle na rzęsach chodził.
Gdy go koledzy z płaczem
błagali: chodź inaczej,
odpowiedział: co to was do cholery
obchodzi?

Jarosław Iwaszkiewicz pamięta nasze miasto w zimowej szacie:

Jak kiedy czasem kto pastel zetrze
Biało zatarte jest miasto całe
I w takim śniegu i w takim wietrze
Trzepią się barwy czerwono-białe...

A ponad śniegiem drżą błyskawice
Z bijącym sercem człowiek wychodzi
Powitać dawno znane ulice
Czerwone flagi w śnieżystej Łodzi.

Rym: „chodzi — w Łodzi" może łatwo zirytować, toteż śpieszę do stronic Broniewskiego, by sprawdzić, czy szedł tą samą drogą.

Rozwijamy skrzydła w pochodzie
wichrem ulic wiejemy — tłum,
przerywamy chmury nad Łodzią
czerwonymi nożami łun.

Więc właściwie — też „chodzenie", tyle że chociaż w innym przypadku. Na szczęście poeta w wierszu, któremu nazwę naszego miasta dał za tytuł, dowiódł, że je można rymować w sposób nie banalny.

...pieśń jak kamień podnieś i rzuć.
W dymach czarnych budzi się Łódź.

...dymem czarnym musi się snuć
pieśń, nim iskra padnie na Łódź.

i wreszcie:

Ciąży sercu wola i moc,
rozpal iskrę, ciśnij ją w noc,
powiew gniewny wciągnij do płuc —
jutro inna zbudzi się Łódź.

Pozornie można by sądzić, że sprawca niniejszego wyciągu ma żal do obcych ludzi pióra, że, poza Broniewskim, obeszli się z nazwą naszego miasta, a więc z miastem dość bezceremonialnie. Ale to nieprawda. O brak patriotyzmu lokalnego należy mieć pretensję przede wszystkim do nas, piliczną wodę pijących.

Bowiem w drugiej dekadzie kwietnia staraniem Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego zorganizowane zostało sympozjum naukowe poświęcone literaturze Łodzi i językowi Łodzi. W wielkiej sali Muzeum Historii Łodzi interesującym wymowom pracowników Instytutu przysłuchiwało się piętnaście osób. Plus pięć (wraz z prelegentami) za stołem prezydialnym.

Gdybym był poetą, spłodziłbym dwuwiersz tej treści:

Na imprezy poświęcone Łodzi
Nikt w Łodzi nie chodzi.

I mówcie sobie, że jestem epigonem Iwaszkiewicza.

JERZY URBANKIEWICZ

AMERYKAŃSKIE BAZY NA OCEANIE INDYJSKIM

Jak informuje prasa zagraniczna, na wody Oceanu Indyjskiego wpłynęły nowe operacyjne związki amerykańskiej marynarki wojennej. Fakt ten świadczy, iż USA kontynuują powiększanie wojskowego potencjału w tym punkcie kuli ziemskiej, wbrew żądaniom wielu krajów przekształcenia Oceanu Indyjskiego w strefę pokoju.

Jak wiadomo, USA, dążąc do umocnienia swoich militarnych pozycji na Oceanie Indyjskim, „wykupiły" od Anglii, wyspę Diego Garcia i przekształcają ją w potężną bazę morską i lotniczą. Diego Garcia leży ok. 640 km na południe od równika. Samoloty amerykańskie startujące z bazy, wykonują loty zwiadowcze nad Zatoką Perską, Morzem Czerwonym i Wschodnią Afryką. Amerykańska obecność wojskowa zagraża niepodległości afrykańskich i azjatyckich krajów tej strefy, stwarza nieustanną groźbę agresji.

Związek Radziecki, występując przeciwko niebezpiecznemu wyścigowi zbrojeń w tej części świata, niejednokrotnie proponował rządowi USA porozumienie w sprawie zaprzestania wszelkich działań, które prowadzą do komplikowania sytuacji na Oceanie Indyjskim. Stanowisko ZSRR w tej sprawie, jest jasne: zlikwidować w strefie Oceanu Indyjskiego wszystkie bazy wojskowe i wyrzec się tworzenia nowych. Propozycja ta odpowiada interesom wszystkich narodów, zaniepokojonych możliwością pojawienia się nowego zarzewia międzynarodowego napięcia. ZSRR nie ma i nie chce mieć baz wojskowych na Oceanie Indyjskim.

Prezydent Carter rzucił wiele słów na wiatr, powtarzając kilkakrotnie, że „na Oceanie Indyjskim trzeba zlikwidować wszystkie bazy wojskowe", ale nie polecił zaprzestać budowy bazy na Diego Garcia. Co więcej, USA działają w kierunku zwiększenia wojskowego potencjału RPA oraz rozbudowy i modernizacji sił zbrojnych reakcyjnych reżimów arabskich, budując tam przy sposobności wojskowe bazy morskie i lotnicze. Cel tej amerykańskiej wojskowej krzątaniny w strefie Oceanu Indyjskiego, której towarzyszy straszenie „sowieckim zagrożeniem", jest jasny. Z Zatoki Perskiej wypływają na Ocean Indyjski tankowce napełniane naftą w Iranie, Iraku i w niektórych arabskich emiratach. W przybrzeżnych krajach Zatoki skupia się 60 proc. nafty eksportowanej do krajów kapitalistycznych. Przez Kanał Sueski kursuje w obie strony 20 tysięcy statków rocznie, lecz supertankowce nie korzystają z Kanału Sueskiego i płyną nadal drogą wokół Przylądka Dobrej Nadziei (RPA), przewożąc dziennie około miliona ton nafty. Trzy czwarte światowego transportu ropy naftowej odbywa się drogami morskimi Oceanu Indyjskiego. USA, Anglia i Francja, razem i każde z osobna, dążą do zabezpieczenia własnych interesów na tych szlakach wodnych. Słowem, chodzi o pełną kontrolę obszaru Zatoki Perskiej, leżącej na skrzyżowaniu ważnych dróg morskich między Dalekim Wschodem, Bliskim Wschodem i Europą.

Interesy amerykańskiego lobby wojskowo-przemysłowego najwyraźniej sprecyzował b. szef amerykańskich sił zbrojnych, kiedy sześć lat temu rozpoczynano budowę bazy na Diego Garcia: „Nasze interesy w Europie i Azji są ściśle związane z interesami zachodniego świata na Oceanie Indyjskim. Cała strefa basenu tego Oceanu, stała się rejonem świata, na którym, być może już w najbliższym dziesięcioleciu, mogą nastąpić wydarzenia bardzo dla nas niekorzystne. Musimy więc stworzyć mechanizmy zdolne do wywierania korzystnych dla nas wpływów i wyasygnować środki na aktywizację naszej wojskowej obecności w tym miejscu kuli ziemskiej". Należy wspomnieć, iż poza USA swoją obecność wojskową w tej strefie aktywizują także Anglia i Francja, budując własne bazy, między innymi, na wyspach: Reunion i Mauritius (kontrolowane zresztą przez CIA). W różnych publikacjach kraje te określają Ocean Indyjski jako „obszar strategiczny pierwszorzędnej wagi".

Bazę na Diego Garcia, amerykańscy oficerowie sztabowi nazywają „nową Okinawą", albo „Maltą Oceanu Indyjskiego". Urządzenia instalowane na wyspie zalicza się do rzędu super-tajnych, ale doskonale wiadomo, iż poza lotniskami, nowoczesnymi środkami łączności radiowej w powiązaniu z satelitarną oraz portami dla lotniskowców i okrętów podwodnych o napędzie atomowym, z bazy dokonuje się systematycznych lotów zwiadowczych na somolotach o zasięgu 3700 km. Ponadto wiadomo, że baza w Diego Garcia jest na Oceanie Indyjskim centralnym ogniwem wojskowej łączności związanej z systemami podsłuchowymi takich zaprzyjaźnionych z USA krajów, jak: Iran, Indonezja, Australia, Republika Południowej Afryki.

Jednakże wojskowa obecność Stanów Zjednoczonych w strefie Oceanu Indyjskiego nie ogranicza się do bazy na Diego Garcia. Trzy eskadry torpedowców bazują w porcie Bahrajnu (monarchia konstytucyjna, 598 km kw., 80.000 ludności, leży na wybrzeżu Zatoki Perskiej — red.), wchodząc w skład sił zbrojnych USA na Środkowym Wschodzie. Tutaj, a przede wszystkim w krajach Zatoki Perskiej, USA zakupują 25 procent potrzebnej im nafty, a inwestycje amerykańskich monopoli na Środkowym Wschodzie, sięgają dziś około półtora miliarda dolarów. Koncerny USA kontrolują połowę przemysłu wydobycia nafty Federacji Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Iranu. Poza tym, Stany Zjednoczone są bardzo zainteresowane drogami morskimi przez Ocean Indyjski, które prowadzą do źródeł surowców strategicznych, takich, jak: beryl, uran, chrom, złoto, antymon, miedź, nikiel.

Jak podaje tygodnik „Ocean Indian Actual", ukazujący się w Antananariwie (Madagaskar), według londyńskiego instytutu badań strategicznych, ogólna suma amerykańskich inwestycji w państwach basenu Oceanu Indyjskiego, łącznie z Republiką Południowej Afryki, sięga dziesiątków miliardów dolarów. Oto dlaczego, zgodnie z dyrektywami Pentagonu, na wodach Oceanu Indyjskiego w latach 1973—1977, pływały trzy specjalne eskadry wchodzące w skład VII floty Oceanu Spokojnego. Towarzyszyły im trzy lotniskowce, gigantyczne pływające bazy z załogą 5.000 ludzi i sto samolotów. W styczniu ub. roku na wodach Oceanu Indyjskiego pojawiły się: jeden lotniskowiec i towarzyszące mu dwa krążowniki, wykonując misję, którą Departament Stanu określił jako „konieczną". Było to pierwsze wypłynięcie na wody Oceanu Indyjskiego amerykańskiej flotylli, uzbrojonej w broń jądrową...

Na wschodnim wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, USA utrzymuje ścisłe związki z Indonezją i Australią. Marynarkę wojenną Indonezji uzbrajają Stany Zjednoczone, a w Australii prawicowy rząd całkowicie popiera amerykańską obecność militarną w tym rejonie świata. USA mają kilka baz na Filipinach, wywierają silne wpływy w Singapurze, Malazji, Syjamie.

Kiedy radzieccy doradcy i wojskowi specjaliści opuścili Somalię, przybyła tu natychmiast amerykańska misja, która miała na miejscu przestudiować prośbę rządu somalijskiego o udzielenie wojskowej pomocy przez Stany Zjednoczone. I chociaż Amerykanie chcieli pokazać, że przejawiają ostrożność i nie zamierzają rozdmuchiwać zarzewia pożaru w Rogu Afryki, wiedząc zresztą iż w ostatecznym rachunku, mogłoby się to obrócić przeciwko nim, to jednak zgodzili się na dostawę broni bezpośrednio lub za pośrednictwem Arabii Saudyjskiej, Sudanu, Egiptu, względnie Izraela, żeby pomóc Somalii w agresji przeciwko Etiopii.

Tymczasem prezydent Carter w ciągu kilku ostatnich miesięcy niejednokrotnie mówił o „konieczności demilitaryzacji Oceanu Indyjskiego"... Jednakże obserwatorzy polityczni postępowych krajów basenu Oceanu Indyjskiego, w tym również wspomniany już komentator tygodnika „Ocean Indian Actual", i co jest oczywiste, uważają, iż nie ulega wątpliwości, że Departament Stanu, a przede wszystkim Pentagon, znajdą „niezbite argumenty, które usprawiedliwią wojskową obecność USA w strefie Oceanu Indyjskiego", która obecnie coraz bardziej nabiera charakteru „obecności operacyjnej".

JERZY CZECH

Świadkowie w roli podsądnych

Protekcyjny stosunek zachodnioniemieckiego wymiaru sprawiedliwości do nazistowskich przestępców wojennych, otwarte dążenie do uchronienia ich od zasłużonej kary znieważa pamięć milionów ofiar hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Komentator „Washington Post" informuje, iż to co odbywa się obecnie w sądzie w Düsseldorfie jest częścią długiego i najbardziej rozczarowującego procesu sądzenia nazistowskich zbrodniarzy wojennych na przestrzeni ostatnich lat. Kilkaset tysięcy ludzi zniszczono w ciągu 4 lat wojny w „fabryce śmierci" na Majdanku. Z pewnością tyleż lat potrwa rozprawa sądowa nad 9 strażnikami i 5 dozorczyniami więziennymi oraz urzędnikami oskarżonymi o udział w tych zbrodniach. Proces rozpoczął się w listopadzie 1975 roku. Zdaniem adwokatów potrwa on jeszcze z rok lub półtora. W konsekwencji będzie więc trwał dłużej niż proces w Norymberdze.

Obecnie w Zachodnich Niemczech jeszcze ok. 5 tys. byłych nazistów czeka na procesy i wyroki. Ale w przyszłym roku wchodzi w życie ustawa ograniczająca czas ścigania zbrodniarzy wojennych tak więc sąd nad zbrodniarzami z Majdanka jest ostatnim z wielkich procesów tego rodzaju w RFN.

Agresywni obrońcy zastrzegają świadków w kwestiach wydarzeń sprzed 35 lat do tego stopnia, że czasem trudno się zorientować kto właściwie jest podsądnym. Dlatego też rodzą się poważne wątpliwości, czy któryś z obwinionych będzie w ogóle osądzony, ponieważ wszyscy na pewno będą apelować.

„To co odbywa się w Düsseldorfie — to cyrk" — opowiada korespondentowi „Washington Post" pewien obserwator. Jego zdaniem „adwokaci odnoszą się do świadków w taki sposób, jakby to świadkowie byli przestępcami". Obrońcy próbują kwestionować zeznania świadków (którzy często są byłymi więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych) i twierdzą iż nie mogą oni pamiętać takich szczegółów, jak, np. koloru ciężarówki, którą przywożono więźniów do komór gazowych. Zachodnioniemieckie gazety poinformowały o rozpoczęciu procesu i obecnie rzadko zamieszczają doniesienia z przebiegu rozprawy. Chociaż — jak uważa Ruddl Pik, pełnomocnik pewnej grupy ofiar Majdanka — sąd robi wszystko co może, ale w „wolnym i demokratycznym społeczeństwie" istnieją możliwości przeszkadzania wymiarowi sprawiedliwości i opóźniania jego działania. Tymczasem obwinieni przebywają na wolności i zjawiają się w sądzie tylko trzy razy w tygodniu. Kiedy wymaga się od nich powagi urządzają w sądzie burdy — opowiada pewien prawnik — To po prostu bezczelność"...

I z filtrem i bez...

Jeden z amerykańskich aktywistów kampanii antynikotynowej, matematyk zatrudniony w laboratorium w Pensylwanii, J. Miller, stwierdził, iż filtry w papierosach nie chronią palaczy przed szkodliwym wpływem nikotyny. Na podstawie precyzyjnej analizy danych statystycznych ustalił, iż średnia długość życia Amerykanów palących papierosy z filtrem wynosi 63 lata, a bez filtru — 65 lat. Wyjaśniając to dziwne zjawisko powołuje się Miller na wyniki badań specjalistów którzy udowodnili iż podczas palenia papierosów z filtrami wydzielają się większe ilości tlenku węgla niż w papierosach bez filtra.

(C)

ROZMOWA PRZYJACIÓŁ
MOSKIEWSKI ETAP
CZY NAPRAWDĘ PRZEŁOM?

W stosunkach polsko-radzieckich **bezpośrednie rozmowy Edwarda Gierka i Leonida Breżniewa mają zawsze najwyższe znaczenie.** Wizyta I sekretarza KC PZPR w Moskwie, w czasie której nastąpiło wręczenie naszemu przywódcy Orderu Rewolucji Październikowej, służyła, jak zwykle, wymianie doświadczeń, ocenie stanu wzajemnych stosunków oraz przedyskutowaniu sytuacji międzynarodowej. Ta ostatnia charakteryzuje się, niestety, również trwającym wyścigiem zbrojeń, wzmaganym przez Stany Zjednoczone. **W obecnej sytuacji** — podkreślili obaj przywódcy — **ważne są nie ogólnikowe apele o pokój, lecz konkretne środki,** zmierzające do osłabienia groźby jądrowej. Polska i Związek Radziecki, wierne zasadom swej polityki zagranicznej, gotowe są podjąć takie kroki wraz z innymi państwami.

Rozbrojenie, zapoczątkowane przede wszystkim zahamowaniem wyścigu zbrojeń — to temat w tej chwili najważniejszy. Nic przeto dziwnego, **że moskiewski etap podróży sekretarza stanu — C. Vance budził duże zainteresowanie.** Stosunki radziecko-amerykańskie w ostatnim okresie nie rozwijały się zadowalająco, a jak napisał przed kilku dnia i komentator Reutera znalazły się nawet „na rozstaju dróg". Przyczyny są znane — rokowania SALT II z winy Stanów Zjednoczonych nie zbliżyły się jeszcze do finału, a manewry wokół broni neutronowej podważały szczerość rozbrojeniowych intencji Waszyngtonu. Inaczej mówiąc — na co niedawno zwrócił uwagę L. Breżniew — nie obserwowało się ze strony USA kroków, które by prowadziły do postępu.

Pisaliśmy przed tygodniem, że mimo tej sytuacji prez. J. Carter dość optymistycznie wypowiedział się o możliwości nowego porozumienia na temat ograniczenia ofensywnych broni strategicznych. Tuż przed wyjazdem Vance do Moskwy powiedziano nawet więcej — że nowe porozumienie zostanie zawarte i ratyfikowane przez Senat jeszcze przed końcem lata.

Z tych to właśnie względów, zawsze budzące żywe zainteresowanie bezpośrednie kontakty ZSRR — USA, tym razem obserwowane były z jeszcze większą uwagą.

Jaki jest plon rozmów — w chwili pisania komentarza jeszcze nie wiemy. Jedno jest tylko pewne — **L. Breżniew uznał rozmowy za pożyteczne,** podkreślając, iż obie strony powinny dołożyć maksimum wysiłków, aby rokowania SALT II pomyślnie sfinalizować. Można zatem sądzić, że rysuje się wyjście z impasu.

Wydarzeniem minionego tygodnia na kontynencie amerykańskim było **ratyfikowanie przez Senat USA** (stosunkiem głosów 68 do 32) **układu z Panamą** (ściślej: drugiego układu z Panamą), który — przypomnijmy — przewiduje przekazanie Panamie z końcem stulecia — 31.12.1999 r. — kontroli nad Kanałem Panamskim *). Przypomnijmy też, iż do tego czasu Kanał będzie zarządzany przez nową amerykańską agencję pod nazwą „Komisja Kanału Panamskiego", w składzie której zasiadać będzie 5 Amerykanów i 4 Panamczyków. Panama przejmie jurysdykcję strefy Kanału w chwili wejścia układu w życie, ale USA jeszcze przez wiele lat ponosić będą główną odpowiedzialność za jego obronę.

Ratyfikację układu ocenia się w USA jako sukces prezydenta, bardzo mu zresztą potrzebny w związku z trudnościami w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Jest prawdą, że Carter mocno zaangażował się w ratyfikację, ponieważ, jak twierdzi, układ daje początek nowej erze stosunków z Panamą i innymi krajami kontynentu.

Trzeba w tym miejscu dodać, że **Panama,** co teraz potwierdził premier jej rządu, **była gotowa militarnie interweniować,** aby odzyskać kontrolę nad Kanałem. — Gdyby Senat odrzucił układ — powiedział on — wydany zostałby rozkaz rozpoczęcia walk, aby przejąć Kanał drogą siły.

I jeszcze jedna uwaga. Powszechnie ocenia się w prasie amerykańskiej, że „nie" Senatu byłoby prawdziwą katastrofą dla prezydenta, doszłoby bowiem do poważnej utraty wiarygodności administracji, także z następstwami międzynarodowymi. — Carter może być więc szczęśliwy — piszą komentatorzy, że tak zakończyła się sprawa i że po 15 miesiącach jego prezydentury **dokonany został pewien przełom w stosunkach z Kongresem.** Czy pomoże to Carterowi przepchnąć przez Kongres np. pakiet ustaw energetycznych, które tam ugrzęzły, stojąc się tematem przetargów politycznych — tego nikt nie wie. Połączenie tych dwóch spraw w komentarzach nie jest przypadkowe, właśnie bowiem minęła rocznica przedstawienia przez prezydenta jego programu polityki energetycznej, który — znów przypomnijmy — miał się stać wizytówką administracji Cartera. Jak dotąd, wizytówka ta nie jest zapisana, gdyż prezydent założonego celu nie osiągnął.

W. SŁAWSKI

*) Kanał Panamski wybudowany został w 1914 roku. Ma długość 82 km. W ub. roku przepłynęło przez Kanał ponad 13 tys. statków, przewożąc 123 mln ton towarów.

recenzje

GRA O WARTOŚCI

Ewa Filipczuk w swym książkowym debiucie prezentuje dorobek kilku lat twórczości. Okres kształtowania się jej artystycznych przekonań przypadł na czas, kiedy młodą literaturę zdominowała poezja i program Nowej Fali początku lat siedemdziesiątych. Znaczna większość rówieśników autorki w sposób aprobatywny lub polemiczny podejmowała nowofalowe postulaty. Czasami prowadziło to do ciekawych poetyckich dokonań, często jednak — do wtórności lub wręcz artystycznych nieporozumień.

Wybór, którego dokonała Ewa Filipczuk, jest w tym kontekście oryginalny. Otóż wpisuje się ona swoją poezją do innej tradycji literackiej, co widoczne jest w języku i stylu, w świadomym posługiwaniu się takim językiem, w którym ważniejsza staje się nośność informacyjna słowa, niż ukazywanie jego zafałszowań i wieloznaczności. Ta „dobra wiara" w traktowaniu języka, jako środka porozumiewania się ludzi zbliża poezję autorki „Gry" do twórczości poetów klasycyzujących.

Poezja Ewy Filipczuk wkracza na teren etycznej i filozoficznej refleksji nad powikłaniami ludzkiej egzystencji, warunkowanej przez naturę oraz przez fakt dokonywania kulturowych samookreśleń i wyborów. Tematem scalającym problemową zawartość „Gry" jest czas. W pierwszej części tomu, będzie to czas w wymiarze jednostkowym, biologicznym. Kwestie przemijania znajdują tu odpowiednik w charakterystycznym rozbiciu świadomości podmiotu mówiącego na „ja" obecne i „ja" dawniejsze („ja" — dojrzała kobieta, matka: „ja" — dziecko). Problem tożsamości, identyfikacji i akceptacji siebie w różnych rolach społecznych jest pierwszym stopniem poetyckiego dialogu. Nastawienie na odbiorcę, sygnalizowane ekspresywnym zwrotem do drugiej osoby, a także nagromadzeniem pytań retorycznych, jest w omawianej poezji bardzo widoczne.

Wychodząc od prób samookreśleń poetka dochodzi do wskazań na stałe układy odniesienia poza sobą, a więc do relacji: „ja" — inni ludzie, „ja" — świat przyrody i przedmiotów martwych, „ja" — historia. Drugi człowiek w poezji Filipczuk, ów punkt odniesienia, to najczęściej mężczyzna lub dziecko. Erotyki w tym zbiorze posiadają duży ładunek dramatyzmu, rozgrywają się w zorientowanych dialogowo monologach lirycznych, w których miłość i dążenie do szczęścia stanowią dialektyczną przeciwwagę samotności i niespełnienia. Erotyka daje jednak tylko „pośpieszną rozkosz i gorycz oddania ma smak przeszłości". Towarzyszy jej więc sceptyczne przekonanie o nietrwałości związków międzyludzkich.

Istotną rolę odgrywają w tej poezji przywołania dziecka. Z jednej strony wyraża się w nich wspomnienie dzieciństwa, które nakłada się na obrazy późniejsze:

Wspięta na palcach drży i czeka
A pod przejrzystą skórą dziecka
Mieszka kobieta w cieniu powiek,

względnie odwrotnie, jak w jednym z erotyków, w którym bohaterka przed oddaniem się mężczyźnie ma „uciszyć w sobie płacz dziecka". Można by tu zastosować „lingwistyczne" tłumaczenie poprzez zwrot „nosić w sobie dziecko", któremu można nadać sens dosłowny (być w ciąży), względnie przenośny (jako zachowanie, sposób myślenia i odczuwania „tak jak dziecko").

W kilku wierszach przywołaniom dziecka nadaje poetka wymiar tragiczny. Wiersze: „Andersen", „słona gwiazda pod powieką" „Dom bez dziecka", „są rzeczy które znamy". „Ten który umarł" należą do najcelniejszych artystycznie utworów zbioru. W tych oszczędnych i prostych wierszach o przemijaniu i śmierci, o cierpieniu i miłości na uznanie i szacunek zasługuje dążenie młodej poetki do przezwyciężania nicości poprzez materializowanie jej w słowach. Być może te właśnie wiersze zawierają klucz do odczytywania tej poezji i obsesyjnych obrazów czasu.

W niektórych utworach pojawiają się przeczucia katastroficzne. Obok takich uzasadnień subiektywnych, jak egzystencjalny lęk przed nicością i śmiercią, znajdują one też — w drugiej części tomu — motywacje społeczne i historyczne. W relacjach „ja" — historia, szuka poetka źródeł postaw i wartości uniwersalnych.

KONRAD W. TATAROWSKI

Ewa Filipczuk: „Gra". PIW, W-wa 1977, s. 55, cena 20 zł.

„SĘDZIOWIE" STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO

Teatr polski sięga dzisiaj coraz częściej do dramatów Stanisława Wyspiańskiego, które były rzadziej wystawiane od tych, które uznane są za arcydzieła w twórczości naszego dramaturga, jak „Wesele", „Noc listopadowa" czy „Wyzwolenie". Okazuje się wtedy, że dramaturgia Wyspiańskiego ukrywa jeszcze wiele tajemnic i że znalezienie dla niej współczesnego klucza interpretacyjnego pozwala na odkrycie w niej coraz to nowych wartości.

Do utworów po drugiej wojnie rzadziej wystawianych należą „Sędziowie". Należą oni — obok „Meleagra", „Protesilasa i Laodamii" oraz „Klątwy" — do grupy czterech utworów, które autor nazwał mianem tragedii. O ile antyczna tematyka dwóch pierwszych z nich wskazuje na świadome nawiązanie do tragedii greckiej, co w sposób naturalny nazwę tę usprawiedliwia, o tyle może zastanawiać określenie tragedią „Klątwy" czy „Sędziów" — dramatów, których akcja oparta jest na faktycznie zaistniałych wypadkach w czasach współczesnych poecie, wypadkach, które Wyspiański uczynił tłem intrygi dramatycznej. Nie bez związku z tym faktem wiązano te dramaty z naturalizmem, Leon Schiller nieśmiało wskazywał na ekspresjonistyczne cechy „Sędziów", a tak w ogóle to nie bardzo umiano ich specyfikę określić i w całokształcie twórczości autora „Akropolis" traktowano te dzieła jako twory hybrydalne.

Teatr współczesny i nowsze badania nad teatrem Wyspiańskiego starają się dogłębniej wniknąć i rozszyfrować wizję sceniczną tej twórczości. **I. Sławińska** pisze, że w „Sędziach" Wyspiański choć **„wyszedł w dramacie od warsztatu naturalisty od realizmu psychologicznego, ale przezwyciężył go i użył do innych celów niż naturaliści. Przywołał też na pomoc inne, bardziej syntetyczne środki. To przekroczenie naturalizmu, po prostu w naszych oczach dokonane, wzbogacenie warsztatu śmiałymi innowacjami — to jeden z pasjonujących aspektów tego dramatu".** Na czym polegały te inne cele?

W swoich dramatach antycznych odwoływał się Wyspiański do mitologii greckiej lub chrześcijańskiej jako do elementów kształtujących świadomość europejską. Oparcie fabuły w „Sędziach" i „Klątwie" na wypadkach współczesnych nie oznacza wcale rezygnacji z tego rodzaju odwołań. Świat „Klątwy" oparty jest na starciu się etyki chrześcijańskiej z odwiecznymi obrzędami rodem z pogańszczyzny. Świat etyki, do którego nawiązuje fabuła „Sędziów" (postępek Joasa), wskazuje na kontaminację wzorów etycznych dokonaną w naszej kulturze: rodem ze Starego Testamentu i z chrześcijaństwa.

Ale Wyspiański w swoim podejściu do mitologii jest wielce perwersyjny. W „Klątwie" Bóg wypowiadając Słowo, nie tworzy świata ale niesie mu zagładę; w „Sędziach" Bóg nie wstrzymuje ręki Abrahama, a ofiara z Izaaka-Joasa zostaje spełniona. Może dlatego te dramaty wydają się nam dzisiaj tak zdumiewająco współczesne...

W związku z niedawno minioną 70 rocznicą śmierci Stanisława Wyspiańskiego **Teatr Nowy** wystawił „Sędziów" w reżyserii **Andrzeja Wanata.** Spektakl składa się z dwóch części. W pierwszej z nich słuchamy recytacji wyjątków z listów poety oraz fragmentów jego utworów w wykonaniu **Kazimiery Nogajówny, Leona Charewicza, Jana Kasprzykowskiego, Grzegorza Potockiego** i **Józefa Zbiroga.** Część ta wydaje się nawiązywać do poprzednio wystawianych na Małej Scenie przedstawień o charakterze rapsodycznym (Herbert, Lechoń, Szymborska, Słonimski). W tym fragmencie wprowadza nas inscenizator w świat myśli i inspiracji poety, z których rodziły się później wizje dramatyczne jego utworów. Uważnie słuchając tych tekstów, dopatrzyć się można wyraźnej konsekwencji w myśleniu twórcy „Studium o Hamlecie" konsekwencji, która — wbrew uwagom reżysera, załączonym do programu — nie pozwala tak kategorycznie stwierdzać o różnicy „Sędziów" wobec wszystkich innych dramatów poety (nie wyłączając „Klątwy"). Zresztą wspólnotę taką sygnalizowano wyżej. Wydaje się, że wyżej cytowana uwaga reżysera wynika z chęci przeciwstawienia się próbom łączenia w jednym przedstawieniu „Sędziów" z innym dramatem Wyspiańskiego, jak to na przykład zrobił Konrad Swinarski, łącząc ten dramat właśnie z „Klątwą".

Druga część przedstawienia stanowi właściwą inscenizację „Sędziów". Andrzej Wanat starał się w niej respektować w sposób jak najbardziej dokładny wizję tego dramatu, jaką zapisał w swoim tekście autor. Widoczne to jest zarówno w oprawie scenograficznej, stworzonej przez **Kazimierza Wiśniaka,** jak i w sposobie prowadzenia zespołu aktorskiego.

Owa niekiedy filozoficzna wierność zaciążyła na koncepcji całości przedstawienia. Jest to bowiem wierność literze tekstu, a nie idei, którą dzisiaj możemy z tego tekstu odczytać.

Dlatego też w spektaklu odczuwa się jakby ograniczenie problematyki etyczno-metafizycznej, jaką wypełniony jest dramat. Sprawy etyki przeniesione są tutaj w płaszczyznę działań bohaterów, reprezentujących określone postawy charakterologiczne. Pozwoliło to na stworzenie spektaklu typowo aktorskiego, w którym aktorzy biorący udział bardziej opracowali indywidualności stwarzanych przez siebie postaci niż problematykę metafizyczną dramatu. Dlatego może dosyć nieprzekonująco wypadła kluczowa scena dramatu (śmierć Joasa, kreowanego przez **Teresę Makarską),** której uzasadnienia przecież nie można poszukiwać jedynie w płaszczyźnie psychologicznej. Nie jest to zresztą winą aktorki, grającej w sposób wzruszający, ale koncepcji całości przedstawienia.

Znakomite kreacje — w wymiarach sformułowanych wyżej — stworzyli główni aktorzy dramatu: **Wojciech Pilarski** jako Samuel, **Bogdan Sochnacki** jako Natan, **Kazimiera Nogajówna** w roli Jewdochy i **Władysław Dewoyno** w roli Juklego, przypominający postacie z obrazów Chagalla. Ten ostatni — świetny w scenie pierwszego swojego wejścia na scenę — nie bardzo jednak wie, co ze sobą zrobić w scenie finalnej.

Wyróżnić należy w sposób szczególny parę: **Bogusław Sochnacki** i **Kazimiera Nogajówna.** Ich role, opracowane w najdrobniejszych szczegółach, dają widzowi wielką satysfakcję, wynikającą z obserwowania znakomitego warsztatu aktorskiego.

Pewne zastrzeżenia można mieć do ujęcia przez reżysera postaci sędziów (Nauczyciel — **Ryszard Dembiński,** Wójt — **Marian Stanisławski,** Sędzia — **Józef Zbiróg,** Aptekarz — **Jan Kasprzykowski).** Nie jest to winą aktorów, z których każdy stworzył postać wielce charakterystyczną, ale ze sposobu ujęcia tej sceny, w której reżyser starał się jakby zatuszować jej groteskowość, gdy tymczasem tekst Wyspiańskiego w sposób konsekwentny ową groteskowość tego „sądu ludzkiego" podkreśla, przeciwstawiając go innemu sądowi — Bożemu — któremu w istocie podległe są losy bohaterów.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Teatr Nowy, Mała Sala. Stanisław Wyspiański: „Sędziowie". Reżyseria — **Andrzej Wanat.** Scenografia — **Kazimierz Wiśniak.** Premiera 4 kwietnia 1978 r.

Teatr Nowy. Mała Sala. Stanisław Wyspiański: „Sędziowie".

Foto: A. Brustman

TELEGENICZNOŚĆ PAMIĘCI

Sobota, 22 kwietnia, w telewizji blok programowy Studia 8. W części problemowej „Wieczoru z dziennikiem" jedna tylko pozycja: relacja filmowa Józefa Blachowicza ze spotkania z „hubalczykami". Po „Wieczorze" jak zwykle projekcja filmu fabularnego. Tym razem jest to głośny brytyjski fresk historyczny „Bitwa o Anglię" z Curdem Jurgensem, Laurencem Olivierem i Trevorem Howardem na czele całej plejady gwiazd.

Malownicza w swym tragizmie ułańska ballada majora Dobrzańskiego-„Hubala", ostatniego żołnierza Września 1939 roku i pierwszego partyzanta polskiego w II wojnie światowej — z jednej strony oraz o parę zaledwie miesięcy następująca po niej w czasie, epopeja skrzydlatych rycerzy broniących przed inwazją Hitlera ostatniego bastionu Europy, jakim była wówczas wyspa brytyjska z drugiej. Przy nierównym ciężarze obu epizodów w dziejach ostatniej wojny, istnieje wiele momentów świadczących o ich duchowym pokrewieństwie.

Dla Polaków są oba dokumentami bohaterskiej walki naszego narodu z hitlerowską przemocą o wyzwolenie kraju. Dlatego redaktorzy telewizji wprowadzili obie te pozycje do programu z okazji święconego u nas właśnie Miesiąca Pamięci Narodowej. Postarali się przy tym, by pojęcie „pamięć" nie było w tym przypadku gołosłowne, by weryfikować fakty historyczne świadectwem ich bezpośrednich uczestników.

Blachowicz nie ogranicza się do tego, że odwiedza „hubalczyków" z kamerą filmową w domu pana Osowskiego, który był adiutantem majora Hubala. Organizuje tam dla nich projekcję filmu dokumentalnego o walce i śmierci bohaterskiego zagończyka. Film ukazuje pola bitewne i zachowane fotografie. Wśród nich historyczne zdjęcie przedstawiające zwłoki majora Hubala rzucone niedbale na wóz chłopski, otoczone przez żołnierzy Wehrmachtu. Na ich twarzach maluje się triumf. Wydaje im się, że to oni są tu zwycięzcami. Nie rozumieją, że historia inaczej osądzi tę chwilę, kreując pośmiertnym triumfatorem właśnie Hubala.

Osowski i inni „hubalczycy" śledzą w skupieniu film, czasem komentują go, ale najistotniejszym komentarzem jest chyba autentyczne wzruszenie malujące się na ich twarzach. To wzruszenie, mające swe źródło właśnie w pamięci tych ludzi, jest najwspanialszym świadectwem, jakie wydać można prawdzie.

Nim rozpoczęła się projekcja filmu „Bitwa o Anglię", dowiedzieliśmy się z ust prezentera bloku programowego B. Cieślaka, że w studiu telewizyjnym obecny jest uczestnik tej największej bitwy, pułkownik-pilot Wacław Król. A więc znowu podobna sytuacja. Wprawdzie tutaj chodziło o film fabularny, ale stawiający sobie za główny cel artystyczny wierność historycznym wypadkom. Podczas projekcji nie mogliśmy obczywiście obserwować wrażeń i wzruszeń na twarzy płk Króla, ale świadomość, że równocześnie z nami ogląda i osądza film świadek wydarzeń, decydowała o szczególnym odbiorze tego widowiska.

Pułkownik nie przyjął filmu bezkrytycznie. Miał zresztą czas przemyśleć sprawę, gdyż oglądał „Bitwę o Anglię" na ekranie po raz bodajże trzeci, a na premierze kinowej miał okazję wymienić opinie z kilkoma innymi uczestnikami bitwy, a między nimi z dowódcą legendarnego Dywizjonu 303, płk Stanisławem Skalskim. Nasi bohaterscy lotnicy, oglądając po latach filmową wersję bitwy, nie kryli pewnego rozczarowania. Udział Polaków w walkach lotniczych o Anglię został wprawdzie przez realizatorów filmu dostrzeżony i podkreślony, ale chyba z nadmiernym przechyłem w stronę żartobliwości.

Lubimy na ogół humor angielski ale wydaje się, że w 1940 roku było Brytyjczykom nie do śmiechu i nie śmiechem kwitowali udział polskich lotników w bitwie, skoro na ogólną liczbę 1.733 strąconych wówczas nad wyspą samolotów wroga ponad 200 zestrzeleń dokonali piloci polscy. Tymczasem w filmie jedynie depesza dowódcy lotnictwa myśliwskiego, marszałka Hugha Dowdinga wydaje się doceniać polski wkład w uratowanie Anglii...

Płk Król nie chciał być jednak zbyt surowym sędzią autorów filmu, w sumie ocenił ich dzieło pozytywnie, podkreśl..jąc jego wierność faktom historycznym i ogólnej atmosferze, jaka wówczas w Anglii panowała. Sąd jego ma chyba większą wartość od najbardziej kompetentnej opinii zawodowego recenzenta.

Zestawiając w swoim felietonie te dwa programy emitowane jednego wieczoru w swoim bezpośrednim sąsiedztwie i operujące podobnym chwytem formalnym, pragnę podkreślić telegeniczność takiego sposobu prezentacji najnowszej historii. W stosunku do wydarzeń, które rozegrały się przed niespełna czterdziestu laty, dysponujemy jeszcze szansą sprawdzania i korygowania przekazów artystycznych i dokumentalnych przez zderzanie ich z żywą pamięcią świadków. Te dosłowną pamięć zaprezentowała nam słusznie telewizja w związku z Miesiącem Pamięci Narodowej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

zdarzenia i zwierzenia

IDZIE POCHÓD ULICAMI ŚWIATA

Nieco już dziś zapomniany poeta Jan Lemański pisał przed kilkudziesięciu laty:

„Rośnie dzień Pierwszego Maja
Na gałązce pąk
Ni się groźby zląkł nahaja
Ni aresztu zląkł..."

Wówczas było to święto walki o najbardziej elementarne prawa człowieka — o niepodległość, o równość. Począwszy od roku 1890 międzynarodowe święto mas pracujących obchodzi się na całym świecie. Rok wcześniej, na kongresie założycielskim Międzynarodówki, proklamowano to święto. Datę Pierwszego Maja wybrano dla uczczenia rocznicy początku wielkiego strajku robotników amerykańskich w Chicago (1 maja 1886) żądających wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy.

Po raz pierwszy święto majowe obchodzono 88 lat temu w Austro-Węgrzech, Belgii, Francji, Hiszpanii, Niemczech, Wielkiej Brytanii. Także w Polsce po raz pierwszy obchodzono święto majowe w roku 1890 (w Warszawie) i był to zarazem pierwszy pochód pierwszomajowy w ówczesnym imperium rosyjskim. W samej Rosji pierwszy pochód pierwszomajowy miał miejsce rok później. Warszawska demonstracja majowa sprzed 88 lat zorganizowana była z inicjatywy Drugiego Proletariatu przez Stanisława Padlewskiego i Marcina Kasprzaka. Udział w niej wzięło około 10 tysięcy robotników, co było na owe czasy liczbą bardzo znaczną.

Rok później w 1891 w demonstracji pierwszomajowej w Warszawie wzięło udział już 20 tysięcy robotników — pochody i strajki odbyły się także w Łodzi (m. in. w fabryce Poznańskiego) oraz w Żyrardowie.

Do historii przeszły demonstracje w Łodzi w roku 1892, znane jako „bunt łódzki". Pierwszego maja tego roku 70 tysięcy robotników Łodzi i okolic wzięło udział w potężnej manifestacji, która przerodziła się w sześciodniowy strajk powszechny. „Bunt łódzki" był jednym z największych strajków powszechnych, wywarł wielki wpływ na rozwój zorganizowanego ruchu robotniczego, podniósł świadomość polityczną robotników.

Z walką robotników Łodzi solidaryzowali się robotnicy miast polskich i rosyjskich — m. in. robotnicy Petersburga, którzy dali temu wyraz w ogłoszonym liście otwartym do robotników Łodzi.

Z tego właśnie okresu pochodzi anonimowa pieśń „Pierwszy Maj w Łodzi" — drukowana w ulotce z roku 1893. Czytamy tam:

„Nasi łódzcy bracia zuchy
Dodają nam wciąż otuchy,
Świecą dla nas pięknym wzorem,
My wskazanym pójdziem torem..."

Dziś to już wszystko historia. Dziś święto Pierwszego Maja obchodzimy pod hasłami, które zawarł Gałczyński w swoim pięknym wierszu „Idzie pochód ulicami świata":

„Tak przez ziemię idą nowe dzieje.
Z każdym rokiem pochód ogromnieje (...)
Pochód w jutro wchodzi. Tak się wchodzi
w dom przestronny, w dom szczęśliwych ludzi".

WIDOK

lewym okiem

ARYSTOTELES UWAŻA...

„To co scena i rzeczywistość mają istotnie wspólnego i dlaczego pierwsza wciąż usiłuje wprowadzić drugą na swoje deski, to nierzeczywistość ich obu. Coraz rozpaczliwiej stara się scena dotrzymać kroku nierzeczywistości dzisiejszej rzeczywistości...".

Teraz już wszystko jest jasne. Dlaczego scena chce wprowadzić na swoje deski nierzeczywistość rzeczywistości? Bo sama jest nierzeczywista. Rzeczywistość jednak jest bardziej nierzeczywista niż scena, bo — jak czytamy — scena chce jej „rozpaczliwie dotrzymać kroku", a więc ledwie nadąża, jest gorsza, ma niedoskonałą nierzeczywistość. Mało tego: nierzeczywitość obu członów porównania — sceny i rzeczywistości — jest przyczyną, dla której scena usiłuje zająć się rzeczywistością. Mamy przecież słowa: „i dlaczego pierwsza usiłuje..." itd — a takie słowa oznaczają stosunek przyczynowy. Spróbujmy to sobie uzmysłowić na innym przykładzie.

Mamy czarną biel. Nie śmiejcie się, czarna biel, to to samo, co nierzeczywista rzeczywistość. Analogicznie może być jeszcze pełna próżnia, próżna pełnia i rzeczywista nierzeczywistość. A więc mamy czarną biel i mamy malarza, który ma z tą bielą coś istotnie wspólnego, bo sam jest biały, jak czarnuch. I właśnie dlatego, że biel jest czarna i malarz biały, jak czarnuch, właśnie dlatego ten malarz usiłuje rozpaczliwie być jeszcze czarniejszy. Niestety, czerń dzisiejszej bieli jest niedoścignione i malarz na próżno chce być jeszcze bardziej immanentnie sprzeczny niż jest. Jasne, nie?

„Jedynie komedia jest syntetyczna. W omawianym przypadku wysnuta z wrażeń, jakie narzuciła mi teraźniejszość: powolne konanie dyrektora, otoczonego trzydziestoma lekarzami, usiłowania amerykańskiego ministra spraw zagranicznych..." itd.

A więc teraźniejszość (która, jak wynika z użytych w wywodzie terminów, jest czymś innym od „dzisiejszej rzeczywistości") narzuciła autorowi cytowanych rozważań wrażenia, wymienione po dwukropku: powolne konanie dyrektora, usiłowania ministra itd. Czy konanie dyrektora może być czyimś wrażeniem? Mam wrażenie konania dyrektora? Mam wrażenie spadania żony ze schodów?

„Ale jeszcze inne motywy posłużyły tej syntezie za przesłanki skojarzenia, jakie powstają przy obserwacji pewnych metod medycyny, coraz głębszy rozłam płci, w którym światu mężczyzn przeciwstawia się świat kobiet".

Może są w tym zdaniu błędy drukarskie, ale trudno podejrzewać, że w malutkim jednostronicowym tekście korektor przeoczył jeszcze jakieś błędy. Jeśli nie ma błędów, to o co właściwie chodzi? Że motywy posłużyły za przesłanki skojarzenia? Co się z czym skojarzyło? Może powinno być: posłużyły za przesłanki skojarzenia, jakie p o w s t a j e (a nie p o w s t a j ą) przy obserwacji pewnych metod medycyny... ale i tak nadal nie wiemy, o jakie metody chodzi. A może coś należy wyczytać z samej bliskości następnych słów: „coraz głębszy rozłam płci"? Obserwacja rozłamu płci, płeć a rozłam, płeć a motywy syntezy, służące, jako przesłanki? Ple, ple, ple?

Żeby nie nadużywać dłużej cierpliwości Czytelnika, podajmy wreszcie, że cytaty w cudzysłowach pochodzą z programu Teatru Nowego w Łodzi do sztuki Dürrenmatta „Zwłoka". W programie tym zamieszczono mianowicie fragment artykułu tegoż Dürrenmatta z jeszcze innego programu tej samej, świetnej sztuki, i to programu zaczynającego się słowami: „Arystoteles uważa...". Autor sztuki chciał pewnie ułatwić czytelnikom odbiór „Zwłoki", ułatwić jej zrozumienie, a więc coś wyjaśnić, dopowiedzieć. Po to się przecież pisze artykuły. Czasami też pisze się po to, żeby zakpić z czytelnika. Albo, żeby wyżyć się zadufanym w sobie belkotem, nic nie znaczącą płataniną myśli i słów, napląta i napleść dubów smalonych po to, żeby zakończyć tak:

„Niezależnie od rodzajów kompozycji, jakie stosuję, przedstawiałem i przedstawiam w teatrze ciągle to samo: rzeczywistości sceniczne".

Czyli: wszystko jedno, jak, ale w teatrze robię zawsze teatr. Wobec tego i ja — jeśli Państwo pozwolą — dokończę: niezależnie od miary i poziomu konceptów, rozpaczliwie goniąc za nierzeczywistością rzeczywistości opartej na motywach z obserwacji przesłanek pewnych metod rozłamu płci, przedstawiałem i przedstawiam w tych felietonach ciągle to samo: rzeczywistość felietonową.

A co o tym uważa Arystoteles, to nie wiem.

ĆWIEK

propozycje

MAJ

W maju wszystko jest inne. Taki na przykład deszcz. Może padać przez okrągły rok, ale deszcz, który pada w maju jest inny, bo jest to deszcz majowy. W takim deszczu to się nawet przyjemnie chodzi. Ludzie mówią, że po majowym deszczu się rośnie. Nie wszystkim to jednak jest potrzebne, niektórzy bowiem dość już wyrośli i teraz kłopot, co z nimi zrobić: awansować — niedobrze, zdegradować — jeszcze gorzej, bo niesprawiedliwie. Stąd rada, aby raczej unikać majowego deszczu, bo można urosnąć ponad miarę i potrzebę.

W maju świąt jest bez liku. Zaczyna się ten miesiąc Świętem Pracy, a potem zaraz jest Dzień Zwycięstwa. Potem są Dni Oświaty, Książki i Prasy. W maju swoje święto mają hutnicy, pracownicy gospodarki komunalnej, strażacy, pracownicy przemysłu spożywczego. W maju jest też Święto Ludowe, Dzień Matki i Dzień Drukarza. Większość tych świąt przypada akurat w niedzielę i są to — poza Dniem Matki — święta ludzi poszczególnych zawodów. U nas tak się utarło, że skoro czyjeś święto wypada w dzień powszedni, to zaraz chciałby, aby to był dzień wolny od pracy. W ten sposób mielibyśmy więcej dni wolnych od pracy niż dni pracy.

Skoro już się rzekło, że maj jest miesiącem szczególnym, to i w maju 1978 roku jest trochę więcej dni wolnych od pracy niż w innych miesiącach. Bo w tym roku w maju wolna sobota przypada w... poniedziałek i jest to wolna sobota z kwietnia, a majowa wolna sobota, którą planowano na 13 maja, została przeniesiona na 9 maja, akurat na Dzień Zwycięstwa i tak będziemy mieli w tym roku w maju trzy dni wolne od pracy. Można wybrać się na dłuższą majówkę.

Kiedyś jeździło się na majówki i to nie tylko w maju, ale również w czerwcu i lipcu a uparci mogli jeździć na majówki nawet w sierpniu. Majówka, to była wyprawa na „łono przyrody", śniadanie na trawie, harce i swawole. Jeździło się na takie majówki z harmonią, albo gitarą czy mandoliną. Dziś jeździ się na weekendy i to samochodami. Niektórzy są tak przywiązani do swego środka lokomocji, że wjeżdżają kawałek w las, otwierają wszystkie drzwi samochodu, siedzą rozmawiają, radia słuchają, a po godzinie takiego „kontaktu z przyrodą" zamykają drzwi samochodu i wracają do miasta. Inne czasy, inne zwyczaje.

A propos zwyczajów. Nauczyliśmy się mówić: „miesiąc maj", „dnia 24 kwietnia" itp. Ktoś niedawno w radio słusznie zwrócił uwagę, że mówiąc, czy pisząc „maj" wiemy wszyscy, że chodzi o miesiąc, a więc nie ma potrzeby tego specjalnie podkreślać. Podobnie jest z datą. I nie tylko zresztą. W ogóle, jak słusznie zauważył niedawno w „Szpilkach" Jerzy Urban, Polacy dzielą się na tych, którzy potrafią pisać i na tych, którzy potrafią formułować myśli na piśmie, a jedno i drugie — jak wykazuje praktyka — nie jest tym samym. Jerzy Urban twierdzi nawet — i ma zupełną rację — że wielu ludzi nauki nie potrafi formułować myśli na piśmie, choć umie pisać i czytać. Wszakże jest to umiejętność ograniczona, jako że język właściwy dla danego zawodu czy specjalności nie jest zrozumiały dla szerszego ogółu. W ten sposób treści, które chcieliby zakomunikować opinii publicznej, do tej opinii nie docierają gdyż przedstawiane jej teksty są dla niej niezrozumiałe. Jerzy Urban twierdzi, że w takim przypadku umiejętność myślenia i formułowania myśli na papierze nie idzie w parze. Zdarzają się jednak i takie przypadki, kiedy umiejętności formułowania myśli w piśmie niekoniecznie towarzyszy proces myślenia. Brzmi to może jak paradoks, ale zdarza się przecież tak, że ludzie zajmujący się pisaniem formułują w piśmie cudze, zasłyszane myśli i uważają, że ich już to zwalnia od myślenia.

Usłyszałem niedawno w radio propozycję, aby nowemu polskiemu promowi nadać imię „Teresa" na cześć kpt. Chojnowskiej-Liskiewicz. Propozycję zgłosiła radiosłuchaczka, a prowadzący audycję dali jej delikatnie do zrozumienia, że pomysł to dobry, tylko prom „Teresa" byłby tak nazwany na cześć pani Remiszewskiej, bo pani Chojnowska-Liskiew cz ma niestety na imię... Krystyna. Wcale się jednak owej słuchaczce radia nie dziwię, gdyż u nas od lat modne jest pozbawianie ludzi imion. W mowie potocznej może to i praktyczne, jeśli rozmawia się o ludziach sobie znanych, ale w piśmie jest to zwyczaj mało elegancki. Bierze się on jednak z urzędowego żargonu, gdzie przede wszystkim ważne jest nazwisko, a imię tylko dla rozróżnienia czy to nazwisko dotyczy aby tej samej osoby. Stąd też brzydki zwyczaj stawiania imienia po nazwisku.

Są to oczywiście drobiazgi, ale — niestety — w naszym powszechnie używanym języku coraz więcej takich drobiazgów, które coraz przeraźliwiej zaśmiecają codzienną polszczyznę. Skoro więc mai jest taki na zwyczajny, bo to i słowiki i wszystko się zieleni i ludzie sobie jakoś bardziej przyjaźni i do miłości skłonni, a także dlatego, że w maju kulturę, oświatę i prasę będziemy mieć na uwadze, więc może by tak w tym miesiącu zacząć walczyć z wszystkim, co zaśmieca naszą polszczyznę. To taki mój, mały, majowy apel. A więc, do roboty!

MARCIN RODAK

Ze wzruszeniem dowiedziałem się, że Szkoła Podstawowa nr 189 mieszcząca się przy ulicy Kossaka otrzymała imię Wandy Zieleńczyk, działaczki ZWM, która została rozstrzelana w czasie wojny przez gestapo w Warszawie. Wandę Zieleńczyk znałem. Wrzesień rozdzielił nasze drogi, ale jej imię zostało w moich wspomnieniach. Wanda Zieleńczyk pojawia się w mojej powieści „Ciche jeziora". Wykorzystując różne źródła (bowiem o Wandzie Zieleńczyk piszą inni autorzy, jej imię znalazłem w książce Heleny Balickiej-Kozłowskiej poświęconej Hance Sawickiej, pisze o niej Tadeusz Szewera w swojej antologii „Niech wiatr ją poniesie". Telewizja wyświetliła o niej film dokumentalny w reżyserii Mai Wójcik) i cytując te źródła, przypominam portret dziewczyny, która zginęła za ojczyznę: „...Dziula, późniejsza autorka pieśni partyzanckich, do których układała i słowa i muzykę: „My ze spalonych wsi", „Piosenka siostry", „Wolności przednia straż"..., ...przed wojną członek „Spartakusa", uczestniczka obrony Warszawy, wybitna aktywistka ZWW, PPR i ZWM, pracownica techniki i uczestniczka licznych akcji zetwuemowskich, autorka wielu wierszy i piosenek, śpiewanych przez gwardzistów, rozstrzelana przez gestapo na Pawiaku w sierpniu 1943 roku". Dziula zginęła

CZY TYLKO WSPOMNIENIE?

razem ze swoją matką i ojcem, Adamem, pedagogiem i filozofem. Spoza tych zdań wyłania się portret młodziutkiej dziewczyny, wrażliwej, subtelnej, pełnej uroku. Dziula posiadała niezwykłą umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi. Umiała wprowadzać nastrój, który wciągał do rozmowy. Oto jak jest przedstawiona w książce o Hance Sawickiej: „Pracę w organizacjach lewicowych zaczęła jeszcze przed wojną, kiedy jako uczennica, a później młoda studentka działała w „Spartakusie" i w akademickiej „Spójni". Do komunizmu popchnęło ją, jak wielu inteligentów, bolesne i gorzkie poczucie nie swojej, lecz cudzej krzywdy. Dziula odznaczała się wesołością, pogodą i niezwykle ciepłym, życzliwym stosunkiem do ludzi. Niezmiennie dobry humor, muzykalność i wrodzona dobroć oraz odwaga, okazywana w pracy konspiracyjnej, jednały jej sympatię i miłość wszystkich, którzy się z nią stykali, a zwłaszcza młodzieży. Ponadto Dziula umiała wspaniale deklamować i ślicznie śpiewać. Koła, którymi się opiekowała, były nią zachwycone, toteż na zebraniu instruktorów zdecydowano, choć to było niezgodne z wymogami konspiracji, żeby niektóre, najlepiej opracowane zagadnienia omawiała Dziula także na obcych kołach. Na Mokotów przyszła Dziula z referatem o Pierwszym Proletariacie. Recytacja wiersza Broniewskiego o Waryńskim wywabiła z kuchenki właścicieli lokalu, Sowów. Towarzysz Sowa, stary kapepowiec, przysiadł się do nas, posłuchał o dziejach lat osiemdziesiątych, a potem zaczął sam opowiadać. Mówił o SDKPiL, o walkach 1905 roku, o więzieniu carskim i o strajkach robotniczych w niepodległej Polsce. Słuchać można było bez końca..."

Może po tej krótkiej, a jakże bogatej notatce o dziewczynie, która poniosła śmierć razem ze swoją matką i ojcem (zadaćm takie pytanie w powieści i teraz powtarzam), nie wypada mówić o tej Dziuli, która nas odwiedzała, chodziła z nami, rozmawiała? Wobec jej ofiary może nie wypada wspominać o rzeczach błahych? Ale w kronice zapisane są wszystkie sprawy, dobre i niedobre, ważne i nieważne, a w portrecie człowieka drobna nawet kreska może mieć znaczenie. Dlatego te przypadkowe i nieprzypadkowe spotkania, ulotne nawet rozmowy, mają dzisiaj takie znaczenie. Młodzież jednej ze szkół łódzkich wybrała sobie za patronkę naprawdę piękną postać. Myślę, że życie Wandy Zieleńczyk winno stać się materiałem do osobnej powieści.

Szukamy patronów dla szkół — oto właśnie oni, młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy ofiarowali swoje życie i swoje marzenia dla ojczyzny. Szukamy bohaterów do naszych powieści, wzorców, które należałoby naśladować, oto ich imiona i nazwiska, spotykane na nagrobkach, pomnikach, kronikarskich wzmiankach. Ile takich bohaterek, podobnych do Dziuli, znajdujemy na kartach książki, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą „Na partyzancki poszły bój". Autorka książki, Barbara Matusowa-„Kwiatkowska" opracowała historię kobiet walczących w konspiracyjnym Ludowym Związku Kobiet. Nie jest to pierwsza książka omawiająca te zagadnienia, bowiem w 1946 roku ukazała się praca zbiorowa „Żelazne kompanie BCh".

Kobiety wiejskie wstępujące do organizacji składały przysięgę: „W obliczu mego narodu, umęczonego w potwornej niewoli, przyrzekam i ślubuję na wszystko, co mam najdroższego, że będę walczyć — wszelkimi dla kobiety dostępnymi środkami — o całkowite odzyskanie niepodległości ojczyzny mojej. Jednocześnie swą inicjatywę twórczą skieruję do przygotowania pracy ludowej kobiet w wolnej Polsce". Kobiety przysięgały, że od zachowania tajemnic organizacji i od wykonania powierzonych przez LZK obowiązków nie powstrzyma ich nawet groźba utraty życia. „Złożonego przyrzeczenia wiernie dotrzymam".

I dotrzymały. Ile w książce Barbary Matusowej-„Kwiatkowskiej" pięknych życiorysów. Wiele działaczek przeżyło wojnę i zajmuje w życiu społecznym odpowiedzialne funkcje. A ile zginęło. Ryszard Pietrzak w recenzji zamieszczonej w „Kulturze" (nr 16, r. 1969 — w 1976 roku ukazało się wydanie trzecie, poprawione i uzupełnione) pisze: „Dziewczęta wiejskie o jakże pięknych pseudonimach, owe „Pszeniczne", „Wiochny", „Stokrotki" i „Maciorzanki". Starsze, doświadczone już kobiety, matki ciotki i babcie. Całe rodziny partyzanckie, w których nawet dzieci uczestniczyły w działalności konspiracyjnej (...). Ostatni rozdział książki poświęcony został tym, które zginęły (...). Wstrząsające wrażenie sprawiają zdjęcia uśmiechniętych dziewcząt, te jedyne w swoim rodzaju żałobne tablice pozostałe po tych, którym nie dane było doczekać wolności i przeżyć pierwszą może w życiu miłość". Niechże te nazwiska nadal żyją w szkołach, książkach i w naszej pamięci.

TADEUSZ PAPIER

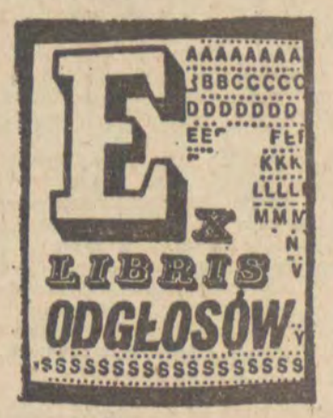

LUDZIE DOBREJ ROBOTY

Z inicjatywy Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach i nakładem „Książki i Wiedzy" ukazała się na półkach księgarskich książka, która stanowi podsumowanie doświadczeń katowickiej wojewódzkiej organizacji partyjnej w pracy z ludźmi dobrej roboty. Jest to książka, która pokazuje doświadczenia katowickiej organizacji partyjnej zarówno od strony teoretycznej, od ideologicznych założeń tego ruchu, jak też i od strony praktycznej. Pokazuje samych ludzi dobrej roboty i bardzo różne formy satysfakcjonowania ich za trud i wysiłek.

Książkę otwiera artykuł Zdzisława Grudnia pt. „Ruch dobrej roboty — dźwignią rozwoju socjalizu". Natomiast Mirosław Fazan pisze o katowickich inicjatywach i doświadczeniach. Te ostatnie są zresztą tematem zainteresowań innych autorów, jako, że książka jest pracą zbiorową. Przewijają się na jej kartach ludzie, którzy swoją pracą, działalnością społeczną przyczynili się do rozwoju Śląska. Autorzy prezentują ich życiorysy, poglądy, doświadczenia. Piszą też o tym, jak w zakładzie pracy, w mieście, w województwie satysfakcjonuje się ludzi, których życie i postawa jest przykładem dla innych.

Jan Kantyka — redaktor książki — zastrzega się, że nie pokazano w niej wszystkich doświadczeń, wszystkich form pracy, a to dlatego, że jest to ruch — po pierwsze — masowy, a po drugie — żywy, stale rozwijający się. Życie co raz to wnosi do tego ruchu coś nowego. Ale i te doświadczenia, które zawarto na kartach książki warto poznać.

„Ludzie dobrej roboty" — pod redakcją Jana Kantyki, „Książka i Wiedza", Warszawa 1978, str. 316, cena zł 25,—

ANKIETA: TWÓRCY O PRACY

Do twórców — przedstawicieli różnych dziedzin sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź na następujące tematy:

1) Jakie jest miejsce i rola pracy w pańskim życiu?

2) Jak określiłby pan swój stosunek do tematu (motywu) pracy we własnej twórczości?

3) Czym jest dla pana dzień 1 maja, jak spędza go pan zazwyczaj?

Oto wypowiedzi:

BOLESŁAW BĄCZYŃSKI – reżyser filmów oświatowych

AD 1) Praca jest koniecznością życiową i obowiązkiem człowieka, a więc jakimś przymusem — niestety. Odczucia te występują głównie w pracy zawodowej. Przymus ten słabnie, a nawet znika zupełnie, ba, przemienia się często w twórczy entuzjazm wówczas, kiedy rozumiem celowość wysiłku, gdy widzę sens działania, zadania postawione przede mną przyjmuję za swoje własne. W takim przypadku zawsze staram się wnieść coś osobistego, coś twórczego do wykonywanej pracy... choć nie zawsze z najlepszym rezultatem. Ale czy to zawsze człowiek jest rozumiany?

AD 2) Jestem zawodowym realizatorem filmów oświatowych, z tego żyję i tym żyję. Podpisałem cyrograf z Wytwórnią Filmów Oświatowych i muszę wykonywać filmy składające się na plan produkcyjny Wytwórni. Oczywiście, mam pewne możliwości wyboru tematyki, ale i tak, w ramach tych możliwości przyjmuje się do realizacji tematy o różnym stopniu atrakcyjności. Inną sytuację ma członek Amatorskiego Klubu Filmowego, który realizuje co chce.

AD 3) Święto 1 Maja umożliwa mi odczucie wspólnoty z towarzyszami mojego zakładu pracy, mojego miasta, ze wszystkimi ludźmi pracy w Polsce i na całym postępowym świecie. Świadomość że nie jestem sam jest mi bardzo potrzebna. W czasie drugiej wojny światowej znalazłem się w 2 Korpusie. Pod wpływem tamtej propagandy wahałem się wrócić do Kraju. Decyzja powrotu powstała w czasie oglądania zmiany warty w Londynie. Anglicy obserwujący tę uroczystość byli rzeczywiście podnieceni. Ja poczułem się obcy, samotny. Obserwowałem widowisko beznamiętnie. Postanowiłem wrócić do mojego Kraju i razem z moimi ziomkami przeżywać wspólnie wszystko. Dotychczas nie opuściłem ani jednej manifestacji 1-majowej.

WACŁAW BILIŃSKI – literat

AD 1) W swoim życiu byłem drwalem, murarzem, księgowym, kierownikiem w dużym przedsiębiorstwie, żołnierzem i oficerem artylerii, byłem dziennikarzem, choć nie przyjęto mnie do stowarzyszenia dziennikarzy... Poznałem smak pracy fizycznej, nabrałem dla niej szacunku, toteż z żalem obserwuję dziś, że w miarę tego jak praca — dzięki mechanizacji — staje się coraz lżejsza, ludzie mają do niej coraz mniej poważny stosunek. Jako próbę najcięższą wspominam wojnę i okupację: przymusową pracę i służbę wojskową, która w warunkach wojennych była przerażająco ciężką pracą; jej dramatyzm potęgowało stałe zagrożenie śmiercią... Niezależnie od rodzaju czy charakteru pracy, była ona dla mnie zawsze penetracją rzeczywistości, próbą rozszerzania obszaru swojej wiedzy o Polsce i Polakach, zaspokajaniem niezmiennej ciekawości tych właśnie spraw.

AD 2) Irytuje mnie stawianie problemu: „praca w literaturze". Przecież świadoma praca kształtuje osobowość człowieka, tworzy go i wyróżnia spośród innych istot, i zastanawiać by się można tylko nad przypadkami patologicznymi, marginesowymi, nad przykładami tych ludzi, którzy od pracy stronią i uciekają. Ciężkiej, fizycznej, dramatycznej pracy żołnierza — w swoich książkach wojennych i trudnej pracy w warunkach powojennych — w powieściach „Wypadek" czy „Wrócić do siebie", poświęciłem bardzo wiele miejsca. Uważam, że praca i tylko praca jest świadectwem wartości człowieka. A do ludzi, którzy przez życie przechodzą skacząc z kwiatka na kwiatek, czy ze stołka na stołek, zawsze odnosiłem się pogardliwie.

AD 3) W moim wieku Święto Pracy jest już sprawą pewnej tradycji. Ale w moim zawodzie zdarza się, że w nawet najbardziej uroczyste świąteczne dni siedzę przy biurku i piszę...

WIESŁAW GARBOLIŃSKI – artysta-plastyk

AD 1) Sądzę, że choć obiegowe pojęcie pracy uległo dziś rozszerzeniu i pogłębieniu, przez zaakcentowanie w nim znaczenia pierwiastka twórczego, z pojęciem pracy w sensie „twórczości artystycznej" i dziś wiążemy te same co od wieków treści. Praca artysty była zawsze, jest i będzie próbą określania środkami artystycznymi swojego stosunku do świata, dążeniem do doskonałości (w pracy pozaartystycznej nazywanej raczej „wysoką jakością"). Malarstwo definiowane jako „metaforyczne", a takie uprawiam, nie może — jak uważam — istnieć bez inspiracji rzeczywistością społeczną; wiedza o niej jest po prostu niezbędna, aby dochodziło do zgodności między intencją autora a odczytaniem dzieła przez odbiorcę. Mam dowody, że treści mojej twórczości są odczytywane prawidłowo i w zgodzie z moimi zamiarami, niezależnie od różnic geograficznych, narodowościowych czy ustrojowych, i to właśnie jest, jak myślę, potwierdzeniem sensu mojej pracy.

AD 2) Trudno może wskazywać na przykłady bezpośredniej obecności tematu pracy w mojej twórczości. Sądzę jednak, że w wielu wypadkach poglądy, zdania ludzi pracy inspirowały tematykę moich obrazów, wzbogacały moje doświadczenia.

AD 3) Pochodzę z rodziny robotniczej, w której tradycje 1-majowe były bardzo silne. Pamiętam czasy przedwojenne i w tym okresie ukształtował się mój stosunek do Święta Pracy, stosunek, który wykracza poza traktowanie go jako dnia niefrasobliwego relaksu i zabawy. Nurtuje mnie jednak pytanie: czy dla pokolenia które wzrosło po wojnie, 1 Maja niesie również — wynikające z tradycji tego Święta — głębsze treści...?

ANDRZEJ HUNDZIAK – kompozytor

AD 1) Praca jest sensem życia, w niej człowiek realizuje siebie, tak ją rozumiem. Oczywiście, praca dla mnie to nie tylko tzw. działalność zawodowa. Zresztą mój podwójny zawód: kompozytora i pedagoga rozszerza tę działalność. Twórczość z jednej strony, z drugiej — praca z młodzieżą wypełniają mój czas, lecz nie osiągałbym pełni satysfakcji, gdyby nie działalność społeczna, tworzenie rzeczy pożytecznych razem z ludźmi i dla ludzi. A cała codzienna krzątanina dla swoich najbliższych, tak niewidoczna, a tak ważna? — to wszystko jest pracą nadającą sens mojemu życiu.

AD 2) W jednym ze swoich ostatnich utworów na chór i orkiestrę symfoniczną — pt. „Protest song" — całą część poświęciłem wyrażeniu trudu człowieka, jego zaangażowaniu w pracę. Pisząc wiele dla dzieci wybieram często dla swych utworów teksty poetyckie, stąd w licznych piosenkach temat pracy pojawia się raz prościutko i naiwnie, kiedy indziej poważniej i rzeczowo.

AD 3) W naszej ojczyźnie artysta to przecież również człowiek pracy, a zatem razem ze wszystkimi ludźmi pracy biorę udział w manifestacji. 1 Maja — to także wiosna i zawsze wykorzystuję ten dzień na choćby krótkie wycieczki na łono przyrody.

HENRYK KLUBA – reżyser filmowy

AD 1) Moim „miejscem pracy" jest przede wszystkim wyobraźnia, niezależnie od tego czy przemawiam jako reżyser, czy jako pedagog. Czuję się szalenie odpowidzialny za moją pracę. Wymaga więc ona decyzji mądrych i trafnych. Lubię swoją pracę, choć kosztuje mnie ona dużo energii i czasem pustoszy wewnętrznie. Lubię ją, bo wymaga ciągłego napięcia, chroni przed rutyną, zachowuje w pewnej gotowości myślowej wobec wszystkiego co się wokół dzieje.

AD 2) Artystyczny, „szlachetny egoizm" pozwala mi czerpać z każdej formy społecznego działania coś dla siebie, widzieć we wszystkim materiał do spożytkowania w twórczości. Społeczne działania niewątpliwie regulują to napięcie, które jest we mnie, ten „słupek rtęci" emocji. Nie bardzo zgodziłbym się ze sformułowaniem „temat pracy w sztuce". Powiedzmy raczej: człowiek i jego praca, jego stosunek do pracy. Mówił o nim m. in. i mój debiut filmowy „Chudy i inni". Ale był to stosunek człowieka zaskoczonego, zagubionego w pejzażu industrialnym, wieśniaka, którego przerażenie wielkim wykopem, maszyną, konstrukcją, film miał poddać humanizacji... Teraz chyba wiele się w tym stosunku zmieniło i niewykluczone, że powrócę do tego tematu, aby pokazując zmiany stworzyć pewną równowagę dla obrazu człowieka i pracy w mojej twórczości. Dziś już maszyna rzadziej przejmuje człowieka grozą, obawą, zdziwieniem. Praca na nowoczesnych maszynach wymaga nowej inteligencji, wiedzy, kwalifikacji, nowych nawyków. Będąc w halach fabrycznych stwierdzałem, że ta nowa inteligencja, wyższa świadomość, jest jeszcze in statu nascendi. Interesują mnie zatem psychologiczne i emocjonalne konsekwencje sytuacji człowieka, który posiadł już wprawdzie pewną poufałość w stosunku do maszyny, ale nie wykształcił w sobie w pełni zracjonalizowanego, nowego stosunku do niej.

AD 3) Jeszcze w czasie studiów postanowiliśmy z kolegami obserwować z kamerą Święto w kilku bardzo różnych miejscach. Ciekawe, że oko młodego filmowca za każdym razem wydobyło z tego święta przede wszystkim liryzm. Nie sposób jednak nie zauważać bogatej formy widowiska, jakim jest pochód, ani tego, iż czyni on to Święto szalenie demokratycznym. Nad pochodem (nie: defiladą) unosi się atmosfera solidarności, zbratania, wspólnoty: między trybuną, tymi co idą i tymi, co patrzą na maszerujących. Pochód przez swą spontaniczność sprzyja nawiązywaniu więzi, porozumienia, nie jest zwykłą pieszą wędrówką. Ma więc w sobie nie tylko liryzm, ale i coś rodzinnego, jakąś familiarność. I tak jest chyba odbierany A ja? No cóż, miałem okazję wielokrotnie być animatorem, uczestnikiem i uzbrojonym w kamerę obserwatorem tego niezwykłego zjawiska...

ROMAN KŁOSOWSKI – aktor, reżyser

AD 1) Zauważyłem, że młodzi ludzie często nie zdają sobie sprawy z tego, czym jest praca. Dla nich nie jest ona sprawą najważniejszą. Zdobywają rzeczy, kochają się, zakładają rodziny, dążą do stabilizacji, ale niepokój, czy właściwie wypełnili swoje życie, przychodzi dopiero później.

Jestem z tego pokolenia, które wciąż ma sporo do odrobienia, któremu czas się kurczy, które jakby silniej odczuwa przemijanie czasu... Czy uda mi się wypełnić go na miarę planów i zamierzeń? I dlatego rzeczą pierwszoplanową jest dziś dla mnie efektywność pracy. Zrobić jak najwięcej i jak najlepiej, i mieć z tego satysfakcję... W moim wieku praca jest sensem życia.

AD 2) Wydawało mi się, że do tej pory swego życia nie wykorzystywałem właściwie. Okres łódzki jest dla mnie czasem niepokoju, związanego z tym, by jak najlepiej tę możliwości wykorzystać. Z niepokoju tego wynika program mojego teatru: społeczny, zaangażowany. Nie mam co prawda w repertuarze teatru sztuki stricte o pracy. Czy chciałbym ją mieć? Na pewno, byleby była mądra, głęboka, daleka od schematów produkcyjniaka.

AD 3) Moje pokolenie zawsze obchodziło to Święto uroczyście Dla nas i dla mnie również, było i pozostanie wielkim świętem. Od trzydziestu paru lat uczestniczę w pochodzie. Tak będzie i w tym roku: pójdę z zespołem teatru, w którym pracuję.

BENON LIBERSKI – artysta-plastyk

AD 1) W mojej pracy twórczej bez wątpienia pomagały mi nie raz doświadczenia wyniesione z prac organizacyjnych i społecznych, którym poświęcam się od ćwierćwiecza. Wymienię jeden przykład konkretnej inspiracji. Jako działacz związkowy miałem wiele do czynienia z młodymi ludźmi, dla których wojna była już tylko historią. Zrozumiałem wtedy, że moim obowiązkiem jest opowiedzieć im o okrucieństwach i okropnościach wojny, przestrzec ich przed nią. Moje obrazy antywojenne były więc inspirowane postawą tych młodych, traktujących zazwyczaj wojnę jako przygodę.

AD 2) W 1965 roku wziąłem udział w pierwszym, łódzkim plenerze przemysłowym — w Działoszynie. W tamtejszej, nowoczesnej cementowni, później także w puławskich Azotach zrozumiałem, że fizyczna praca to coś więcej, niż tylko „kopanie rowów", to także kierowanie skomplikowanymi maszynami. O ile jednak wtedy wyobrażałem sobie, że może nastąpić moment utraty kontroli człowieka nad maszyną, to teraz interesowałby mnie raczej temat człowieka władcy „królestwa maszyn". W kopalni „Marcel", gdzie urządzono spotkanie malarzy, z początku uważano nas za intruzów. Stosunek górników zmienił się jednak, gdyśmy zjechali na dół. Zjeżdżałem 8 razy, aby przykucnięty szkicować — w chodniku o wysokości niespełna metrowej, w upale i pyle węglowym, ludzi którzy ręcznie belkowali sufit i wrzucali szuflami węgiel na taśmociąg. Ale plenery przemysłowe nie tylko uczą szacunku dla pracy fizycznej. Także dla pracy malarza czy rzeźbiarza, która wielu ludziom wydaje się lekka i łatwa...

AD 3) Począwszy od 1948 roku — z wyjątkiem jedynego przypadku, gdy złożyła mnie choroba — nie opuściłem ani razu pochodu 1-majowego, traktując tę obecność jako manifestację swego stosunku do rzeczywistości, a Święto Ludzi Pracy — także jako własne święto.

IGOR SIKIRYCKI – literat

AD 1) Pracę fizyczną rozpocząłem dość wcześnie, od 17 roku życia, jeszcze jako uczeń państwowego gimnazjum w Lublinie. Rokrocznie pierwszy miesiąc wakacji spędzałem przy wyładunku wagonów. Miesięczne wynagrodzenie wysokości około 65 zł pozwalało mi na opłatę czesnego w gimnazjum, wynoszącą 54 zł za pół roku. Pozostała suma pozwala mi na realizację wakacyjnych wędrówek czy kajakowych wypraw. Rzecz jasna, w tym okresie traktowałem pracę jako zło konieczne, jako ciężką barierę zamykającą czy też otwierającą drogę do realizacji młodzieńczych marzeń. W pierwszych latach okupacji, dopóki nie znalazłem się w partyzantce, byłem kolejno ślusarzem, murarzem i drwalem. Przysłowiowy „kołacz" z tytułu tych prac był niezwykle skromny, a satysfakcja niemal żadna. Nie polubiłem żadnego z tych zawodów, a praca drwala budziła wręcz we mnie niechęć: widok walących się z łoskotem drzew do dzisiaj mam przed oczyma... A jednak właśnie wtedy nabrałem ogromnego szacunku dla ciężkiej pracy, a zwłaszcza do ludzi, którzy ją rzetelnie wykonują.

Od 30 lat jestem członkiem Związku Literatów Polskich. Ale zaledwie od 10 lat zajmuję się wyłącznie pisaniem, co w naszym zawodzie nie należy bynajmniej do spraw oczywistych.

AD 2) Temat pracy podejmowałem w swoich książkach niejednokrotnie. W powieści „Siedmiu nieobecnych" postać kowala Mikuły zamykanego przez sanacyjne władze „na wszelki wypadek" przed każdym świętem 1 Maja, przeniosłem „żywcem" z młodzieńczych wspomnień. Moja książka „Stara kuźnia" jest poematem o pracy zaadresowanym do młodzieży, a nawet bajki dla dzieci, takie jak: „O mieleniu zboża w Królestwie Niegorza", „Podkowa szczęścia", a zwłaszcza „Awantura w Przechwałkowie" wiążą się mocno z właściwym wyborem pracy. Wydaje mi się, że mam prawo pisać o pracy, ponieważ uważam, iż udało mi się w życiu znaleźć zawód, który daje mi duże zadowolenie i świadomość jego wielkiej przydatności społecznej. To prawda, że czasami po zakończeniu jakiejś wielkiej pracy, zwłaszcza translatorskiej, pracy której poświęciłem kilka lat, składam solenne przyrzeczenie: nigdy więcej... Ale już po paru miesiącach bohaterowie starych eposów gruzińskich czy staroarmeńskich osaczają mnie tak mocno, że łamię przyrzeczenie...

AD 3) Muszę wyznać, że dzień 1 Maja jest dla mnie świętem potrójnym. Przede wszystkim świętem zwycięstwa ludzi pracy w mojej ojczyźnie. Po drugie, jest kluczem do tradycyjnego otwarcia krajowych Dni Oświaty, Książki i Prasy, jednej z najpiękniejszych imprez, zrodzonej w Polsce Ludowej, której zazdroszczą nam piszarze w wielu krajach i od nasz uczą się, jak ją organizować. No i wreszcie jest ten dzień także niezwykle ważny dla blisko 2-milionowej rzeszy wędkarzy, do której zaliczam się od wielu lat. Jest to po prostu dzień otwarcia pełnego sezonu wędkarskiego. Tradycyjnie już zatem od wielu lat 1-majowe popołudnie spędzam nad czystą wodą...

LESZEK SKRZYDŁO – reżyser filmowy

AD 1) Moja praca jest nie tylko obowiązkiem, ale i przyjemnością. Lubię ją. A ponieważ polega ona m.in. na ustawicznym myśleniu, więc pracuję nawet kiedy jadę tramwajem czy kiedy smażę rybę.

AD 2) Tematu pracy nie unikam. Właśnie ukończyłem film pt. „Nasz system ochrony pracy", który otwierał ostatnio międzynarodowe sympozjum „Secura 78" w Poznaniu, poświęcone ochronie człowieka w środowisku pracy.

AD 3) Przy moich rozlicznych wyjazdach i rozjazdach tegoroczne Święto Pracy spędzam w Łodzi, a potem w zależności od pogody i... ilości wolnego czasu.

JERZY WAWRZAK – literat

AD 1) Dla mnie praca jest w mniejszym stopniu sprawą określonych umiejętności (chociaż chylę głowę przed mistrzostwem w zawodzie), a raczej sposobem życia. Praca m u s i dawać satysfakcję, możliwość wszechstronnego sprawdzenia siebie, swej osobowości i postawy społecznej. W przeciwnym wypadku praca jest „tylko" podstawą egzystencji. W warunkach ustroju socjalistycznego to już za mało, to prawie nieszczęście.

AD 2) Krytyka od pierwszej książki zaliczyła mnie do pisarzy podejmujących temat pracy. I tak jest rzeczywiście, po ostatnią powieść: „Wejście przez sekretariat" (obiecaną przez drukarzy na majowy kiermasz). Moje wszystkie książki i publicystyczno-reportażowa dziennikarska są konsekwencją ideowo-obywatelskiego wyboru: zapisać to, co w życiu człowieka — obok miłości — jest najważniejsze: t w o r z e n i e. Nie produkcję, a proces tworzenia, jaki w codziennym trudzie podejmują: górnicy, hutnicy, metalowcy, włókniarze, budowlani, miliony ludzi pracy.

AD 3) Od przeszło ćwierć wieku uczestniczę w 1-majowych manifestacjach. W ostatnich latach wchodziłem w skład łódzkiego komitetu obchodu tego Święta. Miałem więc okazję obserwować w całości wielosettysięczne pochody, przeżywać razem ze wszystkimi chwile radości, poczucia wspólnoty i solidarności, satysfakcji i dumy. Spontanicznej pewności, że idziemy we właściwym kierunku.

JAN ZDROJEWSKI – aktor

AD 1) Miłość do pracy, cierpliwość i związek z życiem — oto bez czego nie wyobrażam sobie zawodu artysty. I choć nieraz tworzy on w samotności, zawsze przecież zwraca społeczeństwu to, co z niego wziął, swoją wrażliwość na los człowieka, swój związek z nim manifestując w dziele.

Zawód aktora wymaga, jak zawód każdego artysty, stałej gotowości do wsłuchiwania się w głosy: sumienia, uczucia, świata zewnętrznego. Ta stała czujność, gotowość, bierze się również stąd, że aktor jest sam własnym instrumentem. I jako tego, który stale z tego instrumentu korzysta: z ciała, głosu, uczuć i myśli, obowiązuje go ciągła troska o swoje narzędzia...

Wszystko co się w teatrze dzieje, dzieje się — tak jak w życiu — w złożonym układzie: jednostka — zbiorowość. Jednorodność kolektywu, trafny dobór zespołu, sprawna organizacja — to w teatrze bardzo istotne elementy. Porozumienie, poszukiwanie wspólnego rytmu, nie mogą jednak nigdy odbywać się przez gaszenie indywidualności.

AD 2) Wiele razy grałem w teatrze, filmie czy w telewizji role prawników, lekarzy, dziennikarzy, a także twórców. W „Lecie w Nohant" grając Chopina, a w węgierskim dramacie „Czarodziejska góra" — pisarza, musiałem stworzyć syntetyczne i prawdopodobne wizerunki tych twórców. Ale tematem bywa nie tylko praca, także jej brak. Obecnie gram na scenie Teatru Nowego, w „Emigrantach" Mrożka, człowieka, którego nieszczęście polega na tym, iż żyjąc poza ojczyzną, żyje w oderwaniu od swej pracy, od jej naturalnego warsztatu. Tęsknotą za pracą, marzeniem o niej, przepełniona jest postać Lotnika w brechtowskim „Dobrym człowieku z Seczuanu". Człowiek ten, aby zdobyć pracę, gotów jest zrobić wszystko, nawet popełnić nieuczciwość. Odwołałem się do niektórych tylko przykładów z własnych aktorskich doświadczeń, ale mogę już teraz powiedzieć, że motyw pracy, tak ważny w życiu człowieka, obecny jest także — czynny i dynamiczny — w dramaturgii, szczególnie współczesnej.

AD 3) W manifestacji 1 Maja zbiega się powszechne uniesienie atmosferą zbratania się wszystkich ludzi pracy i — radość z nadejścia wiosny. Piękno pochodu tkwi w tym, iż jest on dobrowolnym aktem solidarności ludzi pracy. Staram się przeto iść zawsze w pochodzie z tymi, z którymi w zespole Teatru Nowego codziennie pracuję. Wielokrotnie brałem udział w manifestacji recytując wiersze, które towarzyszyły ludziom w pochodzie przez miasto.

Ankietę opracował: TOMASZ SOLDENHOFF

W następnym numerze „ODGŁOSÓW" kolejne wydanie „MAGAZYNU KULTURALNEGO".

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 927. I-9.